

HIT WATTPADA!  
MILION ODSŁON W TRZY MIESIĄCE!

Karolina Wasilewska

Kochanie,  
*nie rani*  
mnie

Zakochana w kłamcy  
tom 1



**KAROLINA WASILEWSKA**

**KOCHANIE,  
NIE RAŃ MNIE**

**ZAKOCHANA W KŁAMCY #1**

**OŚWIĘCIM 2021**

Copyright ©

Karolina Wasilewska

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Katarzyna Moch

Korekta:

Małgorzata Proszyk

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-518-1

# SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Epilog

# Prolog

W najciemniej urządzonej łazience, jaką w życiu widziałam, próbuję przywrócić oczom ostrość widzenia. Odrobina kropli nawilżających i jest o niebo lepiej. Z krzywym uśmiechem przyglądam się odbiciu w lustrze. Czarna sukienka tak obcisła, że nawet najcieńszy stanik nie mógłby się pod nią zmieścić, opina moje szczupłe ciało, a długie ciemne loki spływają gładko na nagie ramiona. Policzki mam zaróżowione od alkoholu krążącego w żyłach, a błękitne, duże oczy podkreślone makijażem błyszczą z podekscytowania. Cieszę się, że pozwoliłam Nancy zabrać mnie właśnie tutaj.

Drzwi kabiny za moimi plecami otwierają się, a ułamek sekundy później pojawia się w nich moja przyjaciółka. Odwracam się twarzą do niej, próbując ją uściskać, lecz w tym samym momencie stawiam stopę pod złym kątem i w efekcie ląduję na czarnej błyszczącej podłodze. Nancy wybucha głośnym śmiechem.

– Cholerne obcasy – warczę, odpinając pasek złotych sandałów na szpilce, po czym rozmasowuję bolącą kostkę.

– Chodź – mówi Nancy, wyciągając do mnie rękę. – Pomogę ci.

Z powrotem zapinam pasek butów, po czym sama dźwigam się na nogi z obrażoną miną. Na szczęście moja kostka bardzo nie ucierpiała, więc pewnym krokiem ruszam do wyjścia.

– Mel, zaczekaj! – woła, rozczesując palcami długie blond włosy.

Przystaję, po czym się odwracam.

Kiedy moje spojrzenie napotyka jej zielone oczy, śmieję się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

– Dobrze, że nikt mnie nie widział.

– Dobrze, że żaden facet tego nie widział – poprawia mnie, myjąc ręce. – Miss gracji i wdzięku na pewno by cię nie nazwał.

Prycham.

– Przyszłam tu dobrze się bawić, a nie uganiać za facetami – przypominam.

Nancy przewraca oczami, wkładając ręce pod suszarkę.

Otwieram usta, żeby powiedzieć jej, jak wiele bakterii i grzybów mają w sobie te urządzenia, ale to ona odzywa się pierwsza:

– Od rozstania z Carterem minęło ponad pół roku. Musisz w końcu zapomnieć.

Na wspomnienie Cartera mocno przygryzam wargę, zaciskając dłonie w pięści.

Jak mam o nim zapomnieć, skoro ciągle mi ktoś przypomina?

– Nancy, błagam, odpuść. To miał być mój wieczór. Mój i tylko mój.

Przyjaciółka kręci głową ze zrezygnowaniem, łapie mnie za łokieć, a następnie ciągnie w kierunku drzwi, zza których dobiega głośna muzyka.

– No chodź, sztywniario! – krzyczy z uśmiechem na ustach. – Sprawię, że to będzie najlepszy wieczór w twoim życiu!

Ruszam za nią niechętnie, ponieważ nagle tracę ochotę na zabawę. Przeciskamy się przez tańczący tłum, aż docieramy do baru.

– Jeszcze raz to samo! – przekrzykuje muzykę, a przystojny barman zabiera się do robienia drinków.

Coś każe mi spojrzeć w lewo. Odwracam głowę i na moment zapominam, jak się oddycha. Na końcu baru siedzi najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ciemne włosy, mocno zarysowana szczęka, niewielki garbek na pasującym idealnie do twarzy nosie. Z tej odległości nie jestem w stanie stwierdzić, jaki kolor mają jego oczy, ale widzę, że otaczają je gęste, ciemne rzęsy. Mężczyzna jest pogrążony w rozmowie z jakąś kobietą. Zazdroszczę jej, ponieważ chciałabym być na jej miejscu.

Niechętnie odrywam wzrok, jednym haustem wypijając postawionego przede mną drinka. Cholera! Jest tak mocny, że przez chwilę nie mogę złapać powietrza. Nancy uderza mnie w plecy otwartą dłonią, przychodząc mi na ratunek. Kiedy znowu mogę normalnie oddychać, ponownie spoglądam w lewo. Biała koszula z długim rękawem opina jego umięśnione ramię.

Przez chwilę przyglądam się, jak palce jego idealnej dłoni rytmicznie uderzają o blat i pragnę poczuć tę dłoń na swoim ciele. Zatrzymuję wzrok na szerokiej klatce piersiowej: trzy rozpięte guziki pod szyją. Mam ochotę podejść i rozpiąć pozostałe. Kręcę głową i odwracam wzrok, zanim nieznajomy przyłapie mnie na tym, że pożeram go wzrokiem.

Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Nigdy wcześniej żaden facet tak na mnie nie działał. Ponownie wychylam całego drinka, jednak tym razem jestem przygotowana na palącą moc i tylko nieznacznie wykrzywiam usta.

– Niezły jest – szepcze Nancy, upijając łyk martini.

*Nieziemski.*

– Szkoda tylko, że zajęty – bąkam, wstając z wysokiego krzesła. – Chcę zatańczyć.

Znikam w tłumie spoconych ciał i daję się ponieść muzyce. Zapominam o studiach, które się skończyły,

o rodzinie, która nigdy nie ma dla mnie czasu, o mężczyźnie, którego nie znam, a dla którego w tej chwili zrobiłabym więcej, niż powinnam. Jestem tylko ja i muzyka. Zamykam oczy, wprawiając w ruch ciało i po raz pierwszy od kilku lat czuję się wolna. Czuję, że żyję.

Kilka drinków później jesteśmy z Nancy tak pijane, że obie zgodnie stwierdzamy, że chcemy wracać do domu. Pani w szatni patrzy na nas z politowaniem, oddając nam płaszcze i torebki, a my dziękujemy grzecznie, chichocząc jak nastolatki.

Kiedy przesadnie umięśniony ochroniarz wypuszcza nas na zewnątrz, chłodne nocne powietrze uderza w nasze rozgrzane ciała. Zamawiam taksówkę przez specjalną aplikację, po czym chowam telefon do torebki. Jestem tak zmęczona, że oczy same mi się zamykają.

– Jak długo mam czekać na tę pieprzoną taksówkę?! – krzyczy Nancy, ubierając czerwony płaszcz. – Jeszcze chwila i tu zamarznę.

Przewracam oczami, ale przyjaciółka jest tak oburzona, że nawet tego nie zauważa.

– Dopiero ją zamówiłam – przypominam. – Dziesięć minut chyba wytrzymasz?

Jęczy bezsilnie, po czym nerwowo odpala papierosa.

– Chcesz? – Podsuwa mi paczkę pod nos.

Już mam się poczęstować, kiedy moją uwagę przyciąga niski, melodyjny i nieziemsko seksowny głos. Mężczyzna, który tak bardzo spodobał mi się w klubie, idzie w naszym kierunku. Nogi mi miękną, kiedy zatrzymuje się zaledwie dwa metry od nas. Jest sam. Rozmawia przez telefon, w ogóle nas nie zauważając.

Kręci mi się w głowie, a w uszach słyszę jedynie szum własnej krwi. Wypuszczam z dłoni marynarkę, która ląduje tuż obok moich stóp. I nagle opuszczam swoje ciało, by wszystkiemu przyglądać się z boku. Widzę, jak pewnym krokiem podchodzę do bruneta. Staję przed



nim, zbliżając się do niego jak najbardziej. Jest wyższy ode mnie o około piętnaście centymetrów, mimo że mam na sobie szpilki. Przez chwilę patrzę mu w oczy przypominające kształtem migdały, a następnie mój wzrok zatrzymuje się na pełnych ustach. Nie waham się ani ułamek sekundy. Po prostu kładę ręce na szerokich ramionach i całuję go namiętnie.

Brunet albo jest mocno zszokowany, albo przywykł do tego, że nieznane mu kobiety ot tak się na niego rzucają, ponieważ odwzajemnia mój pocałunek. Smakuje whisky i... grzechem. Jego wargi są miękkie i pewne. Kręci mi się w głowie od nadmiaru przyjemności, która w tej chwili zalewa całe moje ciało. Gdzieś w oddali słyszę głos przyjaciółki, ale ignoruję go. Splatam język z językiem mężczyzny, a jego usta tłumią mój jęk. *Boże, co ja wyprawiam?!*

– Taksówka! – krzyczy Nancy, sprowadzając mnie na ziemię.

Niechętnie odrywam się od nieznajomego i patrzę mu prosto w oczy. Zaskakuje mnie, że się uśmiecha. Otwieram usta, chcąc zapytać, co go tak bawi, ale dźwięk klaksonu samochodu rozdziera panującą wokół ciszę. Wciąż jestem pijana i nie wiem, czy jeśli zrobię krok w stronę taksówki, to się nie przewrócę.

– Nancy – jęczę proszącym tonem.

Już nie patrzę na mężczyznę, którego kilka sekund temu całowałam. A może wcale tego nie zrobiłam? Może cała ta sytuacja to jedynie wytwór mojej wybujałej wyobraźni? Nie mam pojęcia. Chcę do domu. Za dużo wrażeń jak na jeden wieczór. Muszę się położyć.

Na szczęście przyjaciółka bierze mnie pod ramię, pomagając mi wsiąść do samochodu, a sama zajmuje miejsce obok. Próbuję zamknąć drzwi, zanim wściekły wzrok taksówkarza pozbawi mnie życia, ale coś mi nie pozwala. Tym „czymś” jest idealnie zbudowane męskie przedramię.

– Powiedz chociaż, jak masz na imię – prosi, a jego głos brzmi jak najpiękniejsza muzyka świata.

– Melody – mówię cicho, walcząc z coraz cięższymi powiekami. – Mam na imię Melody.

– Miło było cię poznać, Melody.

Zamykam oczy. Ostatnie, co pamiętam, to czyjaś dłoń delikatnie muskająca mój policzek i trzask zamykanych drzwi.

\*\*\*

Potwornie boli mnie głowa, a w ustach mam tak sucho, że z trudem przełykam ślinę. Unoszę powieki i przez chwilę nie wiem, gdzie jestem, lecz ból pleców podpowiada mi, że tę noc spędziłam na kanapie w salonie. Siadam, wbijając wzrok w wyłączony ekran telewizora. Wydarzenia z wczorajszej nocy zaczynają przewijać mi się przed oczami jak w kalejdoskopie. Muzyka, taniec i alkohol. Dużo alkoholu. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tyle wypiałam. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam kaca. Chyba jeszcze w liceum.

Kiedy wstaję, również ból stóp spowodowany zbyt długim noszeniem szpilek daje o sobie znać. Wolnym krokiem przechodzę do łazienki, gdzie od razu spoglądam w lustro, a to, co w nim widzę, ani trochę mi się nie podoba. Rozmazany makijaż, opuchnięte oczy i matowe spojrzenie. Zdejmuję przez głowę połyskującą, czarną sukienkę, wrzucam ją do kosza na pranie, po czym to samo robię z bielizną. Włączam wodę, znikając za drzwiami kabiny prysznicowej.

Zamykam oczy, kiedy gorące strumienie wody uderzają o moje nagie ciało, po czym ponownie je otwieram i wyciskam na dłonie trochę kokosowego żelu. Zaczynam dokładnymi ruchami szorować jasną skórę, pozwalając myślom wydostać się z zamknięcia, w którym były przez ten cały czas. Nancy miała rację. Z sekundy na sekundę mam coraz bardziej gdzieś, że mama i dziadek

nie pojawili się na wręczeniu dyplomów, a smutek zastępuje złość. Zdecydowanie wolę być zła niż smutna.

Nancy głośno puka do drzwi łazienki. Wołam, że zaraz wychodzę, po czym szybko myję włosy oraz twarz i wychodzę z kabiny. Lewą ręką przecieram zaparowane lustro, a palce prawej dłoni przykładam do ust. O cholera! Chwytam się umywalki, oddychając ciężko. Nie mogłam tego zrobić. Umysł podsuwa mi obrazy ze snów. To nie mogło wydarzyć się naprawdę. Chwytam żółty ręcznik i owijam nim mokre ciało. W tym samym momencie drzwi otwierają się i pojawia się w nich moja skacowana przyjaciółka.

– Dłużej nie...

– Powiedz, że tego nie zrobiłam – wchodzę jej w słowo. Marszczy brwi, nie rozumiejąc. – Powiedz, że nie całowałam się z tym facetem z klubu.

Jej twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– O tak – mówi, a jej uśmiech staje się jeszcze szerszy. – Całowałaś, dziewczyno. I to jak całowałaś! Gdybym siłą nie wciągnęła cię do taksówki, zapewne posunęlibyście się o krok dalej.

*Nie, nie, nie!* Ona kłamie i ma z tego niezły ubaw.

– Nancy, proszę cię, powiedz prawdę.

Przyjaciółka kładzie mi dłonie na ramionach i patrzy prosto w oczy.

– Nigdy wcześniej nie widziałam cię tak napalonej, Mel – mówi poważnie. – Przestań – dodaje, widząc moją minę. – Nie masz czego żałować. Facet był boski i na pewno nigdy więcej się nie spotkacie, więc wyluzuj i daj mi się w spokoju wysikać.

Szybko wychodzę z łazienki i przechodzę do kuchni. Całe nasze mieszkanie urządzone jest w stylu prowansalskim. Wszędzie królują biele, beże i pastelowe błękity, natomiast meble są lekkie, białe i delikatnie

zdobione. Z szafki nad zlewem wyjmuję szklankę, po czym wlewam do niej zimną wodę i od razu wypijam niemal całą zawartość.

Nancy ma rację. Powinnam wyluzować. Zapomnieć o słodkich ustach i silnych ramionach nieznajomego i zająć się ważniejszymi sprawami. Właśnie odebrałam dyplom. Muszę poszukać jakiejś kancelarii, która przyjmie mnie na staż. Ponownie napełniam szklankę wodą i przechodzę do salonu, gdzie siadam na niewygodnej, beżowej kanapie.

Zamykam oczy, odchylając głowę do tyłu. Pulsujący ból powoli słabnie. Mimowolnie przywołuję w pamięci zapach przystojnego bruneta. Niezwykle świeża i intensywna kompozycja pieprzu, bergamotki i cedru pieści moje zmysły na nowo. Nagie ramiona pokrywa mi gęsia skórka.

Odstawiam szklankę na biały stolik kawowy i obejmuję się ramionami.

To śmieszne, że Carter przez tyle lat związku nigdy nie wzbudził we mnie tyle ekscytacji, co samo wspomnienie pocałunku z mężczyzną, który jest mi zupełnie obcy.

*Carter.* Wysoki, świetnie zbudowany blondyn o radosnym spojrzeniu niebieskich oczu. Poznaliśmy się, gdy byłam na trzecim roku studiów. Od razu mi się spodobał. Studiował medycynę. Był taki elokwentny i ocytany. Przez pierwsze miesiące związku nie odrywaliśmy się od siebie nawet na kilka minut, każdą wolną chwilę spędzając razem.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie zaczęło się między nami psuć, chociaż jak teraz o tym myślę, to już po roku związku straciliśmy sobą zainteresowanie. Mimo to spotykaliśmy się niemal codziennie, ale nasze „randki” przypominały raczej spotkania dobrych znajomych niż pary kochanków. Gdzieś po drodze utraciliśmy dawną namiętność i pożądanie, które z każdym kolejnym dniem coraz trudniej było nam odzyskać.

Oczywiście kochałam go i byłam przekonana, że to ten jedyny. Łudziłam się, że z czasem nauczymy się siebie na nowo i będzie jak dawniej. Jaka ja byłam głupia! Pewnego dnia umówiłam się z nim na siedemnastą. Mieliśmy zjeść kolację, porozmawiać, po prostu spędzić razem trochę czasu. Mój wtedy jeszcze chłopak był niesamowicie miły. Cały dzień wysyłał mi wiadomości, w których zapewniał o swojej miłości. Ucieszyłam się. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam, że nasz związek jest niezniszczalny.

Od samego rana przygotowywałam się na ten wieczór. Postanowiłam zrobić mu niespodziankę i zjawić się godzinę wcześniej. Kiedy stanęłam w przedpokoju jego mieszkania, zamurowało mnie. Nie byłam w stanie mówić ani się poruszać, a oni byli tak zajęci sobą, że nie usłyszeli przekręcania klucza w zamku, więc po prostu stałam i kilka cholernie długich sekund patrzyłam, jak mój ukochany posuwa swoją piękną koleżankę rezydentkę.

Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie upokorzył. Po naszym rozstaniu czułam ogromną pustkę, aż do... teraz. Szeroko otwieram oczy, kiedy uświadamiam sobie co, a raczej kto mi w tym pomógł. Biegnę do łazienki i bezceremonialnie otwieram drzwi.

– Jak on się nazywa? – pytam Nancy, która zawzięcie myje zęby.

Na mój widok wypływa pianę do umywalki.

– Kto? – Zanim zdążę odpowiedzieć, uśmiecha się szeroko. – Mel, zapomnij o nim.

– Wiesz czy nie?

Przyjaciółka starannie płucze usta, po czym wyciera twarz miękkim ręcznikiem.

– Nie mam pojęcia, kim on jest – odpowiada. – Jasne, jest niesamowicie przystojny, ale wydał mi się trochę dziwny. Każdy normalny facet w jego sytuacji odsunąłby

się od ciebie albo po prostu stałby zszokowany faktem, że nieznajoma kobieta rzuca się na niego, a co on zrobił? Przyciągnął cię do siebie i wyglądał, jakby wcale nie chciał się z tobą rozstawać. Nie ukrywam, że trochę się go bałam.

Coś wewnątrz mnie nie zgadza się z ani jednym jej słowem. Odwracam się i zaciskam usta w wąską linię.

– Muszę się zdrzemnąć – rzucam przez ramię, wciąż czując zniewalający zapach męskich perfum.

\*\*\*

Ze snu wyrywają mnie dźwięki dzwonka wydobywające się z telefonu leżącego tuż przy poduszce, na której spoczywa moja głowa. Nie wiem, jak długo spałam, ale czuję się jeszcze gorzej niż przed położeniem się do łóżka. Spoglądam na wyświetlacz, mimowolnie się krzywiąc. *Amelie*. Kusi mnie, żeby odrzucić połączenie, jednak jedynie odczekuję kilka sekund, po czym odbieram.

– Tak, mamo?

– Najmocniej cię przepraszam, kochanie – słyszę skruszony głos mamy. – Ta sprawa była naprawdę bardzo ważna. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Zapewne dziadek kazał jej do mnie zadzwonić i przysłuchuje się rozmowie, bo nigdy nie nazwałaby mnie *kochaniem* z własnej woli.

– Nie gniewam się – przyznaję szczerze. – Jest mi po prostu przykro. Ale zapomnijmy o tym. W końcu studia kończy się tyle razy w życiu...

– Melody, przestań – nakazuje rodzicielka już swoim naturalnym, chłodnym tonem. – Powinnaś zrozumieć, że w dorosłym życiu człowiek zmuszony jest dokonywać różnych wyborów, a już szczególnie w naszym zawodzie. Sama się o tym przekonasz, kiedy zaczniesz pracę w „Prince&Stone”.

Odrzucam kołdrę na bok, zrywając się z łóżka.

– Jak to zacznę pracę w „Prince&Stone”? – pytam, nie poznając swojego piskliwego głosu. – Umawialiśmy się, że tutaj pomożecie mi znaleźć staż i...

– Nie wygłupiaj się – nie pozwala mi dokończyć. – Potrzebujemy cię w kancelarii. Wszystkie dokumenty są już przygotowane, a najdalej za kilka tygodni rozpoczniesz pracę u nas.

Rozłącza się po tych słowach.

Kręcę głową z niedowierzaniem, wpatrując się tępo w telefon. Ja nadal śnię, prawda? Moja szalona matka wcale nie postanowiła zaplanować całego mojego życia. Już wystarczy, że wybrała mi studia, których wcale nie chciałam, a które skończyłam z wyróżnieniem, na które wcale nie zasługiwałam, ponieważ już teraz nie pamiętam większości definicji, ważnych dla mnie jedynie do momentu rozpoczęcia egzaminu.

Szczypię się mocno w nadgarstek, sycząc z bólu. Jednak nie śnię, a rozmowa z Amelie odbyła się naprawdę. Cholera! Muszę jak najszybciej skontaktować się z dziadkiem – tylko on jest w stanie przemówić jej do rozumu.

# Rozdział 1

Nancy siedzi na parapecie okna w kuchni i ze wzrokiem wbitym w szybę zajada się jogurtem. Ma idealny widok na parking przed budynkiem, dlatego gdy tylko zauważy czerwone porsche mojego dziadka, zeskakuje z parapetu.

– Nie mówiłaś, że twoja matka to taka laska – mówi podekscytowana, nie odrywając wzroku od okna. Mam ochotę przewrócić oczami, lecz zamiast tego podchodzę do przyjaciółki. – Ile ona ma lat?

Widzę, jak jasnowłosa Amelie stoi przed samochodem i cierpliwie czeka, aż dziadek do niej dołączy. Ma na sobie idealnie podkreślający jej smukłą sylwetkę błękitny garnitur i czarne szpilki.

– Trzydzieści dziewięć – odpowiadam obojętnie.

Nancy wbija wzrok w ścianę za moimi plecami, licząc szybko w myślach. Jeśli moje słowa ją zaskoczyły, w żaden sposób nie daje tego po sobie poznać.

– Nigdy nie mówiłaś, że masz tak młodą mamę – stwierdza z wyrzutem.

Amelie urodziła mnie, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Nigdy nie chciała mi powiedzieć, z kim zaszła w ciążę, a ja jakoś nie naciskałam. Czułam, że nie mogę domagać się prawdy. I choć mama zawsze trzymała mnie na dystans, moje dzieciństwo było naprawdę udane. Dostawałam wszystko, czego chciałam, a ojca zastępował mi dziadek.

– Nie sądziłam, że mogłoby cię to interesować – przyznaję.

Odrywa wzrok od mojej twarzy, po czym ponownie wpatruje się w okno.



– Tylko nie mów, że ten przystojniak jest twoim dziadkiem, bo nie uwierzę!

Uśmiecham się na widok Hudsona, który staje obok Amelie. To właśnie tego mężczyzny o kruczoczarnych włosach brakowało mi najbardziej. Jest moją definicją słowa *bezpieczeństwo* i kocham go nad życie.

Kiedy moja rodzina znika z pola widzenia, odsuwamy się od okna.

Zaciskam pięści, by ukryć drżenie dłoni. To moja jedyna rodzina. Chcą dla mnie jak najlepiej. Dlaczego więc tak bardzo się denerwuję?

Kiedy Nancy wyrzuca do kosza opakowanie po jogurcie, rozbrzmiewa dźwięk dzwonka drzwi. Od razu ruszam otworzyć, nie chcąc, żeby goście czekali zbyt długo. Naciskam na klamkę i natychmiast wpadam w objęcia dziadka. Chowam twarz w jego granatowej koszuli, która pachnie domem i znów przez chwilę czuję się jak mała dziewczynka.

– Witaj, kochanie – mówi Hudson prosto w moje włosy.

Odsuwam się od niego, uważnie mierząc go spojrzeniem od stóp do głów. Wygląda tak samo nienagannie jak zawsze. Prezencja była u nas pierwszorzędną kwestią, odkąd sięgam pamięcią.

– Dobrze cię widzieć – odpowiadam nieśmiało. – Cześć, mamó – dodaję, zauważając niezadowoloną minę Amelie. – Wejdźcie.

Oboje ruszają do salonu, gdzie na kanapie siedzi Nancy.

– Dzień dobry. – Podrywa się na ich widok. – Nancy Johnson – przedstawia się, podając dłoń najpierw mamie, następnie dziadkowi. – Bardzo miło mi państwa poznać.

– Wiele dobrego o tobie słyszeliśmy – odzywa się dziadek ciepłym głosem.

Robi mi się szkoda przyjaciółki, kiedy zauważam, jak Amelie świdruje ją niezyczliwym spojrzeniem.

– Czego się napijecie? – pytam, by przerwać niezręczną ciszę.

– Nie traćmy cennego czasu – mówi mama, przenosząc spojrzenie stalowych oczu na mnie. – Weź tylko te walizki, w których masz najpotrzebniejsze rzeczy, a resztę zabiorą nasi ludzie.

Siada na brzegu kanapy, jakby się bała, że się pobrudzi. Bez słowa ruszam do pokoju, który przez ostatnie lata był moim domem. Kiedy przekraczam jego próg, mam ochotę się rozplakać. Zamiast tego uśmiecham się na widok korkowej tablicy, na której wciąż widnieją zdjęcia. Przypinałam je niemal od samego początku. Nie mogę jednak tak tu ich zostawić, więc wchodzę na łóżko i sprawnie odpinam wszystkie uwiecznione wspomnienia.

Kiedy dziewięć tygodni temu – wiem, bo liczyłam każdy dzień – mama zadzwoniła, oznajmiając, że mam wrócić do domu, byłam przeciwna temu pomysłowi. Po zakończeniu nauki chciałam się usamodzielić. Odciąć się od rodziny i pewnym krokiem ruszyć w świat. Po cichu liczyłam również na to, że może nie uda mi się znaleźć pracy w swoim zawodzie, dzięki czemu będę mogła spróbować czegoś, przy czym nie będę odczuwać fizycznego bólu na samą myśl.

Jednak po długiej rozmowie z Nancy uznałyśmy, że powrót do domu będzie dla mnie najlepszym rozwiązaniem, a staż w „Prince&Stone” może dać mi o wiele większe możliwości niż jakakolwiek inna kancelaria. Poświęciłam kilka lat życia prawu i wszystkiemu, co z nim związane. Uznałam, że powinnam przynajmniej spróbować wejść w ten świat.

Przekonać się, czy faktycznie jest tak fascynujący, jak twierdzą mama i dziadek.

Ostatnie zdjęcie, które przedstawia mnie i moją przyjaciółkę, ląduje w mojej dłoni. W tym samym momencie rozbrzmiewa dźwięk dzwonka mojego telefonu. Sięgam do tylnej kieszeni dzinsów i z niesmakiem chowam telefon z powrotem na miejsce, po czym schodzę z łóżka, wolną ręką chwytam jedną ogromną walizkę i wracam do salonu.

– Naprawdę musiałam do ciebie dzwonić, żebyś się pospieszyła? – syczy Amelie, mrużąc oczy.

Jeśli jest coś, co najbardziej zniechęca mnie do powrotu, to jest to właśnie ona. Zdążyłam się już odzwyczaić od jej permanentnego podłego humoru.

– Przepraszam – odpowiadam, lecz w moim głosie nie ma ani cienia skruchy.

– Hudsonie – zwraca się do swojego ojca – wytłumacz Melody, że powinna się pospieszyć. – Wstaje, po czym zmierza ku drzwiom wyjściowym. – Zaczekam w samochodzie.

Kiedy drzwi się za nią zamykają, wbijam wzrok w dziadka.

– Przepraszam cię, kochanie – mówi skruszony. – Ostatnio trudno z nią wytrzymać.

Prycham.

*Trudno z nią wytrzymać, odkąd tylko sięgam pamięcią, myślę złośliwie.*

– Lepiej już chodźmy.

Dziadek zaciska zadbaną dłoń na uchwycie walizki, a następnie rusza do wyjścia. Oddycham głęboko, walcząc z rosnącą gulą w gardle. Ze wszystkich sił staram się nie spojrzeć Nancy w jej jasnozielone oczy, ponieważ wiem, że to się źle skończy.

– Mel – jąka moja przyjaciółka przez zaciśnięte gardło.

Bez słowa rzucam się jej na szyję i tulę mocno, wstrzymując oddech.

Przez ostatnie lata Nancy była dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam. Dzielnie znosiła moje humory. Śmiała się ze mną na głupich komediach i pocieszała mnie po każdym trzęsieniu w moim życiu. Nic dziwnego, że jest mi tak trudno zostawić ją tu samą.

– Zadzwoń, jak dojedziemy – szepczę, odsuwając się, po czym wierzchem dłoni ocieram spływającą po policzku łzę.

– Nie zapomnij o mnie – prosi, uśmiechając się przez łzy.

Kręcę głową, rozciągając usta w takim samym smutnym uśmiechu.

– Nigdy – zapewniam, po czym razem z dziadkiem wychodzimy z mieszkania.

\*\*\*

Ożywiam się, kiedy Hudson skręca w Madison Street. W tej dzielnicy spędziłam większość nastoletniego życia, snując się z dziećmi znajomych dziadka. Kiedy prawnicy oddawali się swojej pracy, my mogliśmy robić, co nam się tylko podobało. Nie zawsze kończyło się to dobrze. Raz wylądowaliśmy w szpitalu – ja ze skręconą kostką, a Jess z rozbitą głową. Jechałyśmy obie na deskorolce, zbyt małej na nas dwie i w efekcie wylądowałyśmy daleko od niej. Stałyśmy się plątaniną ludzkich kończyn, a pozostałym chwilę zajęło, zanim nas rozdzielili. Właściwie można powiedzieć, że jej głowa jakimś cudem skręciła mi kostkę, uderzając w nią. Uśmiecham się szeroko na wspomnienie moich największych młodzieńczych wybryków.

– Dobrze się czujesz? – pyta złośliwie mama.

Zamykam powieki, przybierając poważny wyraz twarzy, a kiedy ponownie je unoszę, dziadek wjeżdża do podziemnego garażu budynku w samym centrum miasta. *Więc to tu od dzisiaj będę mieszkać*, myślę ze wzrokiem utkwionym w szybie. To samo centrum. Idealne miejsce na mieszkanie dla ludzi niemających czasu na życie prywatne.

Gdy dziadek parkuje, wyłączając silnik, otwieram drzwi i wysiadam. Rozglądam się po wypełnionym jasnym światłem garażu. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Mama kupiła tu mieszkanie zaraz po tym, jak wyjechałam na studia, a kiedy przyjeżdżałam na święta, zawsze spotykaliśmy się w domu dziadka.

– Marzę o kąpeli – słyszę słodki głos Amelie i już wiem, że nie mówi do mnie.

W milczeniu wjeżdżamy windą na czternaste piętro wieżowca.

Czy to nie dziwne, że czuję się niezręcznie w towarzystwie najbliższej rodziny? Zatrzymujemy się przed drzwiami z ciemnego drewna. Mama smukłym palcem wstukuje kod na dotykowym panelu, po czym wchodzi do środka, a ja zaraz za nią.

Ogromny dwupiętrowy apartament urządony jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Elegancja i luksus. Przede wszystkim luksus. Wszędzie stylowe meble i dzieła sztuki na zdobionych tapetami ścianach. Mama zawsze lubiła wyrafinowane wzornictwo, ale jeszcze żaden z naszych domów nie był tak bardzo w stylu *art déco*.

Zsuwam ze stóp beżowe espadryle Chanel i niepewnym krokiem wchodzę do wypełnionego światłem pokoju dziennego otwartego na całe mieszkanie. Moją uwagę przykuwa bogato zdobiony żyrandol, wiszący nad stolikiem kawowym zrobionym ze szkła i czegoś, co wyglądem przypomina złoto. Siadam na czerwonej kanapie, kładąc dłonie po obu stronach

bioder. Chyba nigdy nie dotykałam nic bardziej miękkiego.

– Robi wrażenie, co? – pyta dziadek z uśmiechem, stawiając na drewnianej podłodze moją walizkę.

– Niesamowite – przyznaję. – Musiałeś być nieprzytomny, kiedy mama wydawała fortunę na urządzenie tego mieszkania.

Wzrusza ramionami.

– To pieniądze twojej mamy, kochanie. Ma prawo robić z nimi, co tylko chce.

Coś się zmieniło w naszych relacjach. Brakuje nam tej swobody, którą wcześniej czuliśmy, rozmawiając ze sobą. Jesteśmy dla siebie zbyt mili, jakbyśmy się bali urazić się przypadkiem nieprzemyślanym słowem.

– Przy urządzaniu poprzednich mieszkań nie byłeś tak pobłażliwy – przypominam z uśmiechem.

Pierwsze jedenaście lat życia spędziłam mieszkając z dziadkami w ich domu. Później razem z mamą przeprowadzałyśmy się bardzo często, lecz nigdy daleko od dziadka. Myślę, że to było dla niej wygodne. Kiedy potrzebowała pomocy w opiece nade mną, wystarczył telefon i kilkanaście minut później babcia lub dziadek zjawiali się po mnie.

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz swoją sypialnię – wtrąca Amelie, stawiając przede mną filiżankę parującej kawy.

Jest w o wiele lepszym humorze, niż była jeszcze piętnaście minut temu. Zawsze zastanawiałam się, jak ona to robi, że tak płynnie przeskakuje z nastroju w nastrój.

– Najchętniej zrobiłabym to teraz – przyznaję, podnosząc się. – Nie ukrywam, że jestem zmęczona. Chciałabym się już położyć.

Mama posyła dziadkowi pytające spojrzenie, na co ten powoli kiwa głową. Odkąd pamiętam, konsultuję ze sobą każdą najmniejszą drobnostkę.

– Dobrze – zgadza się. – Do zobaczenia rano.

Uśmiecham się nieznacznie, po czym niemal biegnę w stronę marmurowych schodów.

Amelie miała rację. Moja sypialnia zapiera dech w piersiach. W centralnej części pomieszczenia stoi duże białe łóżko z wysokim pikowanym zagłówkiem, wokół którego biegnie rama z luster. Po obu jego stronach stoją białe szafki nocne, a na nich niewielkie, kryształowe lampki.

Na jednej z jasnych ścian znajdują się dwoje drzwi. Kiedy ruszam do jednego z nich, moje stopy przyjemnie zapadają się w miękkiej wykładzinie w kolorze écru. Chwilę zajmuje mi ich otwarcie. Gdy w końcu domyślam się, że po prostu trzeba je przesunąć, moim oczom ukazuje się łazienka urządzona w ciemnoszarych barwach, zupełnie inna od wystroju pozostałych pomieszczeń.

Wolnostojąca wanna kusi mnie niezwykłym designem, więc od razu podchodzę, włączam wodę i czekam, aż napełni się po brzegi. Kiedy w końcu zdejmuję ubranie i zanurzam się w gorącej wodzie, czuję niewyobrażalną ulgę. Nareszcie jestem sama. To nie tak, że nie kocham rodziny i nie chcę spędzać z nimi czasu. Po prostu zdążyłam już zapomnieć, jak bardzo ich towarzystwo potrafi być... męczące.

Nagle czuję, jak ogarnia mnie przygnębienie na myśl o wspólnej pracy w kancelarii. Nie tak wyobrażałam sobie swoje życie, jednak to ono zdecydowało za mnie. *Wcale nie*, zaprzecza złośliwy głos z tyłu głowy. *Nie potrafisz sprzeciwić się matce. Nigdy nie potrafiłaś*, dodaje bezlitośnie. Gdzieś w głębi duszy wiem, że to prawda. Amelie zawsze wymagała ode mnie dwustu procent w niemal każdym aspekcie życia już od najmłodszych lat.

I nieważne, jak bardzo się starałam, zawsze znalazła coś, co jej nie pasowało.

Odpędzam przygnębiające wspomnienia i skupiam się na jutrzejszym debiucie.

Jutro spędzę pierwszy dzień w „Prince&Stone”. Zmienił nazwę, odkąd połączyli siły z konkurencją. Od tamtej pory, czyli od dwóch lat, kancelaria jest numerem jeden w zestawieniu „Law360”. Niestety, nigdy nie było mi dane poznać drugiego właściciela kancelarii. Mam nadzieję, że jutro mi się to uda.

Wychodzę z wanny, kiedy woda jest już zupełnie zimna, po czym owijam się miękkim ręcznikiem. Wracam do sypialni wypełnionej ciepłym światłem. Staję przy przeszklonej ścianie, patrząc na rozciągającą się u moich stóp panoramę miasta. *Bądź dla mnie łaskawe*, proszę w myślach, a następnie odwracam się, wyłączam światło i wsuwam pod ciepłą kołdrę.

\*\*\*

Długo zastanawiam się, co na siebie włożyć. W końcu wybór pada na błękitną sukienkę, która idealnie przylega do ciała, oraz złote szpilki od Steve’a Maddena. Nie denerwuję się tak bardzo jak wczoraj, a strach przed nieznanym zastępuje ekscytacja i ciekawość. Kiedy schodzę na dół, mama i dziadek już na mnie czekają. Zawsze podziwiałam dziadka za to, że każdego dnia wstaje o świcie, by przyjechać po mamę, która z jakiegoś powodu bardzo rzadko wsiada za kierownicę.

– Bardzo ładnie wyglądasz – mówi Amelie, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

Oddycham z ulgą, słysząc, że tym razem udało mi się ją zadowolić. Jednocześnie zastanawiam się, jak to możliwe, że tak bardzo się różnimy. Stalowoszare tęczówki, idealnie prosty nos, jasne włosy – to wszystko sprawia, że moja matka jest naprawdę piękną kobietą, a jej chłodny sposób bycia działa na mężczyzn jak



magnes. Odziedziczyłam po niej jedynie pociągły kształt twarzy i jasny, porcelanowy odcień skóry.

– Dziękuję – odpowiadam z uśmiechem. – Możemy już jechać?

Niski śmiech dziadka odbija się od ścian pokoju dziennego.

– Twoja mama nie była taka zachwycona, gdy wprowadzaliśmy ją z Helen do naszego świata.

Na dźwięk imienia babci robi mi się smutno. Odeszła kilka lat temu, tuż przed moim wyjazdem na studia, a ja wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Była jeszcze taka młoda i pełna życia... Wiadomość o jej śmierci dogłębnie wstrząsnęła każdym z nas.

Po prostu któregoś dnia zaszyła się w letnim domu nad jeziorem. To była jej samotnia. Jeździła tam, gdy chciała odpocząć, a my nigdy jej nie przeszkadzaliśmy. Tak było i tym razem, choć jej nieobecność podejrzanie się przedłużała. W końcu dziadek dostał telefon z policji. Babcię ktoś zastrzelił w jej ukochanym domu... Ot tak, jakby jej życie było nic niewarte. Sprawcy nigdy nie odnaleziono.

Kręcę głową, żeby odgonić nieprzyjemne wspomnienia. Zauważam smutny wzrok Hudsona i zakłopotane spojrzenie Amelie. Na studiach uczono nas, jak maskować emocje. Wydawało mi się, że byłam w tym naprawdę dobra. Następnym razem muszę bardziej się pilnować.

W milczeniu zjeżdżamy windą do podziemnego garażu. Ponownie zajmuję miejsce na tylnej kanapie porsche.

– Mel, zapomniałem ci powiedzieć o czymś ważnym – mówi Hudson, wyjeżdżając z garażu. – Nie będziesz pracować z nami, tylko ze Stonem.

– Jak to? – Nie kryję zdziwienia.

Dziadek spogląda w lusterko wsteczne.

– Uznaliśmy, że tak będzie lepiej dla ciebie. My nie bylibyśmy w stanie oceniać twojej pracy obiektywnie.

Kiedy wjeżdżamy na 5th Avenue, sygnalizator zmienia barwę, więc zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oboje czegoś mi nie mówią. Zapewne chodzi o coś więcej niż obiektywność względem mojej pracy, jednak nie mam odwagi, żeby zapytać o to wprost.

– Okej – bąkam tylko, nie wiedząc, co więcej mogłabym powiedzieć.

„Prince&Stone” mieści się na pierwszym piętrze okazałego budynku i zajmuje niemal całą kondygnację. Wszystko wygląda tutaj dokładnie tak, jak zapamiętałam. Niezliczona ilość gabinetów i ludzi. Zupełnie nowi pracownicy, ale i tacy, których doskonale znam, ponieważ pracują tu od lat. Wciągam w nozdrza charakterystyczny zapach drewna, kawy i kartek papieru.

Stukot moich złotych szpilek niesie się echem po jasnym holu. Uśmiecham się nieśmiało do osób, które mijamy, lecz większość tego nie zauważa, całą uwagę poświęcając szefowi i jego córce. Zatrzymujemy się przed drzwiami, na których widnieje plakietka z napisem *James Stone*.

– Panie przodem – mówi Hudson, wskazując ręką na białe drzwi.

Biorę głęboki oddech i chwytam za klamkę. W tym samym momencie drobna kobieca dłoń ląduje na moim ramieniu. Odwracam się.

– Pamiętaj, że tutaj jesteśmy dla ciebie Amelie i Hudsonem – przypomina mama.

Ze zrozumieniem kiwam głową, wtykając za ucho ciemny kosmyk włosów, który uwolnił się z ciasno spiętego koka na czubku głowy, po czym naciskam

klamkę i wchodzę do gabinetu. Przy dużym, masywnym biurku z ciemnego drewna siedzi siwowłosy mężczyzna, niewiele młodszy od dziadka. Owalną twarz ma gładko ogoloną, a na zbyt dużym w stosunku do twarzy nosie widnieją okulary. Jego długie palce biegają po klawiaturze komputera z imponującą prędkością. Zdaje się, że w ogóle nie słyszał, kiedy weszliśmy.

Dziadek chrząka znacząco.

– Chwileczkę – mówi James, nie odrywając wzroku od ekranu MacBooka. Pisze jeszcze kilka zdań, po czym podnosi na mnie ciemnobrązowe spojrzenie. – Panna Prince, jak mniemam. – Wstaje, okrąża biurko i ujmuje moją dłoń. – James Stone – przedstawia się. – Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracowało.

Uśmiecham się, choć wcale nie jest mi do śmiechu. Jest w nim coś, co budzi we mnie same negatywne uczucia i każe trzymać go na dystans.

– Uczynię wszystko, aby tak było, panie Stone.

Mężczyzna puszcza moją dłoń i wraca na swoje miejsce, nie odrywając wzroku od mojego ciała. Zawstydzona kulę się nieznacznie, żałując, że włożyłam tak obcisłą sukienkę.

– Na początek zajmiesz się segregacją dokumentów – oznajmia Stone, nie siląc się na dalsze uprzejmości. Posyłam pełne wyrzutu spojrzenie Hudsonowi, lecz ten tylko wzrusza ramionami. – Jak już się z tym uporasz – ciągnie dalej z uśmiechem – pomożesz mojemu siostrzeńcowi. – Otwieram usta, żeby powiedzieć Stone'owi, że nie tak miała wyglądać moja praca, lecz w tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi. – O wilku mowa – woła wesoło mój przełożony, kiedy młody mężczyzna wchodzi do środka.

Brunet wita się z nami uprzejmym kiwnięciem głowy, kładąc na biurku cienką teczkę. Jest wysoki i dobrze

zbudowany. Sporo starszy ode mnie i... Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś go widziałam.

– Singh – odzywa się James – poznaj pannę Prince, stażystkę.

Stażystkę? *Jestem córką właścicielki, dupku!*, ciśnie mi się na usta. I tylko palce dziadka ściskające moje ramię powstrzymują mnie przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

Siostrzeniec Jamesa staje twarzą do mnie. Jest tak wysoki, że muszę zadrzeć brodę bardzo wysoko, by widzieć jego twarz. Moją uwagę przykuwają oczy w kolorze ciekłego miodu. Piękne, duże tęczówki z rozszanymi wokół źrenicy złotymi plamkami patrzą na mnie życzliwie, ale głos z tyłu głowy każe mi brać nogi za pas i wiać, gdzie pieprz rośnie. Ignoruję go jednak, wpatrując się w przystojną, opaloną twarz, zaczesane do tyłu ciemne włosy i pełne, idealnie wykrojone usta.

– Rhys Singh – przedstawia się.

Kiedy moja drobna dłoń chowa się w dużej i ciepłej dłoni mężczyzny, mam wrażenie, że już znam tę gładkość skóry. Ten głos...

Chrząknięcie Hudsona przywołuje mnie z powrotem na ziemię i uświadamiam sobie, że stoję z rozdziawionymi ustami, bezczelnie gapiąc się na bruneta, ale... Mój Boże! Czy to możliwe, że to...

– Moja córka denerwuje się pierwszym dniem pracy – wyjaśnia szybko Amelie, by przerwać niezręczną ciszę i usprawiedliwić moje zachowanie.

I wtedy mężczyzna śmieje się cicho, a niski, seksowny do granic możliwości dźwięk odbija się echem od ścian gabinetu. Teraz mam już pewność. To te usta całowałam tej nocy, kiedy razem z Nancy świętowałyśmy zakończenie studiów. To te dłonie pewnie trzymały moje rozgrzane ciało. Kręci mi się w głowie, a w uszach słyszę jedynie szum własnej krwi i mocne dudnienie serca.

– Dobrze się czujesz, Mel? – Zniekształcone słowa dziadka docierają do mnie, jakby wypowiadał je, będąc pod wodą.

Jest mi gorąco i zimno na zmianę, a na gardle zaciska się stalowa dłoń, która skutecznie odcina mi dopływ świeżego powietrza. Źle ze mną. Zmuszam się, żeby się odwrócić i wyjść. Muszę jak najszybciej zostać sama. Znaleźć się z dala od pięknego nieznajomego, którego obecność odbiera mi możliwość racjonalnego myślenia.

## Rozdział 2

Słyszę, jak za moimi plecami obcasy mamy nerwowo uderzają o podłogę, jednak nie przyspieszam, wiedząc, że nie mam tutaj dokąd uciec. Chwilę później dogania mnie, kiedy wciskam guzik przywołujący windę.

– Co to miało być? – syczy, stając tuż obok mnie. – Jeszcze nigdy nie było mi za ciebie tak wstyd!

Jest wściekła i wcale jej się nie dziwię. Bardzo ważne jest dla niej zdanie innych. Zawsze starała się być w czyichś oczach nieskazitelna. Idealna córka. Idealna matka. Idealna adwokat. Zaprezentowałam się z bardzo niekorzystnej strony. Skompromitowałam ją przy przedstawicielach ważnych stanowisk i jestem pewna, że nie ujdzie mi to na sucho. Drzwi windy się rozsuwają. Kilka osób będących w środku wita nas uprzejmym kiwnięciem głowy. W milczeniu zjeżdżamy dwa piętra niżej, po czym wysiadamy, a razem z nami pozostali pasażerowie.

– Melody! – Amelie zaciska dłoń na moim przedramieniu i mocno ciągnie, zmuszając mnie do stanięcia z nią twarzą w twarz. – Zadałam ci pytanie.

Chłód jej stalowych oczu sprawia, że mam ochotę zniknąć, rozpuścić się w powietrzu.

– Ja... – Nie wiem co powiedzieć. – Przepraszam – bąkam w końcu. – Nie czuję się najlepiej.

Jej oczy przecina niebezpieczny błysk.

– Jak mogłaś się tak skompromitować?! – wybucha, nie zwracając uwagi na przysłuchujących się naszej rozmowie pracowników. – Czy ty wiesz, kim jest Singh?! Nie masz pojęcia, jak ogromne ma wpływy i ile mu

zawdzięczamy! Jak mogłaś tak po prostu stać i nie odezwać się ani słowem?! Jesteś...

– Dość! – Kiedy ostry jak brzytwa głos Hudsona przecina powietrze, Amelie natychmiast milknie. – Mel, do samochodu – nakazuje, pilotem otwierając pojazd. Szybko robię, co każe, w obawie, że jego gniew dosięgnie także mnie. – A ty – zwraca się do poczerwieniałej z wściekłości córki – przemyśl swoje zachowanie i zadzwoń, kiedy ochłoniesz.

Dziadek zajmuje miejsce za kierownicą i uruchamia silnik. Zaciskam powieki, kiedy przejeżdżamy obok Amelie, nie chcąc widzieć jej pełnego wyrzutu spojrzenia.

Jednak gdzieś w środku, w najciemniejszych zakamarkach duszy czuję satysfakcję. Kolejny raz miłość do wnuczki zwyciężyła z miłością do córki. I wiem, że mama nigdy mi tego nie wybaczy.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie pierwszy dzień w nowej pracy. Tymczasem zakończył się po niespełna trzydziestu minutach, z czego ponad dziesięć upłynęło na mojej kompromitacji. Jedynym plusem w całej tej absurdalnej sytuacji jest to, że Singh mnie nie poznał, a jeśli nawet, to w żaden sposób tego nie zdradzał.

Gdy dziadek zabrał mnie z „Prince&Stone”, pojechaliśmy prosto do niego – jedynego miejsca, które od zawsze uważam za dom – gdzie od razu zaszyłam się w swoim dawnym, dziecięcym pokoju, błagając piekło, by pochłonęło wszystkich świadków dzisiejszych wydarzeń.

Lecz kiedy mijały godziny, a to, czego najbardziej pragnęłam, wcale się nie spełniało, postanowiłam, że zrobię wszystko, by wymazać złe pierwsze wrażenie. Dlatego teraz stoję na fotelu biurowym, który jest o wiele wygodniejszy, gdy się na nim siedzi, próbując dosięgnąć sterty teczek leżących na najwyższej półce

regału w gabinecie Isabell, księgowej i prawej ręki Hudsona.

– Spróbuj tym. – Kobieta podaje mi długą linijkę.

Uśmiecham się do niej w odpowiedzi. Znam ją od zawsze i świetnie czuję się w jej towarzystwie, a dzięki jej pomocy bez problemu udaje mi się dosięgnąć starych dokumentów. Rzucam teczki na biurko, po czym schodzę z krzesła. W powietrzu unosi się zapach kurzu i atramentu drukarki, która nieustannie pracuje. Uważnie przeglądam każdą kartkę. Oczy już pieką mnie od wysiłku, a za mną dopiero jedna czwarta tego, co powinnam zrobić.

Nie spieszę się, pilnując, by nie popełnić żadnego błędu przy archiwizacji i wprowadzaniu danych do komputera. Jeszcze bardziej nie chcę spotkać się z Rhysem Singhem. Pamiętam, że zanim zrobiłam z siebie idiotkę, Stone mówił, że kiedy skończę porządkować dokumenty u Isabell, będę pomagać jego siostrzeńcowi. A im później to nastąpi, tym lepiej dla mnie.

– Jaki jest Stone? – pytam niby od niechcienia Isabell.

Nie miałam zbyt wiele okazji, żeby z nim porozmawiać, ale coś mi w nim nie pasuje. Wydaje mi się najbardziej zakłamaną osobą, jaką spotkałam w swoim krótkim życiu. Nie ufam mu i boję się, że moja rodzina źle wyjdzie na współpracy z nim.

Kobieta podnosi na mnie jasne oczy znad klawiatury komputera.

– Pan Stone to dobry człowiek – stwierdza po chwili namysłu. Wybałuszam oczy w zdziwieniu. – Naprawdę, Mel. Wiem, że trudno ci teraz w to uwierzyć, ale da się lubić. Jego sposób bycia jest dość... specyficzny, ale kiedy już go poznasz, z pewnością przyznasz mi rację.

*Nie sądzę, myślę.* Z moich ust pada kolejne pytanie:

– A jego siostrzeniec?



Umalowane jasnoróżową szminką usta księgowej rozciągają się w uśmiechu, a wokół jasnych oczu pojawiają głębokie zmarszczki.

– Słyszałam, że zdążyłaś już poznać Rhysa – wyznaje.

Na dźwięk jej słów moje policzki przybierają kolor purpury.

– Zapewne cała kancelaria o tym huczy – burczę niezadowolona, wklepując kolejny numer sprawy do specjalnego programu.

– O czym ty mówisz?

– Wczoraj zachowałam się jak... Nieważne. – Lekceważąco macham ręką, chcąc jak najszybciej zapomnieć o wczorajszych wydarzeniach. – Kim on jest?

Isabell zamyśla się na chwilę, jakby zastanawiała się, jak dużo może mi powiedzieć.

– Właściwie pojawił się znikąd – słyszę w końcu. – Nikt z nas wcześniej nie znał go osobiście, a sam James nigdy nie wspominał, że to właśnie on jest jego siostrzeńcem. Jakiś rok temu zwołał zebranie, na którym oznajmił, że będziemy pracować głównie dla jego siostrzeńca, który jest inwestorem giełdowym, a poza tym właścicielem kilkunastu firm. Samego Rhysa poznaliśmy dopiero kilka miesięcy później.

Inwestor giełdowy? Wygląda na kogoś zupełnie innego. *A ilu inwestorów giełdowych znasz?*, drwi ze mnie głos z tyłu głowy. Racja, żadnego...

– I do czego ja mu niby jestem potrzebna? – wypalam bez namysłu. Isabell marszczy brwi, nie rozumiejąc. – Stone chce, żebym pomagała Singhowi, kiedy uporam się z tym – wyjaśniam, wskazując brodą na porozkładane wokół mnie teczki.

Zmarszczka między brwiami kobiety staje się jeszcze bardziej widoczna.

– Nie mam pojęcia – przyznaje cicho. – Z reguły nikt nie ma osobistego kontaktu z Rhysem, jeśli chodzi o sprawy zawodowe. Dotychczas wszystko załatwialiśmy mailowo lub telefonicznie. Powinnaś się cieszyć. Ktoś musiał dostrzec twój potencjał, bo jego sprawy powierzają najlepszym.

Nie sięgam pracującym tu prawnikom nawet do pięt, dlatego teraz jeszcze bardziej mnie to wszystko zastanawia. Najpierw powierzają mi coś, czego nie da się zepsuć, żeby tuż po tym rzucić na głęboką wodę. Miejmy nadzieję, że się nie utopię.

Zamykam teczkę i wstaję. Nie ma sensu dłużej ciągnąć tego tematu.

– Idę po kawę – oznajmiam krótko. – Czarna bez cukru? – pytam, choć dobrze znam odpowiedź.

– Czarna bez cukru – potwierdza, wbijając wzrok w porozkładane przed sobą dokumenty.

Uśmiecham się, wychodząc z gabinetu księgowej, po czym kieruję się do kuchni. Pomieszczenie wypada mniej korzystnie od pozostałych, jeśli chodzi o metraż, ale jest tak samo jasne i sterylnie czyste jak reszta siedziby kancelarii.

Włączam ekspres i już po chwili upijam łyk latte. Kiedy zmieniam program i czekam, aż kubek Isabell się napełni, do kuchni wchodzi moja matka.

– Dzień dobry – wita się uprzejmym tonem.

No proszę. Wcale nie próbuje rozszarpać mi gardła. To miłe zaskoczenie.

– Dzień dobry – odpowiadam bez cienia emocji w głosie.

Zupełnym przypadkiem ubrałyśmy się prawie tak samo. Niemal identyczne garnitury od Pinko, które różni jedynie kolor i wysokie, czarne szpilki.

– Spałaś u Hudsona – bardziej stwierdza, niż pyta. Biorę latte oraz kawę Isabell, po czym kieruję się do wyjścia. – Melody, przepraszam.

Staję jak wryta.

Spodziewałam się usłyszeć wszystko, ale nie przeprosiny.

– Zapomnij – rzucam, odwracając się. – Nic złego nie zrobiłaś.

Dlaczego znowu to robię? Dlaczego pozwalam myśleć innym, że wcale nie postępują źle, choć rzeczywistość jest zupełnie inna? Amelie przeczesuje dłonią jasne, proste włosy. Jest zakłopotana i dzisiaj to ona nie radzi sobie z emocjami.

– Wczoraj potraktowałam cię niesprawiedliwie. To był twój pierwszy dzień. Denerwowałaś się, a ja... Przestraszyłam się, że Singh nie będzie chciał z tobą pracować i...

Oczywiście, że od początku wiedziała, że mam pracować z Singhem. Szkoda, że nie raczyła mnie o tym poinformować. *A co to by zmieniło?*, pytam sama siebie. Nikt nie mógł wiedzieć, że ktoś, kto był jedynie mglistym, pijackim wspomnieniem, nagle ponownie zjawi się w moim życiu...

– Nie gniewam się. – Mój głos brzmi cicho, lecz pewnie.

Amelie otwiera usta, ale odchodzę, zanim cokolwiek zdąży powiedzieć. Jeszcze nigdy nie czułam się tak daleko od niej jak w tej chwili.

Wracam do niewielkiego gabinetu, po czym zasiadam przy biurku i bez reszty oddaję się zleconemu zadaniu. Zapominam o kłótniach, które jak rak wżerają się między mnie a matkę. O żalu, który mam w sobie. I o miodowych tęczęwkach, które od wczoraj prześladują mnie za każdym razem, gdy zamykam oczy.

\*\*\*

Na mokre po kąpeli ciało zakładam szlafrok, a stopy wsuwam w ciepłe kaptcie, po czym opuszczam łazienkę. Szybkim krokiem przechodzę przez pokój na niewielki balkon. Zachwycona panoramą miasta rozciągającą się u moich stóp odpalam papierosa. Kiedy wciągam trujący dym w płuca, coś wewnątrz mnie w końcu się uspokaja.

Rozmyślam o dotychczasowym życiu. Zawsze byłam szczęśliwą osobą, wiedzącą, czego chce od świata. Nie brakowało mi asertywności i pewności siebie. *Stałaś się taka dopiero po wyjeździe na studia*, przypominam sobie w myślach. Dlaczego teraz nie potrafię sprzeciwić się matce? Jestem dorosła, a w jej obecności chwilami czuję się jak pięcioletnia, zagubiona dziewczynka, która nie może spamiętać, ile ma lat.

Wrzucam wypalonego papierosa do popielnicy stojącej w rogu balkonu i jeszcze przez chwilę patrzę na zapadający zmrok. *Cieężko żyć w idealnej rodzinie, kiedy samemu jest się daleko od ideału*, szepcze nieśmiało głos z tyłu głowy. Wyjątkowo się z nim zgadzam, ostatni raz zerkając na kolorowe niebo, po czym wracam do pokoju, zamykam drzwi i aż podskakuję na widok dziadka siedzącego na moim łóżku.

– Co robiłaś? – pyta ostro.

Mam ochotę skulić się pod jego nieustępliwym spojrzeniem, ale przypominam sobie, co sobie obiecałam.

– Byłam zapalić – oznajmiam jak gdyby nigdy nic. Hudson otwiera usta, by coś powiedzieć, jednak tym razem jestem szybsza: – Jestem dorosła, dziadku. Nie możecie ciągle mi czegoś zabraniać. Nie było mnie z wami kilka lat i od tamtej pory wiele się zmieniło. Ja się zmieniłam – poprawiam sama siebie. – Jeśli dalej zamierzacie kontrolować każdy aspekt mojego życia, to wracam do Nancy.

Dziadek wstaje, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy, po czym odwraca się i od razu rusza w kierunku otwartych drzwi prowadzących na korytarz. Przez chwilę wydaje mi się, że przesadziłam i już mam powiedzieć, że nie chciałam sprawić mu przykrości, lecz ten przystaje i odwraca się twarzą do mnie.

– Masz rację – przyznaje ciepło, jakby faktycznie dotarł do niego sens moich słów. – Jesteś dorosła, a ja gdzieś po drodze o tym zapomniałem. Oboje z mamą zapomnieliśmy. Obiecuję ci, że to się zmieni. – Zdziwiona jego słowami unoszę brwi, ale wciąż milczę, widząc, że chce powiedzieć coś jeszcze. – Chciałem ci tylko oznajmić, że za godzinę spodziewamy się z twoją mamą gości i chcielibyśmy, żebyś uczestniczyła w tej kameralnej kolacji.

Od śmierci babci nikt w tej rodzinie nie zaprzętał sobie głowy wspólnymi kolacjami, a gości zapraszano do restauracji. Ci dzisiejsi muszą być naprawdę wyjątkowi, skoro Amelie zgodziła się na ich towarzystwo we własnym apartamencie.

Wsuwam dłonie w kieszenie białego szlafroka.

– Wybacz, ale chciałabym odpocząć – mówię zgodnie z prawdą. – To był ciężki dzień, a jutro czeka mnie kolejna walka z przedawnionymi aktami.

Hudson powoli kiwa głową.

– Wiem, kochanie. Nie będę cię zmuszał. Gdybyś jednak zechciała nam towarzyszyć, będzie nam niezmiernie miło. Jeśli możesz – dodaje na odchodnym – to nie pal w mojej obecności. Będę spokojniejszy, gdy nie będę musiał na to patrzeć.

Po tych słowach wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Zdejmuję szlafrok i podchodzę do łóżka, na którym leży przygotowany wcześniej beżowy dres. Szybko zakładam przez głowę ciepłą bluzę, po czym wciągam na tyłek spodnie z przyjemnej w dotyku dzianiny. W pełni ubrana

siadam na samym środku łóżka, opierając się o pikowany zagłówek.

Chwytam MacBooka, kładę go sobie na udach, po czym piszę do Nancy: *Jesteś?* I niemal natychmiast rozbrzmiewa dźwięk przychodzącej rozmowy. Odbieram od razu, a na ekranie urządzenia pojawia się uśmiechnięta twarz mojej przyjaciółki.

– Nareszcie! – wołam, również się uśmiechając. – Nie sądziłam, że kiedykolwiek będzie mi brakować widoku twojej rozczochranej fryzury.

Swoją drogą, wygląda naprawdę uroczo z włosami sterczącymi na wszystkie strony, jakby dopiero wstała z łóżka.

– Mam dobre wieści, Prince – mówi, wygładzając dłonią jasne włosy. – Wywalili Cartera ze stażu.

Wiem, że nie powinnam cieszyć się z jego nieszczęścia, którym na pewno jest dla niego utrata pracy, bez której nie zdobędzie wymarzonego tytułu, ale nic nie poradzę na to, że po raz pierwszy od dłuższego czasu wieści o moim byłym chłopaku budzą we mnie prawdziwą radość.

– Żartujesz?! – nie dowierzam, rozciągając usta w jeszcze szerszym uśmiechu. – Jak to możliwe?

Nancy wzrusza ramionami, obracając w dłoni żółty ołówek.

– Podobno – robi charakterystyczny gest palcami obu dłoni – zaprzyjaźnił się z żoną ordynatora.

*No tak*, myślę. Jak mogłam zapomnieć, że jedyną miłością Cartera jest seks? Zawsze podkreślał, jak bardzo go uwielbia i na jak wielu płaszczyznach życia mu pomaga. Nie odpuszczał żadnej nadążającej się okazji, by nie popisać się przed kobietą łóżkowymi umiejętnościami. Seks jest jego siłą. A jeśli ma to być seks z kobietą, która teoretycznie jest poza jego zasięgiem, zrobi wszystko, by prędzej czy później zdobyć

jej ciało. To daje mu satysfakcję i karmi jego już i tak przzerośnięte ego.

– Dlaczego mnie to nie dziwi... – mówię bardziej do siebie.

Przyjaciółka niedbale upuszcza ołówek, przerzucając jakieś kartki, zapewne notatki do kolejnych egzaminów, po czym pyta:

– A co to za pilna sprawa, którą chciałaś ze mną omówić?

Biorę głęboki oddech i opowiadam przyjaciółce o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich dniach. O tym, jak wyobrażałam sobie aplikację w „Prince&Stone”, a jak w rzeczywistości wyglądała, o kłótniach z mamą, o szefie, który pożera mnie wzrokiem, gdy tylko znajdzie się w pobliżu. I w końcu o tym, jak bardzo czuję się zagubiona w mieście, w którym spędziłam niemal całe życie, a które teraz wydaje mi się tak obce i przerażające.

– Jest coś jeszcze – stwierdza, kiedy kończę. – O czymś mi nie mówisz.

Kolejny raz utwierdzam się w przekonaniu, że Nancy byłaby o wiele lepszym prawnikiem ode mnie. Potrafi wyczuć, że coś ukrywam nawet przez wideo rozmowę, będąc tak daleko stąd. Nie chcę jej okłamywać. Nie zasługuje na to. Wzdycham zrezygnowana.

– On... – zaczynam niezgrabnie. – Ten mężczyzna, z którym się całowałam...

– Boże, ty znowu o nim? – przerywa mi znudzonym głosem. – Mel, mówiłam ci, że...

– Nancy, on tu jest! – niemal krzyczę. – Mam dla niego pracować!

Prostuje się na dźwięk moich słów.

– Niemożliwe – szepcze, a jej oczy robią się okrągłe jak spodki. – Jesteś pewna, że to on? Byłaś pijana.

Możesz dobrze nie pamiętać, jak wyglądał.

Za to doskonale pamiętam smak jego ust i dotyk dłoni. I... głos. Głos, który gra na każdym kawałeczku mojej duszy.

– To on – powtarzam z przekonaniem. – Rhys Singh.

Na dźwięk moich słów przyjaciółka porusza ustami jak ryba wyjęta z wody.

– Wszystko dobrze? – pytam zaniepokojona.

– Cholera jasna – wydusza w końcu. – Wiedziałam, że już gdzieś go widziałam. Pamiętasz, jak interesowałam się akcjami giełdowymi? – Potwierdzam kiwnięciem głowy, przypominając sobie, że był to jej sposób na reset mózgu po ciężkich sesjach na studiach. – Był okres, gdy jego nazwisko przewijało się niemal w każdym tematycznym artykule – ciągnie. – Singh jest... nieziemsko przystojnym, obrzydliwie bogatym i niesamowicie wpływowym człowiekiem. Nie wiem, jakim cudem los skrzyżował wasze drogi, ale wykorzystaj to, Mel. Ten facet może otworzyć przed tobą cholernie dużo drzwi.

Z trzaskiem zamykam komputer, po czym zimnymi dłońmi dotykam rozpalonych policzków. Nie mam pojęcia, czego od niej oczekiwałam, wyznając jej, że Singh zjawił się w moim życiu, ale na pewno nie tego, że będzie mnie namawiać do wyciągnięcia ze znajomości z nim tyle, ile tylko się da. Jednak jej pomysł wydaje się o wiele lepszy od mojego, którym była ucieczka, zmiana tożsamości albo odejście z pracy, która tylko mnie męczy. Kiedy się prostuję, do moich uszu dobiegają odgłosy rozmowy. To już? Zerkam na zegarek i uświadamiam sobie, że rozmowa z Nancy trwała zdecydowanie dłużej, niż mi się wydawało.

Z szafki nocnej przy łóżku podnoszę pustą butelkę po wodzie. Świetnie! Ostatnio wszystko jest przeciwko mnie, nawet woda. Niechętnie zwlekam się z łóżka, po



czym wychodzę na korytarz. Zapewne kolacja odbywa się w pokoju dziennym, z którego jest doskonały widok na cały dolny poziom apartamentu, lecz przy odrobinie szczęścia uda mi się pozostać niezauważoną.

Najciszej jak potrafię schodzę po schodach. Tak jak myślałam. Odgłosy żywej rozmowy i głośny śmiech Amelie stają się coraz wyraźniejsze. Podchodzę bliżej. Od kuchni dzieli mnie niewielka odległość. Muszę tylko pokonać otwartą przestrzeń, na której nikt mnie nie zobaczy, zakładając, że goście siedzą przy stole jadalnianym. Decyduję się zaryzykować.

Ukradkiem zerkam w lewo i wtedy moje spojrzenie krzyżuje się z pięknymi, zapierającymi dech w piersi tęczęwkami Singha. To on jest tym gościem matki? On i... Krzywię się, kiedy dostrzegam Stone'a. Myliłam się, myśląc, że kolacja odbywa się w jadalni. Wszyscy siedzą w części wypoczynkowej na eleganckich kanapach obitych ciemnoczerwonym materiałem.

Odwracam się na pięcie i znikam, zanim pozostali mnie zauważą. Przeskakuję po dwa stopnie, a moja stopa dwa razy ześlizguje się z krawędzi schodów. Na szczęście udaje mi się je pokonać bez żadnego upadku i chwilę później z mocno bijącym sercem zatraskuję za sobą drzwi pokoju. Nigdy się od niego nie uwolnię. Dotychczas dręczył mnie jedynie w snach, teraz robi to również w realnym życiu. Zrezygnowana siadam na łóżku, chowając twarz w dłoniach. Muszę odpocząć. Położyć się, zamknąć oczy i... Przerażona zrywam się na równe nogi, kiedy coś ciężkiego opada na materac obok mnie.

– Cześć, Melody. – Sposób, w jaki wypowiada moje imię, sprawia, że całe ciało przeszywają mi przyjemne dreszcze.

– Co pan tu robi? – pytam ledwie słyszalnym głosem, trzymając dłonie po lewej stronie klatki piersiowej.

Mężczyzna wstaje, a w jego dużych oczach w kształcie migdałów tańczą wesołe iskierki. Staje zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie. Od jego nagłej bliskości kręci mi się w głowie, a serce wali jak oszalałe.

– Wybacz – mówi, lecz w jego niskim głosie nie słychać ani grama skruchy. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Mimowolnie robię krok w tył. Nie wiem, co zrobić z rękami, więc krzyżuję je na piersi.

– Co pan tu robi? – ponawiam pytanie. Tym razem mój głos brzmi zdecydowanie pewniej.

– Chciałem się przywitać. – Uśmiecha się, odsłaniając białe, równe zęby, a w idealnie ogolonych policzkach pojawiają się dołeczki. Znowu robię krok w tył, a potem kolejny, aż plecami opieram się o chłodną ścianę. – Boisz się mnie? – pyta, nie kryjąc rozbawienia.

– Ja... – Nie wiem co powiedzieć.

Cholera!

Jego obecność kolejny raz odbiera mi możliwość racjonalnego myślenia.

– Spójrz na mnie – prosi, zbliżając się, po czym ujmuję kciukiem i palcem wskazującym moją brodę, czym zmusza mnie, bym na niego patrzyła. Z tej odległości jego oczy są jeszcze piękniejsze. – Co się stało z kobietą, którą poznałem w „Golden Eye”?

*Pamięta!*, krzyczy każda najmniejsza komórka w moim ciele.

Moje policzki przybierają kolor purpury, ale nie odwracam wzroku. Niesamowicie podoba mi się to, jak jego przeszywający wzrok wdziera się do najciemniejszych zakamarków mojej duszy.

– Nie wiem, o czym mówisz – kłamię pewnie.

Kiedy zbliża twarz do mojej, oddech mimowolnie mi przyspiesza.

– Z przyjemnością przypomnielibym ci pewną sytuację – szepcze prosto w moje usta – ale najpierw chcę cię poznać.

Kiedy się odsuwa, cała drzę. *Przypomnij mi!*, krzyczę w myślach. *Poznawać będziemy się później.*

Zaraz. Co?

– Jakie poznawać? – pytam.

Rhys śmieje się cicho, wkładając ręce do kieszeni eleganckich spodni.

– Muszę wracać – oznajmia jak gdyby nigdy nic. – Powiedziałem, że idę do łazienki. Niektórzy mogliby się mocno zdenerwować, zastając mnie w twojej sypialni. Do zobaczenia, Melody.

Wychodzi, zostawiając mnie samą. Przez długą chwilę wpatruję się w drzwi, za którymi zniknęła jego smukła, wysportowana sylwetka. W końcu bez sił osuwam się na podłogę, podciągając kolana pod brodę. Co to w ogóle było? Kompletnie nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Reakcja mojego ciała na bliskość tego piekielnie przystojnego mężczyzny jest dla mnie zupełnie niezrozumiała. Dlaczego, kiedy jest blisko mnie, nie potrafię skupić się na niczym poza jego ustami? Odpowiedź może być tylko jedna. Pragnę go. Od samego początku. Odkąd zobaczyłam go w „Golden Eye”. Odkąd pocałowałam go na tym pieprzonym parkingu. Proszę bardzo! Przyznaję się sama przed sobą. Pragnę Rhysa Singha. Do szaleństwa.

## Rozdział 3

Następnego dnia zwlekam się z łóżka o świcie. Całą noc nie zmrużyłam oka, dlatego teraz wyglądam okropnie. Po gorącym, ale zdecydowanie za krótkim prysznicu zakładam białą koszulę i czarne dżinsy z wysokim stanem, po czym siadam przed toaletką i starannie nakładam podkład na matową skórę twarzy. Na powiekach rysuję idealne, czarne kreski, żeby powiększyć opuchnięte oczy, a naturalnie długie rzęsy delikatnie tuszuję. Na koniec zwiążuję kasztanowe włosy w niedbałego koka na czubku głowy, co zajmuje mi trochę więcej czasu, niż początkowo zakładałam. W garderobie chwytam w dłonie koturny, po czym boso schodzę na dół.

Pokój dzienny wygląda, jakby przed chwilą ktoś się do niego włamał. Jego elegancja blednie przy panującym wokół bałaganie. Na stoliku walają się butelki po szampanie i resztki jedzenia. Mam nadzieję, że ekipa sprzątająca przyjedzie, zanim to wszystko zacznie się psuć, bo inaczej Amelie mocno się wkurzy.

Chłód marmurowej podłogi przenika moje bose stopy, więc czym prędzej wsuwam je w buty, po czym patrzę na zegarek i marszczę brwi. Mama już dawno powinna być gotowa, a nigdzie jej nie widzę. Może powinnam pójść do jej sypialni i sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku? Ruszam przed siebie, lecz przystaję, kiedy słyszę dźwięk wpisywanego kodu. Gdy kilka sekund później drzwi się otwierają, staje w nich roześmiana Amelie, uwieszona na ramieniu dziadka.

– Puść mnie, tato – bełkocze niewyraźnie.

Już samo to, że nazwała Hudsona *tatą*, jest dla mnie szokujące. Odkąd jestem na tym świecie, nigdy nie

słyszałam, by zwracała się do niego inaczej niż po imieniu. Posyłam dziadkowi pytające spojrzenie, lecz ten tylko kręci głową, po czym ciągnie córkę w stronę jej sypialni. Ponownie spoglądam na zegarek. Jeszcze pół godziny i będę spóźniona. Nienawidzę się spóźniać. Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, postanawiam poczekać.

Piętnaście minut później dziadek wraca do salonu. Dysząc ciężko, wygląda, jakby przebiegł maraton.

– Co się stało? – pytam, nie kryjąc ciekawości. – Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie.

Hudson ma na sobie tę samą koszulę, co wczoraj. Widnieje na niej kilka nieestetycznych zagnieceń, co może świadczyć tylko o tym, że był tak zmęczony, że położył się w niej spać.

– Twoja matka i Singh postanowili zabawić się na mieście – wyjaśnia, a mnie robi się niedobrze. *Spędziła z Rhysem całą noc?* – Dobrze się czujesz, Mel?

Ekran telefonu, który trzymam w dłoni, rozbłyśnie. Taksówka właśnie przyjechała.

– T-tak – jękam niepewnie. – Muszę już iść.

W locie chwytam czerwoną torebkę i znikam za drzwiami. Kiedy wychodzę przed budynek, zimne powietrze uderza mi w twarz.

– Cholera! – przeklinam.

Nie miałam pojęcia, że jest tak zimno. Nie mam przy sobie nawet kurtki. Szybko wsiadam do taksówki, na wstępie podając adres kancelarii, po czym wbijam nieobecny wzrok w szybę. Jeszcze raz odtwarzam w głowie słowa dziadka: *Twoja matka i Singh postanowili zabawić się na mieście* – dokładnie tak powiedział. Zastanawiam się, co Amelie i Rhys robili przez całą noc. *Czy to możliwe, by...* Nie dopuszczam do siebie myśli, że mogliby być razem. Co prawda Amelie jest nieco starsza

od Rhysa, ale niedużo. Z powodzeniem mogliby stworzyć ładną parę.

Przecież wczoraj mnie pocałował! *To niemożliwe, by byli razem*, przekonuję sama siebie. Wczoraj między mną a Singhem zaiskrzyło. Nigdy z nikim nie czułam czegoś podobnego. To wzajemne przyciąganie, pożądanie wypełniające niemal każdą komórkę mojego ciała, żądza malująca się w jego oczach... Tego nie da się udawać.

Płacę gotówką za kurs, po czym wysiadam z samochodu.

Przechodzę przez duże, rozsuwane drzwi, kierując się prosto do kancelarii. W „Prince&Stone” wita mnie gwar rozmów, dźwięki pracujących drukarek i zapach świeżo parzonej kawy. Elegancko ubrani ludzie biegają w tę i z powrotem z teczkami, segregatorami i świeżo skserowanymi dokumentami.

To tak ma wyglądać moje życie? Wieczna gonitwa za czymś ulotnym? Za czymś, co wcale mnie nie uszczęśliwia? *Co tu jeszcze robisz?*, zadaję sobie pytanie. *Dlaczego wciąż się na to godzisz?*

– Żeby nie sprawić przykrości mamie i dziadkowi – szepczę sama do siebie.

Tak wiele wysiłku i pieniędzy włożyli w moją edukację. Chcieli, bym była taka jak oni. Chcieli być ze mnie dumni. Odrywam wzrok od prawników, sekretarek i stażystów, po czym przechodzę długim, jasnym korytarzem na drugi koniec kondygnacji, gdzie w niewielkim gabinecie czeka na mnie Isabell.

– Przepraszam za spóźnienie – mówię na wstępie. – Zatrzymały mnie... – szukam w głowie odpowiedniego słowa. – Sprawy rodzinne.

Isabell uśmiecha się ciepło na mój widok. Ma na sobie garsonkę w granatowym kolorze i czarne czółenka na niewielkim obcasie. Czy właśnie tak będę wyglądać za

trzydzieści lat? Nagle uświadamiam sobie, że nie pasuję tutaj. To zupełnie nie mój świat.

– Isabell, mogę o coś zapytać?

Kładę torebkę na biurku, opierając się biodrem o solidny regał z ciemnego drewna.

– Pytaj, o co tylko chcesz – odpowiada, zamykając czarny segregator, po czym sięga po następny.

Kiedyś to moja babcia pracowała razem z nią. Przyjaźniły się już za czasów studiów, a po przejściu kancelarii przez mojego dziadka, Helen od razu zatrudniła swoją przyjaciółkę. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że zrobiła to tylko po to, by nie czuć się samotnie w miejscu, które z małej, rodzinnej działalności w szybkim tempie przerodziło się w kolosa przypominającego korporację, a nie kancelarię prawną.

– Pamiętasz moją mamę, kiedy zaczynała tu pracować? – pytam, a ona potwierdza kiwnięciem głowy.  
– Jaka była?

Zamyśla się, cofając się kilkanaście lat wstecz, a ja cierpliwie czekam.

Doskonale znam historię Amelie. Wiem, że kochała prawo, zanim w ogóle poszła na studia. Od najmłodszych lat chłoneła wiedzę, jaką przekazywali jej rodzice, spędzając całe dni wraz z nimi w kancelarii. Wiem, że była zupełnym przeciwieństwem mnie, ale chcę poznać opinię kogoś obiektywnego. Chcę zobaczyć mamę oczami innej osoby.

– Am była zachwycona i oczarowana wszystkim wokół – mówi w końcu. – Już po pierwszym dniu wiedziałyśmy z Helen, że jest stworzona do tej pracy i ani trochę się nie myliłyśmy. Dlaczego o to pytasz?

Zaciskam usta, zastanawiając się, czy mogę powiedzieć jej o swoich obawach. Skoro moja babcia jej ufała, ja chyba też mogę, prawda?

– Po prostu wydaje mi się, że nie nadaję się do tej pracy – wyznaję niepewnie. – Cały dzień porządkowałam stare dokumenty i ani trochę nie interesowała mnie ich treść. Równie dobrze mogłabym analizować paragony ze sklepów spożywczych i pewnie to sprawiłoby mi więcej przyjemności.

Isabell wstaje, okrąża biurko i obejmuje mnie niepewnie.

Mimo obcasów sięga mi jedynie do ramienia, przez co czuję się jak wielkolud.

– Helen powiedziała mi kiedyś, że jesteś zupełnie inna zarówno od niej, jak i twojej matki i dziadka. Była przekonana, że wybierzesz drogę życiową, która będzie różnić się od tej zaplanowanej dla ciebie już od przyjścia na świat. – Uśmiecha się smutno. – Powiedziałabym, że się myliła, ale wiem, że jeszcze możesz zawrócić, kochanie. Jesteś taka młoda. Sama decyduj o swoim szczęściu, zanim będzie za późno.

– Ale mama i dziadek...

– To twój czas, Mel – odpowiada, odsuwając się ode mnie, po czym wraca na swoje miejsce. – Twój i nikogo innego.

Kładzie jeden segregator na drugim, po czym wyłącza komputer i wstaje.

– Wychodzisz?

Bez niej zanudzę się tu na śmierć.

– Po południu przylatuje mój syn – oznajmia radośnie, a w jej jasnych oczach błyszczy czysta, matczyzna miłość. – Muszę się przygotować.

– Pozdrów ode mnie Izaaka.

– Do zobaczenia, Mel.

Kiedy zostaję sama, motywacja do pracy opuszcza mnie na dobre. Siadam w wygodnym fotelu, zakładając



nogę na nogę, po czym wyjmuję telefon. Może Nancy znajdzie trochę czasu, by ze mną porozmawiać. Wybieram numer przyjaciółki, lecz od razu włącza się poczta głosowa. Dzwonię więc do dziadka, by dowiedzieć się, o której zjawi się w kancelarii. Odbiera po trzecim sygnale:

– Tak? – Ma wyraźnie zmęczony głos.

– Macie zamiar zjawić się dzisiaj w pracy? – pytam, przekładając w palcach żółty ołówek. Odsuwam telefon od ucha, kiedy po drugiej stronie słuchawki coś z hukiem uderza o podłogę. – Co to było?

– Nic, nieważne – słyszę w odpowiedzi. – Słuchaj, Melody, nie dam rady przyjechać. Muszę zająć się swoją matką. Nie czuje się najlepiej. Dzwoniłem już do Jamesa. Niczym się nie przejmuj i wykonuj jego polecenia. Pamiętaj, że staż w końcu się skończy, a po nim będziesz mogła zająć się prawdziwą pracą.

Nie chcę ani tego stażu, ani pracy.

Szkoda tylko, że uświadamiam sobie to tak późno...

– Muszę z tobą porozmawiać, dziadku – mówię szybko, zanim mężczyzna się rozłączy. – To ważne.

Potrzebuję jego rady. Ktoś musi wziąć mnie za rękę i poprowadzić właściwą drogą, a przynajmniej wskazać odpowiedni kierunek. Ten ostatni raz, zanim popełnię największy błąd w swoim życiu.

– Później, Mel, później.

Gdy w słuchawce rozbrzmiewa szybkie pikanie informujące o zakończeniu rozmowy, ołówek pęka na pół pod naciskiem moich palców.

\*\*\*

Godzinę później pukam do drzwi gabinetu Stone'a, po czym wchodzę, nie czekając na odpowiedź. Jest tu zaskakująco dużo zieleni jak na gabinet w miejscu pracy. Kiedy byłam tu poprzednim razem, byłam zbyt

zdenerwowana, by zwrócić na to uwagę, ale teraz ilość różnego rodzaju egzotycznych kwiatów niemal mnie przytłacza.

– Skończyłam u Isabell – informuję na wstępie, zatrzymując się w znacznej odległości od biurka, przy którym siedzi prawnik.

Kiedy podnosi wzrok znad ekranu telefonu, od razu zauważam, że jego ciemne oczy pochmurnieją na mój widok. Najwyraźniej moje towarzystwo nie podoba mu się tak samo jak mi jego.

– Wiem.

Ciekawe, gdzie ukrywają się te jego ptaszki, które tak sumiennie o wszystkim mu donoszą. Jestem przekonana, że sam nie byłby w stanie dopilnować tylu spraw, a już na pewno nie zawracałby sobie głowy zwykłą stażystką, za którą mnie uważa.

– Co mogłabym jeszcze zrobić? – pytam, ignorując jego ociekający pewnością siebie głos.

Opuszkami kciuka i palca wskazującego ściska nos na wysokości oczu, zamykając powieki. Kiedy ponownie je unosi, jego oczy wydają się, jakby były czarne. Na ich widok przechodzą mnie nieprzyjemne dreszcze.

– Wyjść – słyszę w odpowiedzi.

– Słucham?

Patrzę na złoty zegarek na nadgarstku.

Do końca pracy zostało mi jeszcze ponad pięć godzin.

– Idź na spacer, Prince. Na razie nie jesteś mi do niczego potrzebna.

Denerwuje mnie ten facet. Za kogo on się w ogóle uważa? Od samego początku traktuje mnie, jakby moja obecność w kancelarii nic nie znaczyła. Powierza mi tylko takie zadania, których nie można zepsuć, uniemożliwiając naukę prawdziwego zawodu. Dość tego!

Odwracam się na pięcie, od razu ruszając ku drzwiom. Może nie jestem nikim ważnym dla Stone'a, ale mam swoją godność. Wyciągam rękę w stronę połączanej klamki i w tym samym momencie odbijam się nosem od czyjeś twardej klatki piersiowej. Kiedy odchyłam głowę do tyłu, zadzierając wysoko brodę, widzę przystojną twarz o najpiękniejszym miodowym spojrzeniu, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Nic ci nie jest? – pyta Rhys z troską w głosie.

Początkowo chcę się uśmiechnąć i przeprosić za moją nieuwagę, ale przypominam sobie, że to właśnie on spędził noc z moją matką. Nagła złość sprawia, że krew w moich żyłach zaczyna szybciej krążyć. W przeciwieństwie do Amelie, Rhys wygląda doskonale w dżinsowej koszuli i dopasowanych czarnych spodniach, a to jeszcze bardziej wzmacnia moją wściekłość.

– Nie twój interes – syczę, po czym dumnym i pewnym krokiem opuszczam gabinet.

\*\*\*

Na samo wyobrażenie Amelie i Rhysa razem robi mi się niedobrze. Amelie jest młodą, bardzo piękną kobietą, a mimo to nigdy nie widziałam mężczyzny u jej boku. Czasami zbierałam się na odwagę i pytałam, czy nie chciałaby spróbować kogoś pokochać, lecz ona zawsze odpowiadała, że jedynym mężczyzną, do którego już zawsze będzie coś czuć, jest mój ojciec. Dlaczego teraz zapomniała o miłości do mężczyzny, którego nigdy nie poznałam i spędza noce z kimś, kto tak bardzo spodobał się jej córce?

Chrzanić to! Chrzanić Rhysa! Płacę kartą za dwie butelki cavy, ignorując maślane oczy młodego sprzedawcy, po czym wychodzę ze sklepu. W drodze powrotnej do domu myślę o tym, jak bardzo nienawidzę mężczyzn i że cholernie brakuje mi Nancy. Wybieram numer przyjaciółki, ale kolejny raz włącza się poczta

głosowa. I znowu czuję się, jakby świat o mnie zapomniał.

Ze zrezygnowaną miną wchodzę do apartamentu mamy. *Teraz to także twój apartament*, przypomina głos z tyłu głowy. Tylko dlaczego nie czuję się tutaj jak w domu? Chyba przez brak osób, którym na mnie naprawdę zależy.

W salonie zastaję dziadka. Siedzi na ciemnoczerwonej kanapie z rozpiętą do połowy koszulą. Na mój widok podrywa się z miejsca, nerwowo i w pośpiechu zapinając guziki.

– Melody?

W mojej głowie zapala się czerwona lampka, ale ignoruję ją, uznając, że to najmniej odpowiedni moment na pytania odnośnie do jego negliżu.

– Chyba widać – burczę i nie zdejmując butów, ruszam w stronę schodów.

Naprzeciw mnie pojawia się Amelie ubrana w satynowy szlafrok, sięgający do połowy ud. Nadal jest blada, a stalowe oczy ma podkrążone. Najwyraźniej nie doszła jeszcze do siebie po nocnej imprezie. Zauważam, jak posyła pełne lęku spojrzenie Hudsonowi, ale jestem zbyt wściekła, żeby się do niej odzywać, więc mijam ją z wysoko uniesioną głową. Przystaję jednak w połowie schodów i się odwracam. Mama i dziadek wymieniają się spojrzeniami, po czym wbijają wzrok we mnie.

– Chcę rzucić pracę – oznajmiam, póki złość dodaje mi odwagi.

Nawet z tej odległości widzę, jak ich oczy rozszerzają się ze zdziwienia. Mam ochotę wyjąć telefon, by uwiecznić ich kapitalne miny, ale się powstrzymuję.

– Co masz zamiar zrobić? – nie dowierza dziadek.

Decyzję o zboczeniu ze ścieżki, do której przygotowywałam się przez ostatnie lata, podjęłam

szybko i pod wpływem impulsu, ale już wiem, że to jedyna słuszna droga, którą powinnam pójść. Większość popuka się w głowę, uznając mnie za lekkomyślną i kompletnie nieodpowiedzialną, ale to niczego nie zmieni. Z jakiegoś powodu nagle postanowiłam pokazać światu, że nie jestem marionetką, mimo że ostatnie lata poświęciłam na naukę wymarzonego zawodu moich bliskich. Jednak teraz kończę to, zanim wszystko zajdzie za daleko. Zanim na dobre utknę w świecie, który mnie zabija.

– Upić się – odpowiadam z uśmiechem, unosząc torbę z alkoholem.

## Rozdział 4

Po raz pierwszy od powrotu do domu czuję się szczęśliwa. Nie wiem, co miało na to większy wpływ: to, że powiedziałam najbliższym, że porzucam drogę życiową, którą dla mnie wybrali, czy opróżniona do dna butelka przepysznej cavy. W każdym razie jestem wolna.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że będę musiała porozmawiać z mamą i dziadkiem, ale zrobię to jutro. Dzisiejszy wieczór mam zamiar poświęcić wyłącznie sobie.

Kładę się na wyłożonej mięciutką wykładziną podłodze, zamykając oczy. „To twój czas”, w mojej głowie rozbrzmiewają słowa, które wypowiedziała do mnie z pełnym przekonaniem Isabell. Oczywiście, że mój! Mój i nikogo innego!

Boję się tylko, że gdzieś po drodze się zgubię, a wtedy ani mama, ani dziadek nie będą chcieli mi pomóc. *Nie myśl o tym*, szepcze cicho głos z tyłu głowy.

– Nie zamierzam – obiecuję głośno, uśmiechając się jak idiotka.

Moje powieki stają się coraz cięższe. Zamykam oczy i nawet nie wiem, kiedy zasypiam.

Coś wrywa mnie ze snu. Z trudem unoszę powieki, dźwigając się do siadu. Jest mi zimno i wszystko mnie boli, lecz jakoś udaje mi się wstać. Chwiejnym krokiem podchodzę do łóżka, po czym opadam na nie bezwładnie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, co mnie obudziło. Od dłuższego czasu ktoś usilnie próbuje wdrzeć się do mojego pokoju, robiąc przy tym ogromny hałas.

– Melody, otwieraj! – nakazuje mama, uderzając pięścią w drzwi. – Musimy porozmawiać!

Ponownie wstaję, rozmasowując zeszywniały kark. Zapamiętuję, by następnym razem nie zasypiać na podłodze, po czym podchodzę do drzwi. Na dotykowym panelu wciskam zielony kwadracik. Rozlega się kliknięcie, a chwilę później do środka wchodzi wzburzona Amelie. Znowu wygląda ślicznie, a po kacu, który wczoraj ją męczył, nie ma ani śladu. Uświadamiam sobie, że musiałam przespać całą noc.

– Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowa? – pyta, wbijając we mnie nieustępliwe spojrzenie.

Tuż obok drzwi na szklanej konsoli stoi butelka wody mineralnej. Sięgam po nią, po czym od razu upijam kilka łyków.

– Na co miałabym być gotowa? – pytam, odstawiając butelkę na miejsce.

Amelie krzyżuje ręce na piersi.

– Za pół godziny masz być w pracy.

Podnoszę na nią błękitny wzrok.

– Od wczoraj nic się nie zmieniło, mamo – przypominam. – Rezygnuję z aplikacji w waszej kancelarii. Nie chcę być prawnikiem.

Proszę bardzo! Powiedziałam to głośno i nic się nie stało. Może tylko nieskazitelna twarz mojej matki nieco poczerwieniała ze złości.

– Nie możesz tego zrobić – odpowiada. Głos ma spokojny, lecz palce dłoni zaciska i prostuje naprzemiennie. – Mamy plany co do ciebie. Myślałaś o tym, co pomyśli sobie Stone?

*Mam gdzieś Stone'a i wasze plany względem mnie!*

– Kiedy w końcu zrozumiesz, że jestem odrębną jednostką? – pytam, brzmiąc równie spokojnie. – Nie

jestem urządzeniem, które możecie sobie zaprogramować. Przypominam również, że od jakiegoś czasu mam skończone dwadzieścia trzy lata. Etap, w którym musiałam cię słuchać, już dawno minął.

Amelie zaciska usta w wąską kreskę, niebezpiecznie poruszając nozdrzami, ale nic nie mówi. Po prostu odwraca się na pięcie i odchodzi, a ja wracam do łóżka, nakrywam się kołdrą po same oczy i marzę, by ból głowy, który właśnie rozsadza mi czaszkę, nieco zelżał. Niestety nie mam szansy odpocząć, ponieważ pięć minut później dostaję wiadomość od dziadka, w której prosi, żebym zeszła na dół. Wykonuję jego prośbę, wiedząc, że rozmowa nie potrwa długo, gdyż oboje spieszą się do pracy, a jeszcze nigdy nie udało mi się z nią wygrać. Czekają na mnie w holu, ubrani do wyjścia. Mimowolnie uśmiecham się na widok Hudsona w kremowym płaszczu.

– Cześć – mówię, cmokając go na powitanie w gładki policzek.

Odsuwam się, by móc go dobrze widzieć. Wydaje się zupełnie innym człowiekiem, niż był, kiedy stąd wyjeżdżałam. Największą różnicę odczuwam między naszymi relacjami, które zupełnie się posypały, stając się chłodne i formalne.

– Mel, przemyśl swoją decyzję – prosi na wstępie, ignorując moje ciepłe przywitanie. Twarz ma poważną, a w błękitnych oczach, takich samych jak moje, maluje się przygnębienie. – Zostań dzisiaj w domu. Zastanów się, czy naprawdę tego chcesz. Nie możesz przekreślić tyle lat nauki w jeden dzień, tylko dlatego, że miałaś gorszy humor. Nie jesteś już małym dzieckiem i powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli rzeczywiście porzucisz staż. Oboje z mamą nie wyobrażamy sobie kancelarii bez ciebie.

*Jakoś będziecie musieli to przeżyć, myślę.*

– Dobrze, zastanowię się – kłamię.



Kancelaria istniała długo przed moimi narodzinami i jestem pewna, że ani trochę nie ucierpi na tym, że mnie w niej nie będzie. Jak Hudson kiedyś umrze, to jego córka przejmie dowodzenie i będzie z tego powodu bardzo szczęśliwa.

– Mówiłam ci, że ona się do tego nie nadaje – Amelie odzywa się do ojca z wyrzutem. – A ty – zwraca się do mnie i, gdyby jej wzrok mógł zabijać, zapewne byłabym już martwa – będziesz głupia, jeśli świadomie zmarnujesz szansę, jaką od nas otrzymałaś.

Wychodzi z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi. Hudson posyła mi przepaszające spojrzenie, po czym również znika mi z pola widzenia. Chce mi się krzyknąć z radości, jaka mnie ogarnia. Czy to naprawdę było takie proste? Nie wierzę, że poszło tak gładko i bez ofiar śmiertelnych. Wbiegam na górę, przeskakując po dwa stopnie.

W niedużej garderobie odszukuję w porozrzucanych ubraniach dres, po czym szybko wkładam go na siebie. Mam w sobie tyle energii, że muszę dać jej ujście, a najlepszym sposobem na to będzie odrobina ruchu. Jednak nigdzie nie mogę znaleźć moich sportowych adidasów. Być może zostały u Nancy. Niestety nie mam przy sobie żadnych innych butów nadających się do biegania.

Zbiegam po schodach, kierując się prosto do sypialni matki. Pokój urządzony jest w podobnym stylu, co mój, jednak tutaj wszystko jest bardziej stonowane i poważne. Po mojej prawej stronie znajdują się mlecznobiałe drzwi, które, jak się okazuje, prowadzą do łazienki, która wyglądałaby identycznie jak moja, gdyby zamiast dużego prysznicza znajdowała się tutaj przepiękna, wolnostojąca wanna.

Za kolejnymi drzwiami znajduje się garderoba. Ale zanim je otworzę i zniknę w markowych ubraniach mamy, coś przyciąga moją uwagę. *Telefon*. Bez chwili

wahania podchodzę do szklanej szafki nocnej i chwytam urządzenie w dłonie. Ku mojemu zdziwieniu ekran nie posiada żadnej blokady. I nie wiem, dlaczego to robię, ale wciskam przycisk „początek”. Marszczę brwi, widząc tapetę ekranu głównego. Amelie i Hudson stoją objęci na tle Morza Śródziemnego. *Lazurowe Wybrzeże*. Wiem, ponieważ sama im to zdjęcie robiłam. To były nasze ostatnie wspólne wakacje przed moim wyjazdem na studia.

Tylko dlaczego mama chce patrzeć na siebie i swojego ojca za każdym razem, gdy bierze telefon w dłonie? Wiem, że od zawsze są ze sobą bardzo blisko. Wiem też, że ja i mama nigdy nie będziemy tak zżyte. Wzruszam ramionami. Nie znam się na tych wszystkich relacjach rodzic-dziecko.

Już chcę odłożyć iPhone'a, kiedy zablokowany ekran rozbłyskuje. *Wiadomość*. Uderza we mnie fala gorąca, gdy widzę, kto jest jej nadawcą. Natychmiast dotykam zielonej koperty. „Macie czas do jutra. Uwierz mi, że świat już nie może się doczekać”. *Dziwne*, myślę, marszcząc brwi. W tej samej chwili przychodzi druga wiadomość: „100 000 \$ – twój sekret jest wart zdecydowanie więcej”. Odkładam urządzenie na szafkę i powoli opadam na idealnie pościelone łóżko.

*To wygląda jak szantaż*, podpowiada głos mojej podświadomości. Kręcę głową, w ogóle się z nim nie zgadzając. To głupie. Dlaczego wspólnik dziadka miałby szantażować moją mamę? Na pewno chodzi o jakąś sprawę, nad którą teraz pracują. *Na pewno*, powtarzam w duchu, by uspokoić samą siebie.

Wbijam niewidzący wzrok przed siebie, wracając myślami do wczorajszego powrotu pijanej Amelie. Ponownie dopada mnie przygnębienie, ponieważ to Rhys jest odpowiedzialny za jej stan. To z nim spędziła całutką noc. Cholera, to takie niesprawiedliwe! Obiecałam sobie, że zapomnę o Rhysie i wszystkim, co

się między nami wydarzyło, ale to trudniejsze, niż początkowo zakładałam.

Ale właściwie co się wydarzyło? Nic, czego nie można by wymazać z pamięci i nigdy więcej do tego nie wracać. Dlaczego więc czuję, jakby mnie zdradził, skoro właściwie się nie znamy? Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż kilka zdań. Wykrzywiam usta w smutnym uśmiechu. Muszę przestać zachowywać się jak nastolatka i pogodzić się z faktem, że mężczyzna, który mi się spodobał, jest z moją matką. Boże, to takie absurdalne! Ktoś chrząka znacząco, wrywając mnie z zamyślenia. Podnoszę oczy na Amelie, która stoi tuż obok mnie. Wstaję powoli.

– Zapomniałam telefonu – oznajmia niepotrzebnie. Prawie nie daje po sobie poznać, że jest zaskoczona moją obecnością w swojej sypialni. – Co tu robisz?

Patrzę na nią – piękną, szczupłą, o idealnych kształtach i czuję złość. Złość na to, że może gdybym była bardziej do niej podobna, on wybrałby mnie. Jej pytanie dźwięczy mi w uszach, jakby odbijało się od ścian sypialni, która nagle wydaje się zbyt mała, by pomieścić nas obie i przypominam sobie, po co tu przyszłam.

– Chciałam pożyczyć buty do biegania – wyjaśniam słabym głosem, po czym ruszam do wyjścia, czując, że za moment zemdleję.

Przystaję, kiedy jej dłoń zaciska się na moim przedramieniu.

– Wszystko w porządku? – pyta, błędząc wzrokiem po mojej twarzy. – Jesteś strasznie blada.

*Amelie i Rhys. Rhys i Amelie.*

– Chciałam tylko te buty – szepczę ledwie słyszalnie.

Znika za drzwiami garderoby i po chwili wręcza mi parę sportowych butów od Valentino.

– Możesz je zatrzymać – mówi z wymuszonym uśmiechem.

Dziękuję cicho i wychodzę. Zatrzymuję się jednak w drzwiach, odwracając twarzą do niej.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O czym? – pyta, marszcząc idealnie równe brwi.

Oddycham ciężko.

Serce bije mi tak szybko, jakby zaraz miało wybuchnąć.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że z nim jesteś?

Stalowszare oczy przecina jasny błysk strachu.

Teraz to ja marszczę brwi.

– Z kim?

– Z Rhysem.

Jeszcze bardziej ściągam brwi, kiedy na twarzy Amelie maluje się wyraźna ulga.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, Mel, ale nie mam z Singhem nic wspólnego.

\*\*\*

Moje stopy rytmicznie uderzają o ziemię. Biegnę, ile tchu, chcąc wypocić wypity wczoraj alkohol oraz wszystkie złe emocje, które nagromadziły się we mnie w ostatnich dniach. Amelie twierdzi, że nic nie łączy jej z Singhem. Nie mam powodu, żeby jej nie wierzyć, ale przecież nie spędza się nocy z mężczyznami, którzy nic dla nas nie znaczą. *Pieprzyć to!* Biegnę jeszcze szybciej, skręcając w kolejne alejki. Czuję palący ból w płucach i gardle, ale zatrzymam się dopiero wtedy, kiedy uznam, że naprawdę mam dość. Już zapomniałam, jak przyjemne może być bieganie. Nagle znikąd wyrasta przede mną mężczyzna. Z impetem odbijam się od jego

ciała, po czym z całą siłą uderzam biodrem w ziemię. Czuję falę ostrego bólu.

– Prince?

Zaciskam zęby, żeby nie zawyc z bólu i otwieram oczy. Nade mną stoi nienagannie ubrany, siwowłosy James Stone. Podaje mi rękę, którą z wdzięcznością ujmuję, wstając z trudem. Prawnik pomaga mi usiąść na ławce stojącej nieopodal. Ostrożnie gładzę dłonią bolące biodro. Jestem pewna, że już za moment pojawi się na nim naprawdę paskudny siniak.

– Hudson powiedział mi, że zamierzasz zrezygnować – słyszę.

Żadnego „nic ci nie jest?” albo „jak się czujesz?”. Stone po prostu mówi to, co chce powiedzieć, nie tracąc czasu na zbędną uprzejmość. Sama nie wiem, czy mnie to wkurza, czy jestem mu wdzięczna za to, że nie skacze wokół mnie tylko dlatego, że jestem wnuczką jego współnika.

– Owszem – przyznaję niechętnie.

– Dlaczego?

W jego orzechowych oczach błyska ciekawość. Wzruszam ramionami.

– Nie nadaję się do tego. Nigdy tego nie lubiłam, a kilka dni pracy tylko utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Mężczyzna rozpiną guziki przy rękawach koszuli, po czym podwija je, ukazując ciemne żyły widoczne przez jasną skórę.

– „Nigdy tego nie lubiłam” – powtarza kpiącym tonem, nieudolnie naśladując mój głos. – I zorientowałaś się dopiero teraz? Nie bądź śmieszna. Obowiązuje nas umowa – przypomina, patrząc mi prosto w oczy. – Nie możesz ot tak zrezygnować. Poza tym mam pewną propozycję.

Prostuję się zainteresowana słowami prawnika. To tylko staż. Staż w kancelarii mojego dziadka. Dlaczego nie mogę po prostu go zakończyć?

– Nie sądzę, by cokolwiek było w stanie zmienić moją decyzję, panie Stone, ale proszę mówić.

Uśmiech samozadowolenia pojawia się na jego twarzy.

– Dwa tygodnie – mówi enigmatycznie. – Tylko o tyle cię proszę.

– Co miałabym robić przez te dwa tygodnie? – pytam, unosząc brwi.

– Przez czternaście dni będziesz do dyspozycji mojego siostrzeńca. Wiem, że chciałaś spróbować prawdziwej pracy prawnika, a Singh zapewni ci jej odpowiednią dawkę.

Mina mi rzędzie na dźwięk nazwiska siostrzeńca Stone'a. Jednocześnie zastanawiam się, co mogłabym dla niego robić. Nie znam się na giełdzie i nie mam pojęcia, czym zajmują się jego firmy. Wiem, że porządkowanie dokumentów w ogóle mnie nie satysfakcjonowało, ale nie mogę rzucić się na głęboką wodę, udając, że umiem pływać.

– Jak ktoś tak młody dorobił się tak ogromnej fortuny?  
– myślę na głos.

James wbija wzrok gdzieś ponad moje ramię.

– Singh ma w życiu o wiele więcej szczęścia, niż na to zasługuje, panno Prince – tłumaczy cicho, a w jego ciemnych tęczówkach odbijają się kontury koron drzew.

Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że James nie darzy szczególną miłością Rhysa. I gdzieś w środku czuję, że tu chodzi o coś naprawdę dużego. O coś, przez co na samą myśl czuję gęsią skórę i nie jest to ani trochę przyjemne. Starszy prawnik wstaje z ławki, rozglądając się wokoło, jakby się bał, że ktoś nas

obserwuje. Mimowolnie również się rozglądam, ale nie zauważam niczego podejrzanego.

– Czternaście dni, Prince – powtarza. – Po tym czasie możesz odejść bez żadnych konsekwencji.

Jeszcze przez chwilę wpatruję się w plecy oddalającego się mężczyzny. Czternaście dni. Każdy z nich spędzony z Rhysem. *Odpuść, Prince*, nakazuje nieustępliwy głos z tyłu głowy. *Odpuść dla własnego dobra*.

Wzdycham zrezygnowana. To mogłoby być dla mnie naprawdę ciekawe doświadczenie. Pytanie tylko, czy chcę przez tak długi czas zadrezczać się widokiem mężczyzny, który nigdy nie będzie mój. Próbuję wstać z ławki, lecz ból przeszywający biodro skutecznie mi to uniemożliwia. Z opaski na ramieniu wydaję telefon, po czym zamawiam taksówkę. Już wiem, że nigdy nie zgodzę się na propozycję Stone'a.

## Rozdział 5

– Jak to mu odmówiłaś? – Lodowaty głos mamy przecina dzielącą nas przestrzeń.

Nie rozumiem, dlaczego jest na mnie taka zła. Jestem pewna, że gdyby była na moim miejscu, postąpiłaby dokładnie tak samo.

– Spokojnie, Am. – Uspokaja ją dziadek.

– Normalnie – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Kiedy wróciłam do domu, zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że się nie zgadzam.

Mama chowa twarz w dłoniach, a Hudson zaciska usta w wąską kreskę.

– Już po nas – jęczy Amelie.

Dziadek wstaje z kanapy, jednocześnie wyjmując telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym wybiera numer i dzwoni.

– Może uda się to jakoś odkręcić – zwraca się do córki, czekając, aż osoba po drugiej stronie słuchawki się odezwie.

Przenoszę spojrzenie z jednej twarzy na drugą, kompletnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Możecie przestać się zachowywać, jakby mnie tu nie było? – pytam poirytowana. – O co chodzi?

– Potrzebuję twojej rady – mówi Hudson, oddalając się w głąb apartamentu.

– Mamo? – nie ustępuję.

Amelie przeczesuje nerwowo jasne włosy palcami, po czym posyła mi wściekłe spojrzenie.



– Stone to stary i przebiegły drań – syczy. – Zgodził się na twoją kandydaturę, ale w umowie zawarł kilka kruczków, których nie da się w żaden sposób obejść. Najgorszym z nich jest ten, gdzie wyraźnie zaznaczono, że jeśli umowa zostanie rozwiązana na twoje żądanie, Hudson płaci potężne odszkodowanie lub jedno z nas oddaje swoje udziały Stone’owi.

– Jakie udziały? – nie dowierzam. – Nie przypominam sobie, żebym podpisywała coś takiego.

– Podpisałaś, Mel – rozbrzmiewa zmęczony głos dziadka. Sekundę później zajmuje miejsce obok córki. – Nie mamy wyjścia. Musimy dać mu to, czego żąda.

Podrywam się na równe nogi i szybko tego żałuję, gdyż obite biodro natychmiast daje o sobie znać. Zaciskam powieki, krzywiąc się, lecz chwilę później biorę się w garść.

– Razem ze Stone’em macie po pięćdziesiąt procent udziałów w „Prince&Stone” – zwracam się do Hudsona, wciąż mocno zszokowana obrotem spraw. – James nie może żądać twojej części udziałów, ponieważ to, na co tak ciężko pracowałaś tyle lat, byłoby jego.

Dziadek kręci głową.

– Jakiś czas temu zrobiłem udziałowcem twoją mamę – wyznaje z dumą w głosie. – Stone nie jest głupi. Nie chce pozbawić mnie kancelarii. On po prostu...

– Chce mieć większość – wchodzę mu w zdanie. Tylko jaki ma w tym cel? Podły drań! Zaczynam nerwowo krążyć wokół szklanego stolika o złotych nogach. – Jak w umowie o staż można niezauważenie zawrzeć takie warunki?

Amelie również wstaje.

– To moja wina – przyznaje. – Nie dopilnowałam tego, a James jest mistrzem w tego typu sprawach. Jednak nigdy nie pomyślałabym, że jest zdolny zrobić coś takiego nam.

A może to był po prostu test? Może James Stone postanowił przemycić taki zapis do umowy o staż, by sprawdzić, czy któreś z nas się zorientuje, by w przyszłości zrobić to ponownie w celu przejścia całej kancelarii? Przecież nie mógł wiedzieć, że zrezygnuję. Podejrzewam, że nawet tego nie zakładał – tak jak żadne z nas.

– Dobrze – odzywam się spokojnym głosem. – Zaraz do niego zadzwonię i przyjmę tę jego propozycję.

Sięgam po telefon, lecz powstrzymuje mnie głos dziadka:

– Co dokładnie ci zaproponował?

– Mam pracować z Singhem przez dwa tygodnie. Po tym czasie będę mogła odejść bez żadnych konsekwencji.

Mama z powrotem opada na kanapę. Wydaje się jeszcze bardziej zrezygnowana niż dotychczas.

– Nie zgadzam się! – niemal krzyczy Hudson. – Nie wiem, co ten podstępny skurwiel planuje, ale nie pozwolę mu skrzywdzić Melody.

Dłoń Amelie ląduje na jego szerokim ramieniu.

– To może być jedyne słuszne wyjście – zauważa. – Singh jest niegroźny. Nic jej nie będzie.

Nie cierpię, gdy rozmawiają, jakby mnie tu w ogóle nie było.

– Mama ma rację. To tylko kilkanaście dni. Poradzę sobie – zapewniam.

Kilkanaście dni, podczas których będę mogła z bliska podziwiać niesamowitą urodę mężczyzny, który jednym spojrzeniem potrafi przyspieszyć bicie mojego serca.

– Świetnie! – Amelie klaszcze w dłonie. – Tym razem dopilnuję, by nowo sporządzona umowa przynosiła korzyści tylko nam.

\*\*\*

Ubrana w czerwony, niezwykle kobiecy garnitur delikatnie podkreślający moje kształty i wysokie szpilki siedzę w sali konferencyjnej, czekając na Jamesa Stone'a, a palcami nerwowo uderzam o ciemny blat. *To tylko dwa tygodnie*, powtarzam sobie w myślach. Jeszcze kilka dni temu byłam gotowa spędzić tu sześć miesięcy. Tylko dlaczego czuję, że te czternaście dni nie skończą się dla mnie najlepiej? Wstaję na widok mamy, dziadka oraz Stone'a, z którego twarzy bije czyste zadowolenie.

– Panno Prince, cieszę się, że poszła pani po rozum do głowy – przemawia głosem ociekającym pewnością siebie. Zapewne doskonale wie, że Hudson powiedział mi, co się stanie, kiedy złamię warunki umowy. *Podły padalec!* – Niestety nie mogę poświęcić wam wiele czasu, dlatego od razu przejdźmy do formalności – mówi, zajmując miejsce naprzeciw mnie.

Amelie i Hudson siadają po obu jego stronach, przez co czuję się, jakbym za moment miała być przesłuchiwana. Brakuje tylko zapalanej żarówki skierowanej prosto w moją twarz. James wyjmuje ze skórzanej teczki plik kartek papieru i podsuwa go w moją stronę. Przebiegam po nim czujnym wzrokiem. Na oko nowa umowa wydaje się w porządku, ale poprzednia również taka się wydawała, więc przekazuję ją mamie, by ta oceniła, czy mogę ją podpisać.

– Jak to „strona zobowiązuje się spędzić czternaście dni i nocy w wyznaczonym miejscu i czasie”? – pyta Amelie, nie dowierzając. – Nie było tego zapisu w wersji, którą przesłałeś mi na skrzynkę.

– Singh bardzo nalegał na umieszczenie tego punktu – odpowiada, wruszając ramionami. – W ten sposób chce się zabezpieczyć, ponieważ panna Prince jest wyjątkowo niesubordynowanym pracownikiem. Chcemy mieć pewność, że wykona powierzone jej zadania.

Zaciskam pięści na dźwięk jego słów, przebiegając wzrokiem po twarzach moich bliskich. Niestety żadne

z nich nie wydaje się oburzone słowami Jamesa tak jak ja.

– To jedna z najbardziej absurdalnych sytuacji, w jakich kiedykolwiek się znaleźliśmy – zwraca się do swojego ojca Amelie, lecz ten milczy, tępo wpatrując się w splecione dłonie położone na drewnianym blacie stołu.

Nie miałam czasu zastanowić się nad tym, dlaczego dziadek tak bardzo nie chce, bym przystała na warunki Stone'a. Był gotów zapłacić horrendalnie wysokie odszkodowanie, a nawet oddać dwadzieścia pięć procent swoich udziałów, a wszystko po to, by dotrzymać warunków jakiejś absurdalnej umowy, w której zupełnie obcy mi mężczyzna żąda ode mnie rzeczy, które nigdy nie pokryją się z rzeczywistością.

– Możesz podpisać. – Amelie oddaje mi dokumenty.

Patrzę na nie przez dłuższą chwilę, czując, że pakuję się w niemałe kłopoty, po czym składam trzy podpisy wiecznym piórem, które dostałam od Cartera na dwudzieste pierwsze urodziny. Dociera do mnie, że myśl o byłym chłopaku już nie wywołuje we mnie większych emocji. Nie jest mi przykro. Nie jestem zła. Nie czuję nic poza obojętnością. Stone przegląda uważnie każdą z kartek, które podpisałam, po czym chowa je do teczki i tuż po tym wstaje. My również idziemy w jego ślady.

– Interesy z wami to czysta przyjemność – mówi.

*Zdrajca!*, ciśnie mi się na usta. Mam ochotę zacisnąć ręce na jego długiej szyi i patrzeć, jak z sekundy na sekundę jego twarz robi się coraz bardziej sina.

– Będę czekać na wiadomość, panie Stone. – Mój chłodny głos niesie się echem po dużej sali konferencyjnej.

Mężczyzna rozciąga usta w uśmiechu. Dlaczego on non stop się szczerzy? Jeszcze chwila i powstałe od tego zmarszczki pokryją tę jego chytrą twarz.

– Obiecuję, że nie potrwa to długo.

Kiedy wychodzi, Amelie wypuszcza powietrze z płuc, a Hudson poluzowuje krawat.

– Co takiego Stone na was ma, że aż tak się go boicie?  
– pytam.

W całym życiu nie widziałam, by którekolwiek z nich tak bardzo się przed kimś płaszczyło. To oczywiste, że coś tu nie gra. Przed oczami pojawiają mi się dziwne wiadomości, które James wysłał matce. O co w tym wszystkim chodzi?

Wymieniają między sobą ponure spojrzenia.

– To bardziej skomplikowane niż myślisz, Mel – odzywa się dziadek. – Ale ty nie musisz się niczym martwić, kochanie. To nie dotyczy ciebie.

*Chyba jednak trochę dotyczy.*

– Dobrze. – Postanawiam odpuścić, wiedząc, że w ten sposób niczego się nie dowiem. – Mam tu zostać czy mogę wrócić do domu?

– Nic tu po tobie, skoro nagle postanowiłaś szukać siebie – kpi ze mnie Amelie.

Zawstydzona spuszczam wzrok. Cała ta sytuacja to moja wina. Mogłam przemęczyć się te kilka miesięcy i dopiero wtedy zrezygnować. Jednak z drugiej strony moje odejście otworzyło moim najbliższym oczy na to, z jak podstępny i pozbawiony skrupułów człowiekiem tworzą biznes, który jest całym sensem ich życia.

– Przepraszam was – mówię cicho, nie patrząc na żadne z nich.

– Idziemy, Am?

Gdy wychodzą, opadam na krzesło, po czym podpieram ręką brodę. Dziadek też jest na mnie zły. Jestem mu jednak wdzięczna, że nie okazuje tego tak

ostentacyjnie jak mama. Pora wziąć odpowiedzialność za swoje czyny i podjęte decyzje. Pora odnaleźć siebie.

## Rozdział 6

Ubrana w białą, obcisłą sukienkę staję przed okazałym wieżowcem. *Dziwne miejsce jak na siedzibę firmy Singha*, myślę z przekąsem, przechodząc przez obrotowe drzwi. Mrużę oczy, gdy oślepia mnie rażąca biel... wszystkiego. Przynajmniej ubiorem wpasowałam się idealnie. Rozglądam się uważnie, następnie podchodzę do niewielkiego okienka, nad którym góruje napis: PUNKT INFORMACYJNY.

– Dzień dobry – mówię tytułem powitania. – Melody Prince do pana Singha.

Rudowłosa recepcjonistka ubrana w śnieżnobiałą koszulę i ołówkową, ciemnoszarą spódnicę taksuje mnie niemiłym spojrzeniem.

– Jeszcze raz nazwisko – skrzeczy do mikrofonu.

– Prince – powtarzam, dyskretnie przewracając oczami.

Kobieta uderza w klawiaturę długimi, wylakierowanymi paznokciami kształtem przypominającymi zaokrąglone na rogach kwadraty.

– Trzecie piętro, pokój dwadzieścia siedem – oznajmia, nie racząc mnie ani jednym spojrzeniem.

Odchodzę w kierunku wind z wysoko uniesioną głową. Na dotykowym panelu wybieram numer trzy, a niecałe pięć sekund później drzwi windy rozsuwają się na odpowiednim piętrze. Przemierzam rażąco błyszczące korytarze w poszukiwaniu pokoju numer dwadzieścia siedem. Z każdym kolejnym krokiem czuję rosnące podekscytowanie wywołane zbliżającym się spotkaniem. Przystaję i pukam do właściwych drzwi.

– Proszę – słyszę kobiecy głos dobiegający z wnętrza pokoju.

Kilka głębokich oddechów i drzwi ustępują pod naciskiem mojej dłoni.

Kobieta w średnim wieku wita mnie uprzejmym uśmiechem, wskazując dłonią krzesło.

– Usiądź, proszę. – Bez przerwy się uśmiecha, przez co zaczynam czuć się nieco nieswojo. – Do pana Singha? – upewnia się. Potwierdzam skinieniem głowy. – Przed rozmową jest pani zobowiązana podpisać odpowiednie dokumenty.

Po blacie biurka przesuwa w moją stronę plik kartek.

– Co to? – pytam podejrzliwie.

– Och, no wiesz... – Kobieta lekceważąco macha ręką. – Pan Singh tego wymaga.

*No jasne*, mówię w duchu i robię najgłupszą rzecz w życiu – nie czytając ani jednego słowa, zostawiam podpis w wyznaczonych miejscach.

– Czy teraz mogę się z nim zobaczyć?

Ciemnowłosa kobieta patrzy mi prosto w oczy. Przez jedną krótką chwilę wydaje mi się, że chce powiedzieć coś bardzo ważnego, lecz tylko odpowiada smutno:

– Gabinet pana Singha mieści się na najwyższym piętrze budynku.

Wstaję, nie chcąc dłużej marnować cennego czasu.

– Dziękuję – mówię ze szczerym uśmiechem.

Wychodzę na korytarz, ponownie kierując się do wind, jednak tym razem wybieram numer pięćdziesiąt. Podczas krótkiej podróży w chmury wracam myślami do chwili, w której James Stone poinformował mnie, że dokładnie za trzy dni mam się stawić w głównej siedzibie firmy Rhysa.



Siedziałam na kanapie, oglądając kolejny odcinek „Domu z papieru” i zajadając się truskawkowymi lodami, i zastanawiałam się, jak wypełnić wolny czas, którego mam w nadmiarze. I wtedy zadzwonił mój telefon, wyświetlając nieznany numer. Nie odebrałam, zakładając, że to operator lub konsultant jakiejś innej firmy. Jednak kiedy dźwięk dzwonka nie cichł nawet na chwilę, postanowiłam przekonać się, kto jest tak cholernie nieustępliwy. Nie sądziłam, że dzięki swojemu szefowi będę chodzić uśmiechnięta od ucha do ucha przez kilka następnych dni.

Drzwi windy się rozsuwają. Mijam dwóch mężczyzn w czarnych garniturach, którzy witają mnie uprzejmym kiwnięciem głowy. Ruszam przed siebie pewnym krokiem. Na końcu korytarza zauważam drzwi, które zdobi złota tabliczka. Podchodzę bliżej.

– „Rhys A. Singh” – odczytuję szeptem wygrawerowane litery.

– Kim pani jest? – gruby, męski głos rozlegający się za moimi plecami niemal przyprawia mnie o palpację serca.

Kiedy się odwracam, moim oczom ukazuje się wysoki mężczyzna ubrany w czarny garnitur. W uchu ma słuchawkę, a pod marynarką broń. *Ochrona*.

– Melody Prince – informuję bez zająknięcia. – Jestem umówiona z panem Singhem.

– Wstęp tylko za zezwoleniem lub z kartą dostępu – wyjaśnia z grobową miną, ignorując moje wdzięki.

– Że co? Jakie zezwolenie? Jaka karta dostępu?

– Pan Singh mnie oczekuje...

– Nic mnie to nie obchodzi – przerywa mi niegrzecznie. – Jeśli nie posiada pani karty, proszę opuścić budynek.

Kiedy nie reaguję, boleśnie zaciska długie palce na moim szczupłym przedramieniu, przez co mam ochotę wykrzywić twarz z bólu.

– Ale...

– Proszę za mną – nakazuje ochroniarz.

Odwracam głowę w stronę, z której dobiega dźwięk otwieranych drzwi. Wstrzymuję powietrze na widok piekielnie seksownego bruneta, który wpatruje się w dłoń swojego pracownika zaciśniętą na mojej ręce.

– Panna Prince zostaje, Travisie – odzywa się niskim, melodyjnym głosem.

Przenoszę spojrzenie na ochroniarza, który marszczy brwi, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje, po czym próbuję wyszarpnąć rękę z jego uścisku. Niestety z marnym skutkiem.

– Travisie. – W głosie Singha pobrzmiwa coś, co automatycznie napawa mnie lękiem.

Ochroniarz również to słyszy, bo natychmiast się ode mnie odsuwa.

– Myślałem... – mówi ze wzrokiem wbitym w czubki nienagannie wypastowanych butów. – Przepraszam panią.

– Wróć do swoich obowiązków – nakazuje Singh. Gdy przenosi wzrok na mnie, jego spojrzenie łagodnieje. – Zapraszam.

Odsuwa się, by zrobić mi miejsce. Powoli przekraczam próg jego gabinetu.

W przeciwieństwie do reszty budynku dominują tu ciemne barwy, wręcz przygnębiające. Moją uwagę przykuwa stare, odrestaurowane biurko stojące w centralnej części gabinetu. Naprzeciw niego znajdują się dwa fotele wyglądające na niesamowicie niewygodne. Jest również kanapa obita ciemnobrązową skórą. Podchodzę bliżej, rozglądając się uważnie. Na prawo od

biurka w samym rogu gabinetu stoi przepiękne, stare pianino w kolorze kości słoniowej.

– Grasz? – Głos Singha rozbrzmiewa gdzieś za moimi plecami.

Kręcę głową.

– Mam za sobą dosłownie kilka lekcji – tłumaczę.

Na samo wspomnienie rzekomych lekcji robi mi się niedobrze. Muzyka jest dla mnie miłą rozrywką, ale nigdy nie pokochałam jej tak bardzo, żeby chcieć uczyć się jej od podstaw. Niestety moja matka nigdy nie mogła tego zrozumieć i ignorując łzy spływające po moich dziecięcych policzkach, co drugi dzień odstawiała mnie pod drzwi nauczyciela gry na pianinie. Odpuściła po trzech tygodniach, kiedy po zakończonej lekcji rzuciłam się na niego i dotkliwie go... pogryzłam. Dla kilkuletniej mnie był to jedyny sposób na przerwanie udręki, którą sprawiała mi niemal każda nuta. Jak widać okazał się skuteczny, ponieważ już nigdy nie zmuszano mnie do tego typu rozrywki. Na samo wspomnienie czuję metaliczny posmak krwi w ustach i krzywię się niezauważalnie.

– Szkoda.

Jego dłoń ląduje na moich plecach, po czym delikatnie popycha mnie w stronę dębowego biurka. Zapadam się w jednym z foteli, który w rzeczywistości jest o wiele wygodniejszy, niż początkowo zakładałam. Patrząc, jak Rhys okrąża biurko i siada naprzeciw mnie.

– Przepraszam cię za mojego pracownika – zaczyna, patrząc mi prosto w oczy. – Osobiście dopilnuję, by poniósł konsekwencje swojego haniebnego zachowania.

Nie mogę oderwać wzroku od jego idealnie wykrojonych ust.

*Pamiętaj, po co tu jesteś*, nakazuję sobie w myślach i całą siłą woli zmuszam się, by spojrzeć w jego hipnotyzujące tęczy.

– Nic się nie stało – zapewniam, wciąż czując ból w miejscu, w którym dłoń ochroniarza oplótła moje przedramię. – Co mogłabym dla pana zrobić, panie Singh?

Prostuję się, chcąc wyglądać na bardziej pewną siebie, choć w rzeczywistości wszystko wewnątrz mnie drży. Singh nie odrywa wzroku od mojej twarzy, a kąciki jego ust drgają nieznacznie.

– Jest wiele rzeczy, które mogłabyś dla mnie zrobić – oświadcza z łobuzerskim błyskiem w oku.

Unoszę brwi.

– Na przykład?

Uśmiecha się, ukazując równe, białe zęby.

– Ciekawska z ciebie osóbką, co?

Wzruszam ramionami.

– Od urodzenia.

Mężczyzna chwytą w dłonie przezroczystą teczkę, podnosi się i staje przede mną, opierając się o brzeg biurka.

– Przetłumacz to najlepiej, jak potrafisz – mówi, wręczając mi teczkę. – Mam nadzieję, że zdążysz do jutra. To bardzo ważne.

Ogarnia mnie nagłe rozczarowanie. Naprawdę mam tylko tłumaczyć? *A czego się spodziewałaś, idiotko?* Sama nie wiem. Może czegoś bardziej związanego z zawodem, do którego tak bardzo wszyscy chcą mnie przekonać?

Kładę dokumenty na złączonych udach. Już na pierwszy rzut oka widać, że teczka zawiera spory plik kartek.

– Postaram się, panie Singh.

Wstaję, a w mojej głowie wciąż przewijają się obrazy z nocy, w której go poznałam. Jest tak blisko. Na

wyciągnięcie ręki. Jednak teraz nie ma między nami tej chemii, która wypełniła mój pokój, kiedy był gościem mojej matki. Nie ma tego przyciągania, przez które traciłam oddech. Coś jest nie tak.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pytam niespodziewanie nawet dla samej siebie.

Mężczyzna marszczy ciemne brwi, nie rozumiejąc, co mam na myśli.

– W czym?

Biorę głęboki oddech, zastanawiając się, na ile mogę sobie pozwolić, po czym mówię:

– Jaki cel ma Stone w tym, żebym dla ciebie pracowała?

To wszystko jest cholernie dziwne i w ogóle nie trzyma się kupy.

– Już nie jestem panem Singhem? – pyta rozbawiony, krzyżując ręce na piersi.

– Odpowiedz – nakazuję, mimowolnie zbliżając się do niego.

Prostuje się, patrząc na mnie z góry. Z jego oczu znika wesołość i zastępuje ją coś mrocznego. Coś, co sprawia, że pod kolanami czuję mrowienie i mam ochotę jak najszybciej stąd wyjść.

– Jesteś mi potrzebna, Melody. – Jego głos jest lodowaty. Spanikowana spuszczam wzrok, lecz chwytam mnie za brodę, zmuszając, bym patrzyła mu w oczy. – Obiecuję ci, że w ciągu najbliższych czternastu dni będziesz tak zajęta, że nawet nie pomyślisz o Stonie.

Do tej pory Rhys wzbudził we mnie wiele emocji, ale jeszcze nigdy się go nie bałam. Aż do teraz. Żółte plamki wokół jego źrenic błyszczą jeszcze bardziej, a ja nie wiem, czy chcę odwrócić wzrok i wiać gdzie pieprz rośnie, czy tonąć w tych przepełnionych złością

i mrokiem oczach. I nie wiem, co mnie opętuje, ale wypalam bez namysłu:

– Grozisz czy obiecujesz?

Rhys natychmiast się ode mnie odsuwa, przeczesując dłonią ciemne włosy, a niewidzialna nić, która przyciągała nasze ciała do siebie, gdzieś znika.

– Uważaj – syczy, po czym bierze z biurka telefon i zmierza do drzwi, dając mi do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Szybkim krokiem podążam za mężczyzną, podziwiając jego szerokie barki ciasno opięte materiałem błękitnej koszuli. *Musi naprawdę wiele godzin poświęcać swojej sylwetce*, myślę z zachwytem. Uśmiecham się nieśmiało, gdy przepuszcza mnie w drzwiach, lecz on nawet na mnie nie patrzy.

– Rhys...

– Postaraj się zdążyć z tym tłumaczeniem. – Nie pozwala mi dokończyć, wybierając czyjś numer. – Do zobaczenia.

Przykłada telefon do ucha i zamyka mi drzwi przed nosem.

Jeszcze przez chwilę stoję jak sparaliżowana, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Jestem w totalnym szoku. Kiedy zza moich pleców dobiega ciche chrząknięcie, dłonią automatycznie wędruję na przedramię, na którym kilkanaście minut temu zacisnęła się wielka łapa ochroniarza. Odwracam się powoli.

– Pan Singh prosi o opuszczenie budynku.

Otwieram usta, by powiedzieć niejakiemu Travisowi, żeby przez jakiś czas nie pokazywał się szefowi na oczy, ponieważ może się to dla niego źle skończyć, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Niech ma za swoje.

– Do widzenia – mówię tylko i odchodzę.

Podczas drogi powrotnej do domu analizuję spotkanie z Rhysem. W mojej głowie klatka po klatce przewijają się kolejne obrazy. Był inny niż dotychczas. Mocno zdystansowany. I jeszcze ten nagły wybuch złości... Nie rozumiem, czym tak bardzo go rozwścieczyłam. Nie rozumiem, dlaczego w tamtym momencie zapragnęłam zrobić to ponownie.

Ten jego nieustępliwy wzrok przeszywający nie tylko moje ciało, lecz przede wszystkim duszę. Przysięgam, że w tamtej chwili czułam, jakby znał każdą z moich najskrytszych tajemnic, i to było... niesamowite. On jest niesamowity.

Nagle przestaje mi przeszkadzać, że spędził noc z moją matką. Przecież byli tylko na kilku drinkach. Nic między nimi nie ma. Sama Amelie tak twierdzi.

– Proszę pani, jesteśmy na miejscu.

Dopiero gdy słyszę głos taksówkarza, dociera do mnie, że samochód się zatrzymał. Spoglądam na licznik, który pokazuje kosmicznie wysoką kwotę. Płacę bez słowa, po czym wysiadam, ściskając w rękę teczkę z dokumentami.

W apartamencie Amelie poza mną nie ma żywej duszy. Przechodzę do salonu, w którym panuje nienaganny porządek, po czym siadam na jednej z kanap. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie wyszła mama, lecz szybko do moich myśli wraca Rhys Singh i praca, jaką mam dla niego wykonać. Otwieram teczkę, ostrożnie wyjmując z niej kartki papieru wypełnione drukiem. Umowa sporządzona w języku francuskim dotyczy przejęcia jednego z klubów w Luizjanie. Potrzebny mi komputer i mocna kawa. Chcąc dać odpocząć stopom, zsuwam z nich niewygodne buty, wstaję i wbiegam po schodach na piętro. Wygląda na to, że w moim pokoju także ktoś zrobił porządek, przez co chwilę zajmuje mi zlokalizowanie komputera.

W końcu znajduję go na jednej ze szklanych szafek nocnych. Kiedy wracam na dół, odpalam urządzenie,

rozsiadając się wygodnie na kanapie. Włączam program do edycji tekstu, zapominając o tym, że mój organizm domaga się kofeiny. Dzięki temu, że babcia stanowczo nalegała, bym od najmłodszych lat uczęszczała na lekcje języków obcych, doskonale znam hiszpański, niemiecki oraz francuski.

Spoglądam na zegarek. Szesnasta czterdzieści dwie. Jeśli mam zdążyć do jutra z tłumaczeniem tej sterty papierów, natychmiast muszę zabrać się do pracy.

I kiedy pierwsze litery w języku angielskim pojawiają się na ekranie, czuję ogarniające mnie podekscytowanie, bo wiem, że dam z siebie wszystko i Singh będzie zadowolony z mojej pracy.



## Rozdział 7

Dźwięk dzwonka telefonu rozdziera panującą wokół ciszę. Z trudem unoszę ciężkie powieki, rozglądając się wkoło. Telefon milknie, a kryształowy żyrandol nad moją głową wskazuje na salon w apartamencie mojej matki i przypominam sobie, co tu robię. Sześć godzin zajęło mi przetłumaczenie i dziesięciokrotne sprawdzenie tej cholernej umowy, ale się udało. Skończyłam równo o północy. Byłam tak zmęczona, że nie miałam sił, by pójść do swojego pokoju i się położyć. Patrzę na wciąż włączony ekran komputera, trąc oczy. Trzecia sześć. Spoglądam na telefon, kiedy jego dzwonek ponownie rozbrzmiewa, ale nie rozpoznaję numeru, który właśnie się wyświetla. Przesuwam palcem po ekranie.

– Słucham? – odzywam się sennym, nieco ochrypłym głosem.

– Sprawy nieco się skomplikowały. – Kiedy słyszę znajomy głos, ze świstem wciągam powietrze. – Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i bądź gotowa najpóźniej za dwadzieścia minut. Do zobaczenia.

Rozłącza się, nie czekając nawet na moją odpowiedź. Odkładam telefon i szczypię się mocno w nadgarstek. To nie sen. Rhys Singh naprawdę do mnie zadzwonił.

Wierzchem dłoni przecieram oczy, odganiając z powiek resztki snu i jeszcze raz odtwarzam w głowie słowa mężczyzny. „Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i bądź gotowa za dwadzieścia minut” – dokładnie tak powiedział. Nie wyjaśnił jednak, w jakim celu mam to zrobić, lecz o tej porze nie wydaje się to tak niedorzeczne, jak jest w rzeczywistości.

Wstaję i z zaskakującą energią wbiegam na górę po schodach. Mrużę oczy, gdy mój pokój wypełnia ostre światło i mrugam kilka razy. Łóżko zaprasza mnie do siebie, ale omijam je, po czym znikam za drzwiami łazienki.

Szybka, zimna kąpiel sprawia, że całkiem odechciewa mi się spać i teraz jestem po prostu mocno zmęczona. Owijam ciało miękkim, czarnym ręcznikiem, stając przed lustrem. Szybkimi ruchami rozczesuję ciemne włosy, z których spływają błyszczące kropelki wody, przyglądając się swojej twarzy. Spałam niecałe trzy godziny, a mimo to wyglądam zaskakująco dobrze. Zaróżowiona skóra na policzkach i błyszczące, błękitne oczy zdradzają podekscytowanie zbliżającym się spotkaniem. Odkładam grzebień do włosów na półkę, po czym sięgam po szczoteczkę do zębów. I mimo ekscytacji czuję również dziwny spokój. Jakby coś, co nie dawało mi od zawsze wytchnienia, wyciszyło się nagle, zniknęło. Kiedy kończę myć zęby, starannie płuczę usta i wychodzę z łazienki.

W garderobie ubieram luźny, biały T-shirt i ciemnoniebieskie dżinsy, a na stopy wsuwam sportowe buty od Alexandra McQueena. Nie mam pojęcia, jaka temperatura panuje na zewnątrz, więc na wszelki wypadek zdejmuję z wieszaka skórzaną, bordową kurtkę w stylu motocyklowym i przerzucam ją sobie przez ramię.

Schodząc na dół, powtarzam w głowie, by pamiętać o najważniejszym, czyli dokumentach, na których tłumaczeniu spędziłam dobre kilka godzin i z których jestem tak cholernie dumna. Pospiesznie pakuję do teczki oryginał w języku francuskim, a komputer wsuwam w specjalne etui i chowam obie te rzeczy do torebki.

Pojedynczy dźwięk wydobywający się z telefonu oznajmia o nadejściu wiadomości. *Zapraszam, panno Prince*, widnieje na ekranie. Najszybciej jak potrafię

opuszczam apartament, w którym mieszkam, pamiętając o zakodowaniu drzwi wejściowych.

Gdy drzwi windy rozsuwają się na parterze, dociera do mnie, że przecież nie wiem, dokąd mam iść. Możliwości mam trzy. Mogę zejść do podziemnego garażu, gdzie wstęp mają jedynie mieszkańcy apartamentowca, mogę pójść na tyły budynku, gdzie znajduje się kilka kawiarni, piekarnia, sklep spożywczy oraz monopolowy, albo mogę wyjść głównym wejściem, co wydaje mi się najlepszym pomysłem. Tak też robię.

Uderza we mnie fala zimnego, nieprzyjemnego powietrza. Rozglądam się uważnie, lecz nigdzie nie widzę Singha. Okręcam się wokół własnej osi i wtedy rozbłyskują światła jednego z samochodów zaparkowanych za bramą. Kiedy ruszam w jego stronę, w mojej głowie pojawia się myśl, że jeszcze mogę zrezygnować. *Po prostu zawróć i schowaj się w domu*, myślę. Nie robię tego jednak, choć z każdym krokiem denerwuję się coraz bardziej. Nawet w półmroku intensywny błękit samochodu sprawia, że trudno oderwać od niego wzrok. Chwytam za klamkę, ciągnąc mocno. Drzwi Bentleya ustępują, wydając delikatne kliknięcie.

– Dzień dobry – mówię cicho, siadając na kremowo czarnej tapicerce wygodnego fotela.

Silnik pojazdu budzi się do życia, a Singh taksuje mnie uważnym spojrzaniem od pasa w górę.

– Chcesz się przeziębic – bardziej stwierdza, niż pyta.

Imponuje mi tym, że się o mnie troszczy, ale w żaden sposób nie dają tego po sobie poznać.

– Dlaczego każesz mi wychodzić z domu o tak niehumanitarnej porze? – pytam, ignorując aluzję do moich mokrych włosów.

Odwraca wzrok od mojej twarzy, po czym sprawnie opuszcza parking, włączając się do ruchu.

– Byłem ciekaw, czy się zgodzisz.

– Słucham? – Wybałuszam oczy.

Jak to był ciekaw, czy się zgodzę?

Uśmiecha się.

– Nie masz żadnej torby? – pyta, wbijając wzrok w zaskakująco ruchliwą jak na tę porę jezdnię.

– Jakiej torby?

Samochód zatrzymuje się na czerwonym świetle.

– Prosiłem, żebyś zabrała najpotrzebniejsze rzeczy – przypomina, wciąż na mnie nie patrząc. – Chcę spędzić z tobą trochę czasu.

Co? Nic z tego nie rozumiem.

– Jak to chcesz spędzić ze mną trochę czasu? Myślałam, że chodzi o dokumenty, które dla ciebie tłumaczyłam.

Ponownie się uśmiecha, a na jego prawym policzku pojawia się dołeczek.

Z profilu jest tak piękny, że nie mogę oderwać od niego wzroku.

– Chodzi o ciebie, Melody. – Sposób, w jaki wymawia moje imię, przyprawia mnie o zawrót głowy. Kiedy sygnalizator zapala się na zielono, Bentley płynnie rusza przed siebie. – Masz dwa wyjścia – ciągnie dalej. – Możesz teraz poprosić, żebym cię odwiózł i po prostu zapomnimy o całej sytuacji. Możesz też zostać i pozwolić mi się poznać. Wybór należy do ciebie.

Jego słowa brzmią jak słodka obietnica i największa groźba zarazem.

Nie rozumiem radości, która w tej chwili mnie przepełnia. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo cieszę się z tego, że Rhys Singh chce mnie poznać. Nie znam go, lecz z jakiegoś nieznanego powodu ufam mu.

– Zostaję – postanawiam z głupim, szerokim uśmiechem.

Spogląda na mnie kątem oka, wyprzedzając pojazd przed nami.

– W takim razie powinnaś zawiadomić rodziców, że znikasz na... jakiś czas.

– Jestem dorosła – prychem rozdrażniona. – Nikogo nie muszę zawiadamiać.

Przez jego opaloną twarz przemyka uśmiech.

– Czyżby? – kpi, doskonale znając moją sytuację.

– Jestem dorosła – powtarzam z naciskiem, krzyżując ręce na piersi.

Singh milknie, skupiając się na drodze. Nie odrywam wzroku od jego twarzy, bojąc się, że kiedy to zrobię, on zniknie. Zamykam oczy na ułamek sekundy i nawet nie wiem kiedy zapadam w spokojny sen.

\*\*\*

– Jesteśmy na miejscu. – Zza zasłony snu do moich uszu dobiega słodki głos.

Rozciągam usta w niemrawym uśmiechu. To już tysięczny raz, kiedy główną rolę w moich snach odgrywa właśnie on.

– Słodki Rhys – mamrocze niewyraźnie.

Czuję, że jest blisko. Czuję jego ciepło.

– Melody, obudź się.

Ponownie się uśmiecham. Mówi do mnie, lecz nigdzie go nie widzę.

– Chodź tu – mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu.  
– Chcę się oparzyć.

Nagły wybuch śmiechu sprawia, że otwieram oczy. Rozglądam się niespokojnie, nie mając pojęcia, gdzie jestem ani jak się tu znalazłam. Dopiero kiedy

przestraszonymi oczami napotykam wesołe spojrzenie miodowych tęczy, przypominam sobie, jakie okoliczności sprawiły, że zasnąłam w samochodzie Singha.

Mężczyzna opiera się łokciem o otwarte drzwi Bentleya, cierpliwie czekając, aż wysiądę.

Dziwi mnie otaczająca nas przyroda. Wszędzie wokół zieleń i cisza. Jednak bardziej zaskakuje mnie fakt, że wokół jest jasno. Nie mogę uwierzyć, że świadomie zgodziłam się na wywiezienie wiele mil od domu. O trzeciej w nocy ten pomysł wydawał się całkiem fajny, ale teraz... Cholera, co ja zrobiłam?! W roztargnieniu dotykam się po kieszeniach dzinsów, w poszukiwaniu telefonu.

– O co chodzi?

Patrzę mu prosto w oczy, które w słońcu wyglądają, jakby były złote.

– Gdzie my jesteśmy? – pytam, próbując zapanować nad ogarniającą mnie paniką.

Marszczy brwi, po czym jednym, płynnym ruchem unieruchamia mi ręce za plecami.

– Chwilami nie mogę za tobą nadążyć, Melody – szepcze mi wprost do ucha, a jego ciepły oddech mnie łaskocze. – Naprawdę chcę cię poznać, ale będzie nam zdecydowanie łatwiej, jeśli przestaniesz się mnie bać.

Po tych słowach muska ustami płatek mojego ucha, a ja cała naprężam się jak struna. To niesamowite, jakie odczucia potrafi we mnie wywołać każdy z pozorów niewinny gest z jego strony.

– Nie boję się ciebie – mówię mało przekonująco, lecz jemu to chyba wystarcza, bo odsuwa się ode mnie, po czym bierze za rękę i ciągnie za sobą.

Stawia tak duże kroki, że momentami muszę biec po wyłożonej kamieniami nawierzchni, żeby za nim

nadażyć. W końcu zatrzymujemy się przy wejściu do niewielkiego, piętrowego domu z kamienia, który wygląda jak żywcem wyjęty ze słonecznej Toskanii.

– Nie jesteśmy we Włoszech, prawda? – upewniam się, gdy Rhys otwiera drzwi.

Dopiero teraz czuję ciepłe promienie słońca ogrzewające jasną skórę mojej twarzy. Zdecydowanie zbyt ciepłe jak na koniec października.

– Jesteśmy za miastem – odpowiada enigmatycznie, przepuszczając mnie.

Przestępuję próg, chwilowo odpuszczając temat tego, gdzie się znajdujemy i cieszę oko ciepłym wystrojem wnętrza.

– Oprowadzić cię czy poradzisz sobie sama?

Staje tuż za mną. Tak blisko, że czuję ciepło jego klatki piersiowej. Odwracam głowę i przez chwilę rozpieszczam nozdrza intensywnym zapachem męskich perfum.

– Oprowadź – odpowiadam. Odwracam się twarzą do mężczyzny, maksymalnie zbliżając ciało do jego. – Ale później.

Rozciąga usta w leniwym uśmiechu.

– Usiądź tutaj i zaczekaj na mnie. – Wskazuje głową jasnoszarą kanapę, po czym rusza w kierunku schodów z jasnego drewna.

W niezadowoleniu wydymam wargi.

– Czy ty właśnie dałeś mi kosza? – pytam skonsternowana.

– Można tak powiedzieć – rzuca przez ramię, znikając na piętrze.

Opadam na kanapę, rozglądając się wokół, ale na niczym nie mogę się skupić.

To, co się dzieje w tym momencie, jest z pewnością najdziwniejszą rzeczą w całym moim życiu. I gdybym usłyszała od kogoś podobną historię, nigdy nie uwierzyłabym, że wydarzyła się naprawdę.

A jednak jestem tu razem z Rhysem – mężczyzną, którego w ogóle nie znam. Mimo to nie boję się go. Większym lękiem napawa mnie moje zachowanie w jego obecności. Kiedy jest obok, w ogóle się nie kontroluję. Nie wiem, czy powodem jest to, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam, czy może działa na mnie tak jak jeszcze nikt inny, ale podoba mi się to. Budzi we mnie emocje, o których istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia.

Wstaję, postanawiając się rozejrzeć, żeby wyrzucić z głowy obraz jego pełnych ust.

Salon, w którym jestem, połączony jest z kuchnią i jadalnią, a wszystko utrzymane jest w szarościach i drewnie. Nowocześnie, ale przytulnie. Podchodzę do okna i podnoszę roletę rzymską. Okno okazuje się drzwiami prowadzącymi na ogromny kamienny taras. Otwieram je, po czym wychodzę na zewnątrz. Widok malujący się przed moimi oczami zapiera mi dech w piersiach i od razu pragnę go namalować, choć nie robiłam tego od lat. Nie wiem, jak nazywa się to jezioro, ale z całym przekonaniem mogę stwierdzić, że jest najpiękniejsze ze wszystkich, jakie dotąd widziałam.

– Robi wrażenie, co?

– Jest pięknie – przyznaję zauroczona malowniczym krajobrazem i odwracam się twarzą do Singha.

Od razu zauważam zmianę jego stroju. Szary T-shirt i dopasowane dżinsy jakoś do niego nie pasują. Widzę, że ciemne włosy ma jeszcze mokre po prysznicu i powstrzymuję chęć przeczesania ich palcami. *Musiał się bardzo spieszyć*, myślę z dziwną satysfakcją.



– Moglibyśmy tam pójść? – pytam nieśmiało, wskazując na pomost za moimi plecami.

Uśmiecha się szeroko.

– Panie przodem.

Niemal biegiem ruszam w stronę jeziora, a moje stopy zapadają się w zielonej trawie. Już tak dawno nie byłam poza miastem, że zapomniałam, jak bardzo lubię ciszę i spokój. Gdy wchodzę na pływający pomost, zaczyna mi się kręcić w głowie, lecz opanowuję się w kilka sekund, wiedząc, że Rhys jest tuż za mną.

– Niesamowite – szepczę, patrząc na niewzruszoną tafel jeziora. – Mieszkaś tutaj?

– Czasami tu przyjeżdżam, żeby złapać oddech – odpowiada, drapiąc się w kark. – Dałaś znać Amelie, gdzie jesteś?

Na dźwięk tych słów odwracam się gwałtownie i omal nie tracę równowagi. Na szczęście przed upadkiem chroni mnie męska dłoń, która pewnie trzyma moje ramię.

– Mówiłam ci już, że jestem dorosła – przypominam ze złością. – Nie chcę więcej słyszeć o mojej rodzinie.

Rozbawienie tańczy w jego oczach.

– Jak sobie życzysz – odpowiada potulnie, unosząc rękę.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą mnie dotykał, czuję przyjemne mrowienie.

– Tak cię bawię? – pytam z jeszcze większą złością.

– Wracajmy do domu, Melody. Wyglądasz na zmęczoną i wiem, że przyłożyłem do tego rękę, prosząc o tłumaczenie umowy, która nigdy nie zostanie zrealizowana... – milknie, orientując się, że powiedział o kilka słów za dużo.

Ze złości robię się czerwona po same koniuszki uszu.

Kłamstwo jest jedną z niewielu rzeczy, które doprowadzają mnie do szewskiej pasji.

– Chcesz powiedzieć, że spędziłam niemal sześć godzin na tłumaczeniu lipnych dokumentów? – Zaskakuje mnie stoicki spokój w moim głosie. – Ty pieprzony...

– Melody...

Jedno słowo. *Melody*. Tylko tyle zdąża wydobyć się z jego idealnie kształtnych ust, zanim podeszwa mojego buta ześlizguje się z pomostu i wpadam prosto w objęcia lodowatej wody. A on razem ze mną.

Krztuszę się, próbując łapać życiodajne powietrze. Przecieram oczy dłońmi, a chłód wody przenika moje ciało na wskroś. Rozglądam się wkoło, ale Singha nigdzie nie ma. *Idiota!*, ciśnie mi się na usta. Jeszcze tylko tego brakuje, żebym przez niego nabawiła się zapalenia płuc.

– Chodź tu, wariatko! – słyszę za plecami.

Płynę w stronę pomostu, na którym zupełnie przemoczony Rhys czeka na mnie z wyciągniętą ręką. Nie chcę go dotykać. Nie chcę, żeby on mnie dotykał. Okłamał mnie i to wystarczyło, żeby zmienić sposób, w jaki do tej pory go postrzegałam.

Mokrymi dłońmi chwytam się brzegu pomostu, ignorując Rhysa. Próbuję się podciągnąć, ale nie mam tyle siły i całe ciało odmawia mi posłuszeństwa. W końcu Rhys nie wytrzymuje mojej nieporadności, chwyta mnie za ramiona i jednym ruchem sprawia, że znajduję się obok niego. Bez sił opadam na nagrzane słońcem deski. Wokół nie słychać zupełnie nic poza moim ciężkim, świszczącym oddechem.

– Zabiję cię – bezgłośnie poruszam ustami.

Czuję ciepło bijące z jego ciała, kiedy kładzie się obok mnie. Otwieram oczy.

Leży na boku, podpierając głowę dłonią. Ani trochę nie sprawia wrażenia przemarzniętego, zaś moim ciałem wstrząsają nieprzyjemne drgawki.

– Jesteś piękna – mówi, przesuwając opuszkami kciuka po moich ustach.

Odwracam głowę, wbijając wzrok w bezchmurne niebo. Zaskakuje mnie to, co w tej chwili czuję. Leżę bez sił na twardych deskach przemarznięta do szpiku kości, a razem ze mną on, mężczyzna, który okłamał mnie z taką łatwością, a mimo wszystko przepełnia mnie szczęście. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że właśnie tutaj znalazłam wszystko, czego szukałam przez ostatnie lata. Uświadamiam sobie również, że wszystko, czego pragnę, ale i wszystko, czego się boję, zmaterializowało się w jednej osobie. W mężczyźnie, który leży obok mnie i opuszkami palców znaczy ścieżkę wzdłuż moich obojczyków.

– Rhys...

– Nie mów za dużo – szepcze, przerywając mi. Jego twarz boleśnie powoli zbliża się do mojej. – Często słowa są zbędne, Mel.

Zamykam oczy gotowa na najlepszy pocałunek w swoim życiu.

Przestaję oddychać, gdy jego usta delikatnie opadają na moją szyję. Mimowolnie wczepiam palce w jego przydługie włosy, przyciągając go bliżej siebie. Jęczę cicho, kiedy przygryza skórę na moim odkrytym ramieniu. Chcę go dotykać. Chcę, żeby dotykał mnie. Wsuwam dłonie pod jego T-shirt, gładząc mokrą, jedwabście gładką skórę. Dlaczego tak bardzo go pragnę? Dlaczego nie mogę z niego zrezygnować? Unoszę powieki, po czym robię coś, czego Rhys zupełnie się nie spodziewa. Całą siłą woli, wbrew sobie i całemu ciału, odpycham go od siebie.

– Przepraszam – mamrocze, podnosząc się.

Chcę odejść, ale jego dłoń mocno zaciska się wokół mojego nadgarstka.

– O co chodzi? – pyta, nie spuszczając wzroku z mojej rozgrzanej twarzy.

Zadzieram brodę do góry, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Chcę wracać do domu – mówię głośniejszym, niż zamierałam.

Miodowe oczy ciemnieją na dźwięk moich słów.

– Zgodziłaś się tu przyjechać – przypomina dziwnie odległym tonem.

– To było, zanim dowiedziałam się, że najzwyczajniej w świecie zakpiłeś ze mnie i mojej pracy. – Nie wiem, czy głos drży mi z zimna, czy z emocji. – Poza tym nie możesz trzymać mnie tu siłą.

– Mogę – mruczy. Nasze ciała dzieli tak niewielka odległość. – I zrobię to z przyjemnością.

Chcę wiedzieć, jak smakują jego usta. Chcę poczuć dotyk jego dłoni na sobie.

Zwilżam wargi językiem, nawet przez chwilę nie odwracając wzroku od jego przystojnej twarzy.

Oddycha głęboko, kładąc dłonie po obu stronach mojej talii. Nie mogę dłużej czekać. Wspinam się na palce, ale to on przyciąga mnie do siebie i całuje.

Pierwszy dotyk warg, tak subtelny i delikatny, niczym muśnięcie piórkiem, porywa mnie bez reszty. Jęczę cicho, gdy jego język wdziera się do moich ust. Głęboki pocałunek sprawia, że od tej chwili pragnę całować tylko tego mężczyznę. Wsuwa dłonie pod moją bluzkę, a skóra pali mnie pod jego dotykiem. Topię się. Lecę wprost do światła na niewidzialnych skrzydłach. Chcę to przerwać, ale nie mogę. Całuję jeszcze zacieklej – tak jak jeszcze nigdy nie całowałam. Ciepłe dłonie Rhysa wędrują w górę, zatrzymując się na łopatkach. I kiedy jestem o krok od całkowitego zapomnienia, coś się zmienia.

Singh odsuwa się ode mnie na bezpieczną odległość, a temperatura wokół nas spada o kilka stopni. Oddycham ciężko.

– Nie wymagam od ciebie niczego, czego nie byłabyś w stanie mi dać – chrypi. – Proszę jedynie o kilka dni.

Pochyla się, jeszcze raz muskając ustami moje, po czym odchodzi, zostawiając mnie przemoczoną na pomoście, a w mojej głowie raz po raz rozbrzmiewa echo jego słów.

## Rozdział 8

Ubrana w o wiele za duży męski T-shirt suszarką do włosów próbuję doprowadzić przemoczoną do suchej nitki bieliznę do stanu używalności, po raz kolejny plując sobie w brodę, że nie posłuchałam Singha, kiedy mówił, żebym wzięła ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Uznałam wtedy, że mężczyzna ma na myśli dokumenty, nad którymi zlecił mi pracę – jak się właśnie okazało zupełnie niepotrzebną. Kiedy błękitne figi z koronką są suche, wyłączam urządzenie, ubieram majtki i wychodzę z łazienki. Teraz czuję się o wiele pewniej, bo choć biały T-shirt zakrywa to, co powinien, to nie potrafiłabym paradować przed Rhysem niemal naga.

Poprosił mnie o kilka dni, a ja się zgodziłam. Nadal wszystko wydaje mi się absurdalne, ale wiem już, że to, co się dzieje, nie jest wymysłem mojej wyobraźni. Singh naprawdę wywiózł mnie nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co, a ja wciąż czuję tylko ten dziwny spokój. Nic więcej. Najciszej jak potrafię wślizguję się do pokoju, który chwilowo służy mi za sypialnię. Pomieszczenie nie jest duże, a jego umeblowanie ograniczone do minimum, ale podoba mi się. Przypomina mi mieszkanie, które wynajmowałam razem z Nancy.

Wchodzę na łóżko i siadam po turecku na środku materaca, gładząc satynową pościel w kolorze intensywnego granatu. Nie wiem, czym wypełnić sobie czas, czekając, aż Rhys się obudzi. Kiedy zostawił mnie na pomoście, nie byłam w stanie ruszyć się przez dobre piętnaście minut, a gdy już udało mi się dotrzeć do domu, znalazłam go śpiącego w jednym z pokoi na piętrze. Sama odszukałam łazienkę, a w niej T-shirt, który mam na sobie.

Może też powinnam się zdrzemnąć? Co prawda spałam w samochodzie, ale wciąż czuję się zmęczona. W mojej głowie kłębi się tysiące sprzecznych ze sobą myśli. Jestem pewna, że jeśli zaraz nie zrobię z tym porządku, to eksploduję, a mój mózg stanie się ozdobą dla jasnoszarej ściany obok mnie. Wiem, że powinnam dać znać мамie, gdzie jestem, ale tak naprawdę wcale tego nie chcę. Jeśli Amelie dowie się, co zrobił Rhys, przyjedzie tu razem z dziadkiem. Na samą myśl o tym, że mogliby poznać to miejsce, czuję zazdrość. I choć nie znam położenia geograficznego tego domu, to wiem, że mogłabym zostać tu dłużej niż kilka dni. O wiele, wiele dłużej.

Dźwięk zatraskiwanych drzwi jest tak donośny, że natychmiast porzucam wszystko, co aktualnie zajmuje moją głowę. Obudził się. Nareszcie!

Schodzę z łóżka, przeczesując palcami wilgotne włosy, po czym wychodzę na korytarz, rozglądając się uważnie. Po mojej lewej stronie na końcu korytarza rozbrzmiewa dźwięk lejącej się wody. Nie zastanawiam się zbyt długo i od razu ruszam w jego kierunku.

– Wypałeś się?! – wołam z uśmiechem, wsuwając głowę przez drzwi do łazienki.

Kabina prysznicowa jest tak zaparowana, że widać jedynie zarys męskiej sylwetki.

– Powiedzmy! – odkrzykuje mężczyzna, szybkimi ruchami namydlając ciało.

Ośmielam się wejść do środka i siadam na zamkniętej muszli klozetowej. W normalnym życiu nigdy nie naruszyłabym w ten sposób prywatności człowieka, który jest mi zupełnie obcy, ale normalne życie zostało kilkaset mil stąd, a wraz z nim zasady, które towarzyszyły mi na co dzień.

– Kiedy spałeś – zaczynam niepewnie – miałam dużo czasu do namysłu. Układałam sobie w głowie wszystko

to, co wydarzyło się dotychczas.

– I?

Myje sobie teraz ciemne włosy.

– I czuję się w tym wszystkim zagubiona – wyznaję. – Nie wiem, czego tak naprawdę ode mnie chcesz. Przywiozłeś mnie tutaj, zupełnie mnie nie znając. Powiedziałeś, że chcesz mnie poznać, a ja nie wiem, jaki masz w tym cel. Bo o coś musi chodzić. W normalnym życiu, kiedy dwoje ludzi chce się poznać, umawia się do kina, na kolację albo spacer.

Dźwięk lejącej się wody milknie, a szklane drzwi kabiny prysznicowej się odsuwają. Zawstydzona natychmiast spuszczam wzrok na dłonie spoczywające na udach.

– Możesz otworzyć oczy.

Podnoszę wzrok, kiedy słyszę rozbawiony głos Rhysa.

Jego widok po raz kolejny zapiera mi dech w piersi, a w mojej głowie pojawia się myśl, czy to uczucie będzie towarzyszyć mi za każdym razem, gdy na niego spojrzę. Na szczęście ma już na sobie jasnoszare dresy, które zupełnie do niego nie pasują. Ciemne włosy zaczesał dłonią do tyłu, lecz mimo to kilka mokrych kosmyków opada mu na czoło. Kiedy są ułożone, wydają się o wiele krótsze niż w rzeczywistości.

– Chodź – odzywa się, wyciągając rękę w moją stronę.

– Poszukamy bardziej odpowiedniego miejsca do rozmowy.

Wstaję, błędząc wzrokiem po jego umięśnionej klatce piersiowej. Oliwkowa skóra pokryta jest niewielkimi kropelkami wody, które w promieniach wpadającego przez szybę słońca lśnią niczym najprawdziwsze kryształki.

– Melody?



Całą siłą woli przywołuję się do porządku, świadoma tego, że pożeram wzrokiem półnagiego adonisa, z radością chwytając jego dłoń. Wychodzimy z łazienki, po czym kierujemy się w stronę schodów. Przystaję.

– O co chodzi? – pyta, odwracając się do mnie.

Moja dłoń wciąż spoczywa bezpiecznie schowana w jego.

– O nic – odpowiadam, podziwiając z bliska przystojną twarz. – Pomyślałam tylko, że moglibyśmy porozmawiać tam. – Wskazuję ruchem głowy drzwi pokoju, w którym spędziłam ostatnie kilkadziesiąt minut.

Rhys taksuje spojrzeniem moją sylwetkę, zatrzymując wzrok na sutkach wyraźnie odznaczających się przez cienki materiał.

– Fajna koszulka – mówi niskim głosem, a jego miodowe oczy ciemnieją o kilka tonów.

Znowu czuję to magiczne przyciąganie, któremu skutecznie się opieram, przykuwając stopy do drewnianej podłogi.

– Pozwoliłam sobie pożyczyć – odpowiadam, wysuwając pierś do przodu.

– Skąd ta nagła śmiałość, Melody? – pyta, po czym wraca spojrzeniem do moich oczu. Mrugam kilka razy, szukając w głowie jakiejś błyskotliwej odpowiedzi, ale on już zbliża twarz do mojej. Wstrzymuję powietrze. – Masz najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem – szepcze prosto w moje usta.

*To samo mogłabym powiedzieć o twoich, myślę, lecz zamiast tego mówię wyzywająco:*

– Tylko na tyle cię stać, Singh?

Odsuwa się, kręcąc głową z uśmiechem i jednym pchnięciem otwiera drzwi do wskazanego przeze mnie pokoju.

– Panie przodem.

Dumnym krokiem przekraczam próg pomieszczenia, czując palący wzrok na zasłoniętym za dużym T-shirtem tyłku. Zatrzymuję się przy łóżku i zajmuję identyczną pozycję jak poprzednio. Rhys ponownie siada na brzegu, opierając się barkiem o zagłówek.

– Co będziemy robić? – pytam.

Na samą myśl o wszystkich możliwościach, jakie tutaj mamy, moje podbrzusze zaciska się przyjemnie.

– Rozmawiać – odpowiada poważnie.

– Och – bąkam i choć bardzo się staram, to w moim głosie wyraźnie słychać rozczarowanie.

Muszę natychmiast przestać myśleć jak niezaspokojona nimfomanka, bo inaczej szybko go do siebie zrażę. O ile już tego nie zrobiłam.

– Normalni ludzie chodzą do kina, na spacer i na randki – przyznaje mi rację. – Jednak powinnaś wiedzieć, że w naszym przypadku te wszystkie czynności są... nierealne. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ w normalnym życiu nikt nie pozwoliłby mi się do ciebie zbliżyć na tyle, bym mógł cię poznać. A uwierz mi, że o niczym innym nie myślę, odkąd rzuciłaś się na mnie na parkingu „Golden Eye”.

Oburzona otwieram usta.

– Nawet nie próbuj zaprzeczać – ubiega mnie z cwaniackim uśmieszkiem. – Rzuciłaś się na mnie, nie przejmując się tym, że mam żonę.

Przerażona patrzę na jego lewą dłoń, ale nigdzie nie widzę obrączki ani nawet śladu po niej.

– Co? – pytam słabo, policzkując się w myślach za swoją głupotę.

Kiedy wracam wzrokiem do jego twarzy, uśmiecha się szeroko.

– Przepraszam – mówi potulnie. – To był tylko głupi żart.

Żart? Mój Boże, to tylko żart! Z radości mam ochotę go uściskać, mimo że powinnam być zła.

– Następnym razem, zanim się na kogoś rzucę, upewnię się co do jego stanu cywilnego.

Natychmiast przestaje się uśmiechać.

– Uważaj – syczy, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie.

Zagryzam dolną wargę, by ukryć uśmiech cisnący mi się na usta.

– Wybacz – bąkam tylko, żeby nie zauważył satysfakcji, którą czuję w tej chwili.

Wkurzanie go właśnie stało się jedną z moich ulubionych rozrywek.

– Po tym wydarzeniu z pocałunkiem – ciągnie dalej jak gdyby nigdy nic – wróciłem samolotem do domu, ale nie mogłem wyrzucić z głowy smaku twoich ust, a na mojej koszuli wciąż utrzymywał się zapach twoich perfum. Możesz sobie wyobrazić, jakież było moje zdziwienie, kiedy kilka tygodni później zobaczyłem cię u Stone’a przy biurku. Swoją drogą, wyglądałaś obłędnie. – Mruga okiem. – Koniecznie musisz jeszcze raz włożyć tę sukienkę.

Chwytam poduszkę i uderzam go w klatkę piersiową.

– Mam rozumieć, że przywiozłeś mnie tutaj, ponieważ spodobała ci się moja sukienka? – Nie kryję urazy.

– Między innymi.

Jeszcze raz uderzam go poduszką, tym razem w głowę, ale zdecydowanie lżej.

Rhys w jednej chwili wyrywa mi ją, a w drugiej już leżę pod nim z rękami nad głową przytwierdzonymi do materaca.

– Mieliśmy rozmawiać – piszcze niewyraźnie, zahipnotyzowana spojrzeniem pociemniałych oczu.

– I będziemy – odpowiada. – Ale najpierw nauczę cię szacunku do starszych.

Kiedy nieoczekiwanie jedną dłonią wędruje pod materiał koszulki, którą mam na sobie, moje ciało drży pod jego delikatnym dotykiem. Opuszkami palców sunie od kości biodrowej w górę, a moje podbrzusze zaciska się przyjemnie. I gdy ciepła dłoń dociera do żeber, zaczynam się wyrywać i wrzeszczeć jak opętana, gdyż łaskocze mnie bezlitośnie.

– Przestań! – wołam, nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Błagam, Rhys!

– Przepróż – cedzi przez zęby ani na chwilę nie przestając mnie łaskotać.

Próbuję zrzucić go z siebie nogami, lecz ten w efekcie zaprzestaje wykonywanej czynności, po czym przyszpila mnie biodrami jeszcze mocniej do materaca, wywołując ból. Krzywię się, ale nie wydaję z siebie żadnego dźwięku, dopóki znowu nie zaczyna mnie torturować.

– Przepraszam! – udaje mi się wydusić między kolejnymi salwami śmiechu. – Słyszysz, Rhys? Przepraszam!

Duża dłoń delikatnie opada na moją talię.

Dyszę ciężko, próbując złapać oddech.

– Uwielbiam ten dźwięk – szepcze prosto w moje usta.

Kiedy otwieram oczy, napotykam jego nieustępliwe spojrzenie. Czuję, jak całe moje ciało zaczyna się rozluźniać. Rhys wędruje wzrokiem w dół, a ja za nim. W całej tej szamotaninie T-shirt podjechał mi niemal pod brodę, odsłaniając jedną nagą pierś. Chcę jak najszybciej ją zakryć, lecz uświadamiam sobie, że Rhys nadal więzi moje ręce w silnym uścisku. Niemal eksploduję, kiedy jego usta opadają na odsłoniętą część

ciała i delikatnie, niczym muśnięcie piórka, całują skórę tuż obok brodawki. Z moich ust wydobywa się niekontrolowany jęk.

– Podoba mi się – mruczy, całując raz jeszcze to samo miejsce, po czym naciąga koszulkę i uwalnia mnie, przyjmując początkową pozycję z tą swoją niewymuszoną nonszalancją.

Każda komórka mojego ciała błaga, by wrócił i dokończył to, co zaczął.

– Czy ty kiedykolwiek zrobisz to, co powinieneś? – pytam rozdrażniona, siadając.

Jego pociemniały wzrok błądzi po mojej twarzy, aż w końcu zatrzymuje się dłużej na ustach.

– Obiecuję ci, że zrobię wiele rzeczy, których nie powinienem – mówi cicho i brzmi to jak najprawdziwsza groźba.

Odrywa wzrok od moich warg, po czym wstaje i wychodzi.

– Hej! – wołam, w ogóle nie rozumiejąc tego, co właśnie się stało. Podrywam się z miejsca, natychmiast biegnąc za nim. – Dokąd ty idziesz?

Kiedy zbiegam po schodach, moje bose stopy przenika chłód zimnej podłogi. Dzieli nas naprawdę niewielka odległość, gdy Singh nagle się zatrzymuje, a ja odbijam się od jego pleców i z impetem upadam na podłogę. *Świetnie!*, myślę z przekąsem. Biodro nie zdążyło się jeszcze zagoić, a już mam kolejne stłuczenie do kolekcji. Rhys odwraca się i jednym sprawnym ruchem dźwiga moje szczupłe ciało na nogi.

– Chwilami zastanawiam się, czy wszystko z tobą w porządku – mówię ze złością, rozmasowując bolący tyłek.

– Dziwne. – Wydaje się niezwykle rozbawiony moimi słowami. – To samo chciałem powiedzieć o tobie.

Usiądźmy.

Dwa razy nie trzeba mi powtarzać. Odwracam się, ruszając w stronę kanapy, po czym siadam na niej delikatnie i z ulgą stwierdzam, że nie potłukłam się zbyt mocno.

– Co masz na myśli? – zwracam się do Rhysa, gdy siada obok mnie. Marszczy równe, ciemne brwi, jakby nie rozumiał, o co pytam. – Powiedziałeś, że również zastanawiasz się, czy wszystko ze mną w porządku.

– Chodzi o to... – urywa, szukając w głowie odpowiednich słów. Jego wzrok wędruje gdzieś ponad moje ramię. – Kiedy spotkałem cię na tym parkingu – ciągnie dalej, a ja wiem, że chodzi mu o noc, w którą pierwszy raz go pocałowałam – byłeś pewną siebie, cholernie seksowną kobietą, świadomą tego, jak działasz na mężczyzn. Jak działasz na mnie. Kilka tygodni później poznaję cię po raz drugi i nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. Bo choć wyglądasz tak samo pięknie, a twój wzrok jest równie zabójczy, twoje zachowanie zdecydowanie się różni.

Mrugam kilka razy, przetwarzając w głowie jego słowa.

– Miałeś nadzieję, że ponownie się na ciebie rzucę? – pytam, nie dowierzając.

Przenosi poważny wzrok na moją twarz.

– Nie, Melody – odpowiada, a po wcześniejszej wesołości nie ma ani śladu. – Po prostu zastanawiam się, dlaczego w obecności swoich bliskich zachowujesz się jak mała dziewczynka, która boi się głośno powiedzieć, że woli czekoladowe lody od truskawkowych.

– Lody?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Może nie powinienem tego mówić, ale ich obecność zabija w tobie wszystko, co najlepsze. Nie potrafisz być sobą w ich towarzystwie, mimo że znasz ich całe życie. I może się na tym nie znam, ale według mnie nie tak powinno to wyglądać.

Już chcę mu powiedzieć, że nie ma pojęcia o moich relacjach z najbliższymi i żeby się nie wtrącał, ale uświadamiam sobie, że ma całkowitą rację. Odkąd wróciłam do domu, czuję się okropnie. Zamknęli mnie w ślicznym apartamencie mojej matki, rozkazali dla nich pracować, przy okazji planując każdy dzień życia łącznie z posiłkami, które dostarcza mi wybrany przez nich catering. Z całą pewnością nie tak to powinno wyglądać!

– Nie potrafię się im sprzeciwić – wyznaję nieoczekiwanie nawet dla samej siebie. – Całe życie starałam się im przypodobać. Chciałam być taka jak mama: piękna, mądra, dostająca od życia wszystko, czego zapragnie. Ale wciąż coś mi nie wychodziło, a słowa krytyki towarzyszyły mi niemal każdego dnia.

Gdy otwieram oczy, które nie wiem kiedy zamknęłam, napotykam pełne zrozumienia spojrzenie Rhysa.

– Ciężko pasować do idealnej rodziny, kiedy samemu mocno odbiega się od ideału, co?

Potwierdzam kiwnięciem głowy.

Dobrze mieć obok siebie kogoś, kto mnie rozumie.

– Przepraszam – mówię cicho, spuszczaając wzrok na złączone ze sobą uda. – Sama nie wiem, dlaczego ci o tym powiedziałam.

Mężczyzna przysuwa się do mnie, a ciepło jego ciała ogrzewa moją skórę.

– Hej – mówi, chwytając mnie za brodę, czym zmusza mnie, bym na niego spojrzała. – Cieszę się, że to akurat mnie postanowiłaś się zwierzyć. Jesteśmy tu po to, żeby się poznawać, pamiętasz?

*Na razie to ty poznajesz mnie, zauważam w myślach.*

– Teraz ty powiedz coś o sobie – proszę.

Troska w miodowych oczach natychmiast znika i zastępuje ją coś innego. Coś o wiele bardziej

mrocznego. Coś, co mnie odstrasza i przyciąga zarazem. Rhys już mnie nie dotyka, ale też się nie odsuwa.

– Dobrze, pytaj – mówi niechętnie. – Ale ostrzegam, nie jestem ciekawym człowiekiem.

*Och, jestem przekonana, że nikogo ciekawszego nie spotkałam w całym swoim życiu, myślę.*

Jest tyle rzeczy, których chciałabym się o nim dowiedzieć.

– Czym się zajmujesz? – Na początek coś łatwego.

Zaskoczony unosi brwi. Zapewne nie spodziewał się tego typu pytań.

– Myślałem, że to fakt powszechnie znany – odpowiada wciąż zbity z tropu. – Musiałaś o mnie wcześniej słyszeć.

Kręcę głową.

– Nigdy.

– No teraz to czuję się mocno urażony.

Uśmiecham się.

– Będziesz to musiał jakoś przeżyć.

Unosi jedną brew, a jego twarz łagodnieje.

– Czyżby? – pyta, sunąc wzrokiem po mojej szyi.

Kiedy przełykam głośno ślinę, przyjemne mrowienie rozchodzi się w dół wzdłuż mojego ciała.

– Mhm – mruczę, nie będąc w stanie wydusić z siebie nic bardziej twórczego.

Czuję, jak z sekundy na sekundę powietrze wokół nas gęstnieje. Mimowolnie zbliżam się do Rhysa, nie odrywając wzroku od jego pełnych warg. Chcę znów poczuć ich smak. Ich ciepło na mojej nagiej skórze.

– Rhys – szepczę ledwie słyszalnie – nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się dzieje.



Na dźwięk moich słów niewidzialna, lecz wyczuwalna z jego strony blokada znika. Coś, co nie pozwalało mi się do mnie zbliżyć, odchodzi w cień. Nasze usta łączą się ze sobą w delikatnym, pełnym czułości pocałunku. Pocałunku, który również we mnie topi wszystkie dotychczasowe bariery. Pocałunku, który jest dla mnie niczym obietnica.

– Kochaj się ze mną – szepczę prosto w jego wargi.

Z jego ust wyrywa się niski jęk, gdy wsuwa dłonie pod materiał mojej koszulki. Kiedy zaciska palce na jednej z piersi, wyginam plecy w łuk i jęczę. Gdzieś w tle raz po raz dzwoni telefon, ale to nas nie dotyczy. Jesteśmy tylko my. Jego dłonie błądzące po moim ciele. Nasze usta złączone pocałunkiem.

Z jego pomocą pozbywam się koszulki i siadam mu okrakiem na udach. Pozwalam mu pieścić ustami moje piersi. Pozwalam mu dotykać mnie w najintymniejszy sposób, jaki znam. Sama również dotykam jego jedwabście gładkiej skóry. Sunę dłońmi od jego klatki piersiowej w dół do pępka, po czym wracam w górę i gładzę jego szerokie ramiona. Pochylam się i całuję go namiętnie, wsuwając język głęboko w jego usta. Chwyta mnie jedną ręką w tali i sprawnym ruchem obraca nas tak, że teraz to ja jestem pod nim. Przez ten cały czas ani na moment nie przestajemy się całować. Spieszymy się spragnieni swoich ciał. Zsuwa z bioder dresy, a ja ściągam majtki, dając mu dostęp do całej siebie. Wypełnia mnie sobą do ostatniego centymetra, patrząc mi prosto w oczy. Stajemy się jednością w jeden z najpiękniejszych sposobów. Lecę niczym ćma wprost do światła. Nie zawracam. Palę się.

## Rozdział 9

Wtulona w nagi tors Rhysa z zamkniętymi oczami słucham szybkiego bicia jego serca, a świeży zapach jego skóry pieści moje nozdrza. Przyciska mnie mocno do siebie, jakby się bał, że zaraz gdzieś zniknę. Uśmiecham się, kiedy jego usta opadają na moje czoło. Jeszcze nigdy nie czułam się tak spełniona. Z nikim nie było mi tak dobrze. Przy nikim nie czułam się tak bezpieczna. Dopiero teraz wiem, co znaczy kogoś pożądać. Kochać się z drugim człowiekiem nie tylko ciałem, ale także duszą. Głównie duszą.

Przez cały czas, gdy Rhys był we mnie, czułam, że dzieli się ze mną czymś znacznie więcej niż emocjami i przyjemnością. Pokazał mi kawałek ciemności, którą ma w sobie. Nie pozostałam dłużna i również oddałam mu część siebie. I wiem, że to głupie, bo zupełnie się nie znamy, ale już czuję, że mogłabym spędzić z nim resztę życia. Wzdycham w duchu, kiedy dźwięk dzwonka telefonu rozbrzmiewa już któryś raz z kolei. Niechętnie wyswobadzam się z objęć Rhysa, opieram plecy o zagłówek łóżka, po czym otulam nagie ciało kołdrą.

– Chyba musisz odebrać – mówię, uśmiechając się szeroko.

Siada i całuje mnie w nos.

– Zapamiętaj, że ja niewiele muszę – odpowiada, odwzajemniając uśmiech.

Na widok dołeczków w jego policzkach rozplýwam się po raz kolejny. Jestem tak szczęśliwa, że zupełnie nie przeszkadza mi jego zarozumiały ton. Już nie mogę się doczekać, kiedy po powrocie do domu pójdziemy na pierwszą normalną randkę. *Jeszcze nie wiesz, czy po*

*powrocie do domu będziecie tymi samymi ludźmi, co tutaj, zauważył mój głos rozsądku. Ale ignoruję go, nie pozwalając mu sprowadzić się na ziemię.*

– Czy to nie jest trochę nieetyczne? – pytam z wciąż głupkowskim uśmiechem malującym się na mojej rozpalonej twarzy.

– Co? – Unosi jedną brew.

– Uprawialiśmy seks, a ty jesteś moim szefem. Tak jakby.

Złote tęczę rozświetlają wesoło.

– Twoim szefem jest James – przypomina, gładząc wierzchem dłoni moje przedramię.

Muszę jak najszybciej zmienić temat, byle tylko nie rozmawiać o oszuście, który w perfidny sposób zabawił się kosztem mojej rodziny. Jednak z drugiej strony, gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj, w jednym łóżku z Rhysem, który w tym momencie jest dla mnie absolutnie idealny.

– Ten dom...

– Należał do mojej matki – wchodzi mi w słowo. – Kochała to miejsce naprawdę mocno i w pewnym sensie zaraziła tą miłością również mnie.

Tu jest tak pięknie! Wystarczyło zaledwie kilka godzin, bym i ja oddała niewielką część swojego serca temu miejscu.

Marszczę brwi.

– Dlaczego w pewnym sensie?

– Przecież tu jestem – odpowiada, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie, a ja nie do końca rozumiem, o co mu chodzi.

– Czy twoja mama...

– Nie żyje – ponownie wchodzi mi w zdanie.

– Och – bąkam tylko, nie wiedząc, co więcej mogłabym powiedzieć.

Rhys wstaje bez słowa, po czym ubiera spodnie, które wcześniej miał na sobie.

Atmosfera leci na łeb na szyję i wiem, że to moja wina. Żałuję, że w ogóle zaczęłam ten temat, ale nie cofnę czasu, choćbym bardzo chciała. Następnym razem, kiedy będę chciała zapytać o coś tak intymnego, zastanowię się dwa razy, czy warto psuć tym nasze relacje, które jeszcze są zbyt świeże. Dopiero zaczynają przypominać niezgrabny zarys znajomości. Nie mogę od razu zasypać go pytaniami, żeby go nie wystraszyć. *Nie wygląda na takiego, co by się bał*, ponownie odzywa się głos z tyłu głowy. *Może i nie*, przyznaję mu rację, *ale wolę być ostrożna. Na wszystko przyjdzie czas.*

Przekręcam się na bok, podziwiając pracę wyrzeźbionych mięśni jego pleców. Powinnam coś powiedzieć? Trochę niezręcznie tak milczeć, a zwykle *przepraszam*, wydaje się zbyt banalne w tej sytuacji. Cholera! Wszystko zepsułam.

Odchodzi, nawet na mnie nie patrząc. *Idź za nim!*, woła głos z tyłu głowy. *Idź i próbuj ratować to, co udało się wam dzisiaj zbudować.* Kiedy się podnoszę, zmęczone ciało daje o sobie znać przyjemnym bólem. Szczelnie owijam się kołdrą, ruszając na poszukiwania mojego ideału, choć nie mam zielonego pojęcia, co mam mu powiedzieć, gdy już go znajdę.

Szybko zbiegam po drewnianych schodach, rozglądając się uważnie, lecz nigdzie nie ma ani śladu Rhysa. Kiedy moje bose stopy i łydki owiewa przyjemnie chłodny podmuch wiatru, zauważam duże, szklane drzwi prowadzące na kamienny taras. Nie zastanawiam się długo. Bezszelestnie podchodzę do szyby, za którą zaczyna zapadać zmrok. Powietrze na zewnątrz jest chłodne i wilgotne. Rhys stoi wpatrzony w taflę jeziora, paląc papierosa. Kiedy podchodzę do niego,

instynktownie wtulam się w jego plecy, ignorując fakt, że cały się przy tym spina.

– Przeziębisz się – mówi spokojnym, beznamiętnym tonem, wydmuchując trujący dym z płuc.

Oplatam rękami jego talię, jeszcze mocniej przytulając się do jego nagiej skóry.

– Masz tu farby i pędzle? – Nie wiem, kogo bardziej zaskakuje moje pytanie, ale nie mam na to żadnego wpływu.

Rhys wrzuca niedopałek do kamiennej, zdobionej popielnicy, po czym się odwraca. Smutek malujący się w jego oczach sprawia, że ściska mi się serce.

– Farby i pędzle? – pyta, dotykając czołem mojego czoła. Potwierdzam nieznacznym skinieniem głowy. – Postaram się załatwić.

– Powiedz, że to, co się dzieje między nami, jest prawdziwe – proszę, zamykając oczy. – Powiedz, że...

Jego usta opadają na moje, skutecznie mnie uciszając. Całuje mnie delikatnie, przelewając w ten pocałunek cały ból, który był widoczny w jego oczach, w ten sposób dając mu ujście, a ja chłonę go całą sobą i pragnę choć na chwilę być dla niego ukojeniem.

\*\*\*

Odkąd sięgam pamięcią, wolałam posługiwać się obrazami niż słowami. Jednak wraz z babcią umarła radość, jaką czerpałam z malowania. Zapomniałam o swojej pasji na długie lata i dopiero tutaj zapragnęłam do niej wrócić. Dlatego kiedy tylko rozpakowałam paczkę, którą znalazłam w salonie zaraz po obudzeniu się, dotarło do mnie, że najwyższa pora wrócić do tego, co kiedyś dawało mi tyle frajdy i satysfakcji. Na brązowym papierze, którym owinięte były farby, pędzle, płótno i sztalugi, leżała mała, biała kartka, na której ktoś odręcznie nakreślił starannym pismem:

*Żeby to, co prawdziwe, zostało z nami na zawsze.  
Musiałem pojechać do miasteczka. Wrócę niedługo.*

R.

Nie pozwoliłam sobie zbyt długo rozmyślać nad tym, gdzie jest i kiedy wróci. Z jakiegoś nikomu nieznanego powodu ufam mu bezgranicznie. Może właśnie dlatego teraz mogę siedzieć na brzegu jeziora przed rozłożonym na sztalugach płótnem i ze spokojem rozkoszować się dawno zapomnianym uczuciem spełnienia.

Początkowo pędzel w mojej dłoni wydaje się wyglądać bardzo nienaturalnie, wręcz abstrakcyjnie, lecz szybko o tym zapominam, kiedy zamaczam jego idealnie wyprofilowaną końcówkę w farbie i przeciągam po płótnie po raz pierwszy. Przerywam na chwilę, po czym przyglądam się łódce dryfującej w oddali, która z tej odległości wydaje się wielkości dziecięcej zabawki. Zastanawiam się, czy ją również namalować. Raczej nie wniesie nic, co chciałabym zachować na zawsze, dlatego rezygnuję, skupiając się na połączeniu granatu z bielą.

Jest o wiele chłodniej niż wczoraj, a wilgoć gleby przenika materiał moich jedynych dżinsów. Jeśli chcę zostać tu chociaż jeden dzień dłużej, muszę zaopatrzyć się w jakieś ubrania. Jak tylko Rhys wróci, zapytam, czy gdzieś w okolicy jest jakikolwiek sklep odzieżowy. Bez problemu udało mu się zdobyć wszystkie rzeczy niezbędne do malowania, więc chyba nie powinno być problemu z ubraniami. Krzywię się, odpędzając myśli o jakiegokolwiek cywilizacji. To miejsce ma w sobie pewnego rodzaju magię. Magię, która sprawia, że czuję, jakby poza tym domem i jeziorem nie istniało nic więcej, a ja i Rhys jesteśmy tutaj jedynymi ludźmi. I niech tak zostanie. Przynajmniej dopóki nie upomni się o nas normalne życie.

Wypuszczam pędzel z dłoni, rozcierając palcem wskazującym farby tak, by się ze sobą łączyły i tworzyły płynne przejścia. Siadam na piętach, odchylając się

nieco do tyłu i podziwiam własne dzieło. Obraz nie zapiera tchu w piersiach, ale po tylu latach przerwy wcale się tego nie spodziewałam. Mimo to jest w nim coś, co sprawia, że nie mogę oderwać od niego wzroku. Chyba przypadkiem udało mi się przelać odczuwalną tu magię na płótno. To... niesamowite. Uśmiecham się szeroko. Chyba jeszcze nigdy nie byłam z siebie tak dumna, jak w tej właśnie chwili.

– Tu jesteś.

Odwracam głowę w stronę, z której dobiega głos Rhysa. Na jego widok mój uśmiech staje się jeszcze szerszy. Ubrany w biały, kaszmirowy sweter i beżowe spodnie stoi niecałe dwa metry ode mnie ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Na moje policzki wpełza niechciany rumieniec, kiedy zauważam, jak intensywnie wpatruje się w obraz, który namalowałam.

– Jeszcze nie skończyłam – mówię cicho, podnosząc się z ziemi.

Po dumie, która jeszcze kilkanaście sekund temu wręcz mnie rozpierała, nie ma ani śladu. Zastępuje ją wstyd i poczucie beznadziejności. Mam ochotę porwać płótno na strzępy, a sztalugi połamać i wrzucić do jeziora. Wszystko, byleby Rhys przestał tak intensywnie wpatrywać się w zmaterializowaną cząsteczkę mojej duszy.

– Masz talent – stwierdza, przenosząc spojrzenie na moją twarz.

Czerwienieję jeszcze bardziej.

– To tylko zabawa – usprawiedliwiam się, jakbym w ogóle nie słyszała uznania w jego głosie.

Chcę wykrzyknąć, że stać mnie na wiele więcej, że tak naprawdę to tylko trening, ale jest już za późno. Rhys doskonale wie, że włożyłam w ten obraz całą siebie. Czuję się obnażona w najmniej przyjemny sposób.

– Jest naprawdę dobry – mówi, stając tuż przede mną, po czym chwyta palcami pasmo moich ciemnych włosów. – Masz farbę we włosach. I na policzku – dodaje, uśmiechając się lekko. – Właściwie cała w niej jesteś.

Oplata dłońmi moją talię, przyciągając do siebie.

Zamykam oczy, chłonąc przyjemność wywołaną bliskością jego ciała. Przestaję oddychać, kiedy delikatnie przygryza skórę na mojej brodzie i sunie zębami po linii mojej szczęki w górę.

– Przez chwilę bałem się, że zniknęłaś – szepcze mi wprost do ucha. – Oddychaj, Melody.

*Oddychaj.*

– Nigdzie się nie wybieram – zapewniam, ściskając w dłoniach miękki materiał jego swetra. W ogóle nie przejmuję się, że moje dłonie zostawią na nim ślady. – Zostanę tak długo, jak będziesz tego chciał.

Dopiero kiedy wypowiadam te słowa głośno, zdaję sobie sprawę z ich prawdziwości. Rhys wkroczył do mojego życia i w ciągu jednej doby zmienił je o sto osiemdziesiąt stopni.

– Wiem.

Kiedy otwieram oczy, patrzę prosto w jego miodowe tęczówki.

*Golden eye.*

– To twój klub – wypalam nagle.

Że też wcześniej na to nie wpadłam!

Uśmiecha się, lecz nie odpowiada. Nie musi. Wspinam się na palce, po czym całuję go niepewnie. Jeszcze mocniej przyciąga mnie do siebie, z pełnym zaangażowaniem oddając pocałunek. Kiedy nasze języki splatają się ze sobą, czuję przyjemny skurcz w podbrzuszu.



Wsuwam zimne dłonie pod kaszmirowy sweter, pod którym nic nie ma. Sunę po twardym brzuchu w górę, zatrzymując dłonie w miejscu, gdzie bije jego serce. Czuję się wyjątkowo i głupio zarazem, bo jestem przekonana, że w tej właśnie chwili to serce bije tylko dla mnie. Dłonie Rhysa zsuwają się z mojej talii na biodra, a sekundę później jestem już w górze, oplatając go mocno nogami. Przez ten cały czas ani na chwilę nie odrywamy od siebie ust, aż chwilami brakuje mi tchu. Mimo piętnastostopniowej temperatury jest mi naprawdę gorąco.

Odchylam się, wiedząc, że silne ręce trzymają mnie pewnie, po czym zrzucam z siebie skórzaną kurtkę, która ląduje gdzieś na ziemi. Ponownie wpijam się w jego kształtne wargi idealnie pasujące do moich. Tak bardzo go pragnę, że zaraz eksploduję, jeśli nie posuniemy się dalej. Gryzę go delikatnie w dolną wargę, chwytając za brzeg jego swetra, lecz wtedy on się odsuwa.

– Co robisz? – pytam, błędząc wzrokiem po przystojnej twarzy, aż w końcu zatrzymuję się na pociemniałych z pożądania oczach.

Ostrożnie odstawia mnie na miejsce, muskając kciukiem moją dolną wargę.

– To nie jest najlepsze miejsce na uprawianie seksu. – Chwyta w dłonie moją twarz i całuje szybko w nos. – Poza tym mamy małą widownię.

Kiedy mój wzrok wędruje nad jego ramię, zauważam dwóch mężczyzn ubranych w czarne garnitury. *O, ziemio, rozstąp się pode mną!* Znowu czerwienieję po same koniuszki uszu.

– Kto to? – pytam, nie odrywając wzroku od pozbawionych emocji twarzy z wbitymi w nas beznamiętnymi oczami, których koloru nie jestem w stanie określić z tej odległości.

– Pracują dla mnie – wyjaśnia, bardzo starając się nie uśmiechnąć. Pochyliła się i podnosi z ziemi swoją kurtkę. – Ubierz się. Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

*No oczywiście, że dla niego pracują!*

Wyszarpuję mu ją z ręki, patrząc prosto w jego oczy.

– Coś cię bawi? – pytam poirytowana, przeczesując palcami splecione wiatrem włosy.

Kręci głową, unosząc ręce w geście poddania.

– Po prostu się rozluźnij – mówi uspokajająco.

Jak mam to zrobić, kiedy przed chwilą dwóch nieznanych mi mężczyzn było świadkami wybuchu mojego pożądania? Gdyby Amelie się o tym dowiedziała, najpewniej byłabym już martwa...

– Dlaczego czekają? – pytam, krzyżując ręce na piersi.

Dopiero cieszyłam się faktem, że to miejsce jest tylko nasze, a już muszę się nim z kimś dzielić. Żegnaj Atlantydo, niedawno odnaleziona, zbyt szybko utracona.

– Musiałem załatwić coś bardzo ważnego – odpowiada enigmatycznie.

– I nie mogłeś tego zrobić sam?

– Mogłem. – Uśmiecha się smutno. – Ale są rzeczy, których bardzo nie lubię robić sam.

Jego słowa brzmią tak złowrogo, że nawet nie mam odwagi zapytać, co ma na myśli.

Nie mówię więc nic. Odwracam się, po czym zaczynam szybko zbierać porozrzucane wokół pędzle.

– Jesteś smutna? – pyta, kiedy się prostuję.

Uśmiecham się nieśmiało i wtulam w niego, uważając, by jeszcze bardziej nie ubrudzić farbą jego ubrań.

– Nie jestem smutna – zapewniam. – To tobie powinno być smutno, bo właśnie ominął cię najlepszy seks w twoim życiu.

Parska śmiechem, ponownie przyciągając mnie do siebie.

– Obiecuję ci, że kiedy skończę – szepcze mi wprost do ucha – zabiorę cię w miejsca, o których bałaś się nawet śnić.

Na sam dźwięk jego słów w moim brzuchu wybucha stado motyli.

– Jeśli powiem, że bardzo mi smutno, to zostaniesz i zabierzesz mnie tam teraz? – pytam, nie kryjąc nadziei w głosie. W odpowiedzi kręci głową. – W takim razie mam nadzieję, że szybko wrócisz – mówię, a mój głos ginie gdzieś w jego swetrze.

– Panie Mariposa! – woła jeden z ochroniarzy za plecami Rhysa.

Odsuwam się, nie będąc pewna, czy dobrze słyszałam.

– Mariposa? – pytam zdziwiona.

– Później, Melody.

Na pożegnanie muska ustami moją skroń, po czym szybkim krokiem odchodzi w stronę czekających na niego pracowników.

– Mariposa – powtarzam szeptem, wpatrując się w oddalających się mężczyzn.

*Motyl.*

Podoba mi się.

## Rozdział 10

Zdążyłam już zapomnieć, jak trudno jest zmyć farbę ze skóry. Szorując się zawzięcie, zastanawiam się, co robi Rhys i czy myśli o mnie tak często jak ja o nim. Właściwie odkąd tu jestem, nikt poza nim nie zaprzęta moich myśli na dłużej. Wciąż jestem nieco oszołomiona tym, że wybrał właśnie mnie i wciąż nie mogę uwierzyć, że tak łatwo pozwoliłam mu sobą zawładnąć. Jednak nie zamierzam z tym walczyć. To, co teraz się dzieje, jest najpiękniejszą przygodą mojego życia i jeśli ma się skończyć, kiedy wrócę do domu, chcę wyciągnąć z niej tyle, ile tylko mogę.

Wyłączam wodę, przesuwając dłońmi po mokrych włosach, by usunąć z nich nadmiar wody, po czym otwieram drzwi kabiny i staję stopami na ciepłych płytkach. Kiedy się wycieram, w mojej głowie pojawia się nieproszona myśl. Początkowo próbuję odpędzić ją jak najdalej, lecz w końcu się jej poddaję. Chyba naprawdę powinnam dać znać mamie i dziadkowi, że żyję i wszystko u mnie w porządku. Wyszłam bez słowa w środku nocy podczas ich nieobecności i od dwóch dni nie daję znaku życia. Przecież nie zrobili nic, żeby zasłużyć sobie na takie traktowanie.

Nie widziałam swojego telefonu od... odkąd wsiadłam do intensywnie błękitnego Bentleya Rhysa. Jak to możliwe, że przez cały ten czas ani razu nie pomyślałam o tak niezbędnej rzeczy jak telefon? Wszystko przez te jego oczy! Wystarczy, że na mnie popatrzy i od razu zapominam o wszystkim, tonąc w złotych tęczęwkach bez reszty.

Ponownie ubieram męski T-shirt, który miałam na sobie wczoraj. Wychodzę z łazienki i schodzę na dół.

Muszę umyć pędzle, które zostawiłam na podłodze przy drzwiach wejściowych, ale najpierw muszę znaleźć telefon. Wychodząc z apartamentu Amelie, na pewno miałam go przy sobie. W samochodzie wrzuciłam go do torebki i zasnęłam, a kiedy się obudziłam, byłam tak zszokowana tym, co się dzieje, że całkowicie zapomniałam o swoich rzeczach osobistych.

Torebka z całą zawartością musiała zostać w samochodzie. Tylko dlaczego Rhys mi jej nie przyniósł? *Może przyniósł i położył gdzieś tutaj*, podpowiada głos z tyłu głowy. Postanawiam rozejrzeć się uważnie, ale nie mam pojęcia, gdzie zacząć szukać. Gdyby położył ją na wierzchu, od razu rzuciłaby mi się w oczy. Jeśli faktycznie zabrał ją z samochodu, musiał ją schować do którejś z szafek.

Ruszam do przedpokoju, gdzie zostawiłam obraz, aby wysechł. Teraz gdy na niego patrzę, w ogóle mi się nie podoba. Najchętniej wyrzuciłabym go i namalowała jeszcze raz zupełnie inaczej. Zostawiam to jednak, wiedząc, że nawet gdybym namalowała go kolejny raz, efekt i tak nie byłby dla mnie zadowalający.

Po mojej prawej stronie stoi ogromna szafa z lustrem na każdym z trzech przesuwanych drzwi. Waham się przez chwilę, zastanawiając się, co powiedziałby Rhys, gdyby zobaczył, że przeszukuję jego prywatne rzeczy. Wściekłby się? Przecież nie mam złych intencji. Robię to tylko po to, by odnaleźć swoje, które gdzieś tutaj muszą być. Z drugiej strony Mariposa nie mieszka tutaj na co dzień, więc raczej nie ma tu nic osobistego. Odsuwam pierwsze drzwi z lewej. Tak jak myślałam. Wszystkie półki są niemal puste. Kiedy odsuwam kolejne drzwi, z ulgą witam moją własność.

Wyjmuję torebkę, przewieszam ją sobie przez ramię i zaglądam do środka. Na pierwszy rzut oka nic z niej nie zginęło. Laptop, paczka chusteczek, miętówki. Wkładam dłoń do środka. Na samym jej dnie wyczuwam telefon. Od razu go wyjmuję, lecz jego ekran pozostaje ciemny.

*Bateria.* Na górze na pewno widziałam ładowarkę. Wrzucam rozładowany telefon z powrotem do torebki. Już chcę zasunąć drzwi szafy, kiedy mój wzrok przyciąga jakiś przedmiot. Pochyliłam się, powoli sięgając w stronę czegoś błyszczącego. Zamykam oczy, gdy moją dłoń przenika chłód stali. Nie muszę nawet patrzeć, by wiedzieć, co to jest.

Zabieram dłoń tak szybko, jakby właśnie została poparzona, po czym zamykam drzwi szafy, żałując, że nie powstrzymałam swojej ciekawości. Kiedy wracam do salonu, opadam na kanapę, ściskając mocno torebkę obiema dłońmi. Rhys ma broń. Prawdziwe, śmiertelne narzędzie. To nic takiego, prawda? Teraz każdy ją ma. Dziadek również. Całe życie byłam oswojona z jej widokiem, dlaczego więc teraz nie mogę uspokoić szalonego bicia serca?

Kim jest Rhys, że potrzebuje broni nawet w tym wybudowanym z dala od cywilizacji pięknym domu? Tak naprawdę nie wiem o nim nic poza oficjalnymi informacjami podanymi do wiadomości publicznej, a przecież to, czym naprawdę się zajmuje, może znacznie się różnić od tego, co zdecydował się powiedzieć. Przełykam ślinę, jeszcze mocniej ściskając torebkę. *Na pewno nie robi nic nielegalnego*, próbuję przekonać samą siebie. Potrafi być taki czuły i delikatny. Z całą pewnością nie byłby w stanie wyrządzić krzywdy drugiemu człowiekowi.

Jednak widziałam ten mrok, który czasami pojawia się w jego pięknych oczach. Mrok, który chwyta za serce i nie pozwala się ignorować. Mrok, który przyciąga mnie jak magnes. Zastanawiam się, czy Rhys działałby na mnie tak samo bez tej ciemności, którą w sobie nosi. Oczywiście, że tak! *Chyba tak...*

Gdy wstaję, by podłączyć telefon do ładowarki, drzwi wejściowe otwierają się i pojawia się w nich Rhys. Jest sam. Wygląda na zmęczonego i mocno wkurzonego. Bez

chwili namysłu udaję się w jego stronę, lecz zatrzymuję dobry metr od niego.

– Pożyczysz mi ładowarkę? – zadaję najgłupsze pytanie na świecie.

Przez chwilę przygląda mi się z uniesionymi brwiami, po czym przyciąga mnie do siebie bez słowa i mocno przytula, chowając twarz w moich jeszcze wilgotnych włosach. Jestem tak zaskoczona, że dopiero po kilkunastu sekundach ostrożnie oplatom rękę tuż pod jego klatką piersiową.

– Coś się stało? – pytam cicho, odchylając głowę tak, by móc patrzeć na jego twarz.

– Nic – odpowiada pozbawionym emocji głosem, a jego dłonie wędrują pod mój T-shirt, po czym zaciskają się na nagich pośladkach. – Zdaje się, że coś ci obiecałem – mruczy, delikatnie całując skórę na mojej szyi.

Ze świstem wciągam powietrze.

– Chyba tak – mówię, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że brzmie, jakbym błagała.

Nieporadnie zsuwam torebkę z ramienia i delikatnie odkładam ją na podłogę, pamiętając, że jest w niej komputer oraz telefon. Przez cały ten czas ani na chwilę nie odwracam wzroku.

Gdy tak toniemy bez reszty w swoich spojrzeniach, czuję, że to właśnie on jest w stanie osłonić mnie przed wszystkim, czego się boję. Na przykład przed prawdą o nim – o tym, kim naprawdę jest i kim nigdy nie będzie. Odwraca się, a ja wraz z nim, po czym przyspila moje ciało swoim do chłodnej ściany. Całuje moje usta, szyję i dekolt, a ja walczę z sobą, by nie wydać z siebie nawet najmniejszego jęku.

To, o czym bałam się marzyć, właśnie się spełnia. Stoję zupełnie naga przed mężczyzną, którego ledwie znam, czując do niego coś więcej niż zwykłe pożądanie.

Chcę być częścią jego życia i codziennie tak przed nim stawać. Widzieć ten jego pociemniały z pożądania wzrok i wiedzieć, że jestem tego jedynym powodem. Kiedy pomagam mu pozbyć się ubrudzonego farbą swetra, moim oczom ukazuje się oliwkowa skóra, na której wcześniej moje dłonie również zostawiły plamy farby. Mam ochotę całować każdy jej centymetr, lecz rozmyślam się, gdy jego dwa palce wsuwają się we mnie bez ostrzeżenia, wykonując rytmiczny ruch. Całe moje ciało dosłownie wije się z rozkoszy, a ciche jęki tłumią nieustępliwe usta Rhysa.

– Rhys – szepczę, bojąc się mówić głośno – chyba się w tobie zakochuję.

Zamiera z palcami wewnątrz mnie i natychmiast przestaje mnie całować. Spanikowana szukam jego wzroku, ale on nie chce na mnie spojrzeć. Czyżbym zepsuła wszystko, zanim w ogóle się zaczęło? Kretynka.

– Przepraszam – mówię łamiącym się głosem.

Tego wszystkiego jest zbyt dużo. Zbyt dużo emocji i wrażeń, które w każdej minucie ostatnich dwóch dni nieustannie były mi dostarczane.

– Za co? – pyta, odsuwając się.

Już mnie nie dotyka, a ja czuję pewnego rodzaju ulgę.

Zasłaniam nagie piersi rękami.

– Za to, co powiedziałam. Nie miałam tego na myśli. Przepraszam – powtarzam, schylając się po koszulkę i szybko ją ubieram.

Odchyła głowę do tyłu, nie spuszczać ze mnie wzroku. Choć bardzo się staram, nie mam odwagi spojrzeć mu prosto w oczy. Jak mogłam powiedzieć coś tak idiotycznego? *Ziemio, rozstąp się pode mną!* Kolejny raz odnoszę wrażenie, że mój język chwilami żyje własnym życiem i zupełnie nie mam wpływu na to, co wydostaje się z moich ust za jego sprawą.



– Spójrz na mnie – prosi łagodnym głosem.

Kręcę głową. Chcę zniknąć. Uciec. Cokolwiek, byle tylko znaleźć się z dala od niego.

Kiedy próbuję go ominąć, chwytą mnie za ramiona, czym skutecznie mi to uniemożliwia. Zadzieram brodę do góry.

– Puść mnie, proszę – bezgłośnie poruszam ustami, patrząc w miodowe tęczówki.

Ku mojemu zdziwieniu Rhys wcale nie wygląda na rozgniewanego.

– Czyli nie zakochujesz się we mnie? – pyta.

*Oczywiście, że nie!*

– Nie – odpowiadam, pewnie kręcąc głową, aby brzmieć bardziej wiarygodnie. – To wszystko przez tę twoją bliskość. Odbiera mi rozum, kiedy mnie dotykasz.

Rozciąga usta w leniwym uśmiechu, sunąc dłońmi w dół wzdłuż moich rąk, aż splata palce z moimi.

– Jest pani pełna sprzeczności, panno Prince.

Uśmiecham się szeroko.

– Czy moglibyśmy dokończyć to, co mi obiecałeś? – pytam, tym samym potwierdzając jego słowa.

Pochyla się i przygryza płatek mojego ucha.

– Z największą przyjemnością.

Przesuwa zębami od ucha wzdłuż mojej szczęki, aż odnajduje usta. Kiedy zaczyna mnie całować, wciąż czuję, że się uśmiecha. *Drań*. Przenosi dłonie na moje pośladki, po czym jednym sprawnym ruchem podnosi mnie do góry. Mocno oplatom go nogami tuż nad biodrami. Jest wszystkim, czego pragnę. Jest spełnieniem moich najskrytszych marzeń i największych fantazji. Jest niezemski i w tej chwili tylko mój i... Cholera! Chyba naprawdę się w nim zakochuję.

\*\*\*

Gdy wieczorem podłączam telefon do ładowarki, ilość przychodzących powiadomień nieco mnie przeraża. Odczekuję kilka minut i kiedy wibracje cichną na dobre, sięgam po urządzenie. Biorę parę głębokich oddechów, po czym wciskam przycisk *początek*. Liczba nieodebranych telefonów oraz wiadomości jest naprawdę duża. Z mocno bijącym sercem wchodzę w spis połączeń, przewijając w dół. Niemal wszystkie wykonali dziadek i mama, ale jest też kilka od Nancy oraz kilka z nieznanych mi numerów. Postanawiam wykorzystać to, że Rhys jest w łazience i drżącym palcem dotykam numeru przyjaciółki. To do niej dzwonię najpierw.

– Prince, cholera jasna! – Odbiera niemal natychmiast.

– Cześć – mówię, zamykając oczy.

– Cześć? – pyta, lodowatym głosem. – Kurwa mać, myślałam, że coś ci się stało!

Niedobrze. Jest o wiele gorzej, niż myślałam.

– Wiem, przepraszam, ale...

– Szuka cię policja.

Że co?!

– Cholera! – zaklinam.

Wygląda na to, że sprawy nieco się skomplikowały. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś zawiadomi policję po tym, jak beztrąsko i z głupkowatym uśmiechem w środku nocy odjechałam w nieznaną z mężczyzną, który jest cholernie przystojny, ale jednak pozostaje nieznanym.

– Możesz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje?

*Sama chciałabym to wiedzieć, myślę.*

– Powiem – obiecuję – ale nie teraz.

Rozłączam się bez słowa pożegnania.

Muszę jak najszybciej skontaktować się z Amelie albo Hudsonem, zanim Rhys będzie miał przeze mnie poważne problemy. W chwili, w której chcę wybrać numer dziadka, to on dzwoni pierwszy.

– Tak? – odzywam się cicho.

– Melody, dzięki Bogu! – Ulga w jego głosie wprawia mnie w jeszcze większe poczucie winy.

Nie powinnam zapominać o najbliższych przez mężczyznę, choćby nie wiem jak bardzo mi się podobał. Dopiero teraz zaczyna do mnie docierać, jak bezmyślnie postąpiłam.

– Przepraszam, dziadku – mówię skruszona. – Wiem, że powinnam powiedzieć wam o...

– Daj spokój – przerywa mi. – Powiedz tylko, gdzie jesteś i zaraz po ciebie jadę.

Stop, stop, stop! Nigdzie się stąd nie ruszam.

– Wrócę sama, ale nie jestem w stanie powiedzieć kiedy.

– Melody – w głosie mężczyzny słychać wyraźne ostrzeżenie – już dość zamieszania wywołałaś swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem. Razem z twoją matką odchodziliśmy od zmysłów. Chyba należą nam się jakieś wyjaśnienia.

Kątem oka zauważam jakiś ruch. Rhys już się wykąpał i teraz ubrany jedynie w spodnie od dresu stoi, opierając się bokiem o futrynę drzwi swojej sypialni. Przygląda mi się czujnym wzrokiem.

– Jestem... – urywam, posyłając mu pytające spojrzenie. Dziadek cierpliwie czeka, aż dokończę. Rhys odpowiada powolnym skinieniem głowy na moje nieme pytanie. Biorę głęboki oddech. – Jestem z Rhysem.

Po drugiej stronie słuchawki rozlega się głośny huk, jakby ktoś zbyt mocno zatrzaskał drzwi.

– Z kim jesteś?! – krzyczy dziadek.

– Z Rhysem – powtarzam, zaciskając powieki.

Oczywiście wyobraźni widzę, jak ręka Hudsona unosi się i mocno uderza mój policzek. Gorąco dziękuję w duchu, że jestem tak daleko od niego, bo choć nigdy wcześniej tego nie zrobił, czuję, że dzisiaj nie miałby przed tym żadnych oporów.

– Masz natychmiast wrócić do domu i zapomnieć o tym mężczyźnie – rozkazuje, opanowując się nieco.

Dziwne. Wydawało mi się, że oboje z mamą lubią Rhysa. Dlaczego teraz wieść o tym, że z nim jestem, przyprawia dziadka o taką złość?

– Przepraszam, dziadku, ale nie wrócę – odważam się powiedzieć, wiedząc, że tutaj jego gniew mnie nie dosięgnie. – Obiecuję, że niedługo się odezwę. Do usłyszenia.

– Me...

Rozłączam się szybko, odkładam telefon na materac łóżka i chowam twarz w dłoniach. Hudson jeszcze nigdy nie był na mnie tak zły. Jeszcze nigdy tak otwarcie mu się nie sprzeciwiłam. Ponownie chwytam za komórkę, po czym wyłączam ją drżącymi dłońmi, jakbym się obawiała, że kiedy pozostanie uruchomiona, dziadek zaangażuje wszystkie swoje szpiegowskie kontakty, żeby mnie namierzyć.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho Rhys, klękając przede mną.

Kręcę głową, czując w gardle coraz większą gulę.

Zabiera mi iPhone'a, odkładając go na podłogę, po czym chwytam moje dłonie i całuje każdą z nich.

– Jest na mnie wściekły – wyznaję smutno. – Boję się, że za chwilę nie będę miała dokąd wrócić.

– Nie myśl o powrocie – prosi. – Jeszcze nie.

Tak łatwo przychodzą mu te słowa. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo różni się nasze podejście do tego, co się między nami dzieje. Jestem typem emocjonalnym i cholernie mocno odczuwam wszystko, co mówi. Całą sobą chłonę każdy jego gest zakończony dotykiem. Rozkoszuję się wspólnymi chwilami, marząc, by trwały wiecznie. Tymczasem on zachowuje się, jakby w naszej znajomości nie było nic niezwykłego. Jest czuły, ale chwilami mocno zdystansowany. Chętnie dopuszcza mnie do swojego ciała, ale jego umysł pozostaje dla mnie zamkniętą twierdzą, do której nie potrafię dotrzeć. Czasami przestaje się pilnować, pozwalając drzemiącym w nim demonom dać o sobie znać, ale szybko się opanowuje, a ja udaję, że niczego nie zauważam.

Prostuję się, nagle coś sobie przypominając.

– Dlaczego ten mężczyzna nazwał cię Mariposa? – pytam.

Uśmiecha się.

– Bo tak się nazywam.

Na dźwięk jego słów otwieram szerzej oczy.

– Czyli nosisz w sobie więcej tajemnic – myślę na głos.

Odsuwa się nieco, nie puszczając moich dłoni i patrzy mi prosto w oczy.

– Znacznie więcej, Melody.

# Rozdział 11

Mariposa. *Motyl*. Symbol nieśmiertelności, odrodzenia i drogi do lepszych zmian. Niektórzy wierzą, że zjawia się w naszym życiu, aby zapowiedzieć istotne zmiany. Inni, że pomaga odnaleźć drogę w krytycznej sytuacji i napełnia nas dobrą energią. Ja natomiast wierzę, że Rhys zjawił się w moim życiu po to, by nim zawładnąć i stać się jego nieodłączną częścią.

Ostatnio w ogóle nie zaprzęłam sobie głowy tym, jaki mamy dzień tygodnia. Czas tutaj jakby stanął w miejscu. Dni mijają, od czasu do czasu Rhys znika na kilka godzin, a kiedy wraca, bez słowa bierze mnie w ramiona, całując do utraty tchu. Jestem jego siłą. Pocieszeniem niosącym ukojenie. Zasypiam i budzę się w jego ramionach.

Czasami boję się, że wszystko to sobie wymyśliłam, że to wcale nie dzieje się naprawdę. Ale wystarczy jeden uśmiech, jedno spojrzenie Motyla i już wiem, że to nie sen, a moja nowa, wyśniona rzeczywistość. Przy okazji przekonałam się, jak szybko można przywiązać się do drugiego człowieka. To zupełnie inny wymiar, jeśli chodzi o randkowanie, o ile w ogóle tak mogę nazwać to, co robimy. Spędzając ze sobą niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie ma miejsca na udawanie. Nie biegam co godzinę, by poprawiać rozmazany makijaż. Nie stroję się godzinami przed lustrem, czekając z ekscytacją, aż jego samochód pojawi się przed moim domem. Daję mu siebie taką, jaka jestem naprawdę, bez całej tej złudnej otoczki perfekcyjności.

Z podziwem przyglądam się, jak Rhys wsuwa dół czarnej, lśniącej koszuli w spodnie tego samego koloru.

Wygląda jak księżę ciemności. Jak Rhysand z „Dworu cierni i róż”.

– Twoja mama była fanką Sary J. Mass?

W rozbawieniu unosi jedną brew.

– Nie mam pojęcia, kto to taki – odpowiada, zapinając guzik spodni. – Możemy iść.

Wyciąga dłoń w moją stronę. Ujmuję ją, wstając z wygodnej kanapy i od razu wtulam się w jego klatkę piersiową, przy czym uważam, by nie pobrudzić jego ubrań pudrem.

– Nie wolałbyś zostać w domu? – pytam, odchyłając głowę i jednocześnie gładząc dłonią jego ramię.

Jeden szybki pocałunek w nos. Wydymam wargi. Nie tego się spodziewałam.

– Wolałbym – przyznaje, odsuwając się ode mnie. – Ale nie cierpię nie dotrzymywać słowa.

Przygotowywałam pędzle, których miałam zamiar użyć do malowania, kiedy Rhys pojawił się u szczytu schodów, oznajmiając, że zabiera mnie na kolację. Początkowo się ucieszyłam, lecz mój entuzjazm szybko opadł, kiedy dowiedziałam się, że nie będziemy sami, a cały wieczór będę musiała przysłuchiwać się rozmowom o interesach.

– Chodźmy więc – mówię, wzdychając.

Nie wnikałam, w jaki sposób Rhysowi udało się zdobyć znaczną część mojej własnej garderoby. Najpewniej któryś z jego pracowników wszedł do apartamentu Amelie pod jej nieobecność i spakował to, co wpadło mu w ręce. Dzięki temu mogłam dzisiaj włożyć ciemnozieloną sukienkę z aksamitnego materiału, idealnie przylegającą do mojego ciała, a nie dzinsy, które przez ostatnie dni prałam częściej niż przez cały okres posiadania ich.

W przedpokoju Rhys pomaga założyć mi czarne futerko, którego szczerze nie znoszę, ale nie oponuję. Im szybciej wyjdziemy, tym szybciej skończymy kolację i będziemy mogli zostać sami. Wychodzimy na rześkie, październikowe powietrze, kierując się prosto do samochodu.

– Podoba mi się ten kolor. – Wskazuję głową Bentleya, na co Rhys uśmiecha się tajemniczo. – Co?

Otwiera mi drzwi.

– Uwierzysz, jeśli powiem, że kupiłem go tylko dlatego, że ten kolor najbardziej przypomina barwę twoich oczu?

Nieco zmieszana zajmuję miejsce pasażera, od razu zapinając pas.

– To miłe, ale... dziwne.

Uśmiecha się jeszcze szerzej. Zamyka drzwi, po czym okrąża samochód i siada za kierownicą. Silnik budzi się do życia, a chwilę później zjeżdżamy w dół kamienną drogą. Jestem tu już naprawdę długo, a jeszcze nigdy nie opuściłam terenu domu i ziemi, która do niego należy. Ze wzrokiem wbitym w boczną szybę patrzę na mijane drzewa iglaste zasadzone po obu stronach drogi. Kolejny raz odnoszę wrażenie, że dałam się wywieźć na drugi koniec świata, w którym nie ma nikogo poza nami.

Jednak po chwili otaczający nas las zaczyna się przerzedzać, a moim oczom ukazuje się brama. Rhys sięga po niewielki pilot i naciska jeden z guzików. Brama otwiera się powoli, wpuszczając nas do świata pełnego samochodów, ludzi i zła, przed którym udało mi się schronić na ponad tydzień. *Dorośnij*, syczy głos z tyłu głowy. Pokazuję mu środkowy palec, po czym wbijam wzrok w czubki eleganckich, srebrnych szpilek. Zrobię wszystko, żeby jak najdłużej utrzymać iluzję, w której żyliśmy przez ostatnie dni. *Wszystko*.



Podróż zajmuje niespełna dwadzieścia minut. Zatrzymujemy się pod eleganckim hotelem o nazwie, której nie potrafię wymówić. Dziwne, że do domu Rhysa nie docierają te wszystkie odgłosy z miasteczka, które jest zdecydowanie większe, niż początkowo zakładałam. Być może ma na to wpływ jezioro, którego wody pochłaniają wszystkie dźwięki z zewnątrz lub wzgórze, na którym dom został wybudowany. Nie wiem. Zawsze byłam beznadziejna z geografii.

Wysiadam z samochodu, nie czekając na mojego towarzysza, po czym ruszam do hotelu. Ostrożnie wchodzę po schodach, które wyglądają dość niepozornie, lecz w rzeczywistości są bardzo strome. Dłoń Rhysa na moich łądźwiach dodaje mi pewności, sprawiając, że czuję się bezpiecznie. Przy wejściu stoi elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku. Na nasz widok prostuje się, unosząc brodę.

– Panie Mariposa – mówi tytułem powitania, zachowując poważny wyraz twarzy i przenosi wzrok na mnie. – Dobry wieczór, panno Prince – zwraca się bezpośrednio do mnie. – Jest nam niezwykle miło gościć tu panią.

Rhys trąca mnie łokciem, kiedy milczenie z mojej strony się przedłuża. Odchrząkuję dyskretnie, po czym z uśmiechem podaję mężczyźnie dłoń, wciąż lekko zszokowana tym, że wie, jak się nazywam, bo to, że zna Rhysa, w ogóle mnie nie dziwi.

– To mi jest miło, że mogę tu być, panie...

– Claudio – przedstawia się. Dopiero teraz słyszę w jego głosie wyraźny, hiszpański akcent. – Państwa goście już czekają.

Motyl bez słowa rusza przed siebie, ciągnąc mnie za sobą.

– Dziękuję, Claudio! – wołam przez ramię, próbując nadążyć za Mariposą, czego nie ułatwiają mi

niebotycznie wysokie szpilki.

Zwalnia dopiero kiedy zatrzymujemy się przy szklanych drzwiach. Dopiero teraz spokojnie mogę się przyjrzeć wystrojowi hotelu. Czerwień, złoto i przepiękne wiktoriańskie dywany cieszą moje oczy. Uwielbiam takie klimaty. Zupełnie jakbym trafiła do poprzedniej epoki.

Gdy drzwi się rozsuwają, moim oczom ukazuje się piękna restauracja, której powierzchnia naprawdę zaskakuje. Większość okrągłych stołów zajmują hotelowi goście, zaś gdzieś między nimi są osoby, z którymi mam spędzić cały wieczór.

– Mógłbyś być miłszy – syczę cicho, kiedy pokonujemy odległość między drzwiami a stołem najbardziej oddalonym od wejścia.

Stukot moich obcasów przyciąga uwagę zdecydowanej większości obecnych gości, więc prostuję się, by wyglądać na bardziej pewną siebie, skupiając się na dwóch mężczyznach pogrążonych w rozmowie, w których kierunku zmierzamy.

– Po co? – pyta Rhys, gdy jesteśmy zaledwie kilka metrów od mężczyzn.

– Żeby ludzie cię lubili – oznajmiam. – Nie chciałbyś mieć przyjaciół?

Parska śmiechem.

– Mam przyjaciół, Melody. – Zatrzymujemy się przy stole nakrytym ciemnoczerwonym obrusem. – Panowie.

Mężczyźni, którzy do tej pory nie zwracali na nas uwagi, podrywają się z miejsc.

– Pan Mariposa i jego przeurocza towarzyszka – mówi jeden z nich, ściskając Rhysowi dłoń.

Jest zupełnie łyсы, z lekką nadwagą, odziany w drogi garnitur w szarym kolorze. Z tonu jego wypowiedzi słychać za kogo mnie ma. Zapewne Motyl już nieraz

zjawiał się na spotkaniach biznesowych w towarzystwie innych kobiet, które nie zabawiły na dłużej w jego życiu. Mimowolnie zastanawiam się, czy ze mną będzie tak samo.

– Thomasie, pozwól, że przedstawię ci pannę Prince.

– Panna Prince – powtarza mężczyzna z chytrym uśmieszkiem, zajmując swoje poprzednie miejsce. – Bardzo nam miło. Prawda, synu?

Przenoszę wzrok na drugiego mężczyznę, który wygląda jak młodsza wersja swojego ojca, witając się z nim jedynie skinieniem głowy. Rhys odsuwa mi krzesło, więc dziękuję grzecznie, siadając, po czym przysuwam się do stołu. Młody kelner zjawia się z menu w ręce dokładnie w momencie, kiedy Mariposa siada obok mnie, a jego dłoń ląduje na moim udzie.

Zamawiam paellę z owocami morza oraz lampkę wytrawnego wina i oddaję kartę dań kelnerowi, który przyjmuje pozostałe zamówienia, a następnie szybkim krokiem odchodzi. Patrząc na obrotowe drzwi, za którymi znika, żałuję tylko, że nie zamówiłam całej butelki.

\*\*\*

Gdybym wiedziała, jak będzie wyglądać to spotkanie, nigdy bym się nie zgodziła w nim uczestniczyć. Wolałabym zostać sama w domu i czekać na Rhysa, a dłużący się czas wypełnić malowaniem. Już nawet nie staram się słuchać rozmów dotyczących organizacji balu charytatywnego, którego głównymi sponsorami mają być Motyl, Thomas i jego syn.

– Przepraszam – mówię cicho, wstając. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą dotykała mnie dłoń Rhysa, czuję nieprzyjemny chłód. Chwytam torebkę przewieszoną przez oparcie krzesła i zakładam ją na ramię. – Zaraz wracam.

– Poradzisz sobie? – upewnia się Rhys.

– Jasne – odpowiadam z uśmiechem i ignorując świdrujące spojrzenie syna Thomasa, odchodzę.

W porównaniu do duchoty panującej w restauracji powietrze na zewnątrz jest przyjemnie chłodne. Sięgam do torebki, wydaję z papierošnicy papierosa i wkładam go do ust.

– Potrzebujesz pomocy?

Zamieram ze złotą zapalniczką w dłoni. Od razu wiem, że głos należy do młodego mężczyzny, który siedział naprzeciw mnie, mimo że do tej pory nie odezwał się ani słowem.

Odwracam się, wrzucając zapalniczkę do torebki i wydaję nieodpalonego papierosa z ust.

– Niby w czym? – pytam, mrużąc oczy.

Stoi niespełna dwa metry ode mnie z rękami w kieszeniach czarnych, garniturowych spodni. Nasze oczy są na tej samej wysokości, dlatego z łatwością mogę dostrzec wyższość, jaka bije z jego niebieskich tęczęwek.

– W czym tylko zechcesz, mała – odpowiada, zbliżając się.

Mimowolnie prychnam rozbawiona jego słowami.

– Tak się składa, że niczego od ciebie nie chcę.

Patrzę na drzwi, w których nie stoi żaden hotelowy pracownik, po czym ponownie spoglądam, na łysola, który co kilka sekund przysuwa się bliżej. Kiedy dociera do mnie, że nie ma tu nikogo poza nami, włącza się mój instynkt samozachowawczy i zaczynam odczuwać strach.

– Uwierz mi, że za chwilę będziesz chciała – szepcze głosem, który według niego brzmi seksownie, wydymając dolną wargę, która i bez tego jest dużo większa od górnej.

Nic nie poradzę, że z moich ust ponownie wyrywa się kpiący śmiech.

– Czy ty...

Długie ręce zaciska na moich ramionach z ogromną siłą, po czym przyciąga do siebie. Próbuję się szarpać, lecz nie przynosi to żadnego efektu, gdyż mężczyzna trzyma mnie naprawdę mocno. Wstrząsa mną kilka razy, a kiedy podnoszę głowę, zbliża twarz do mojej z przerażającym uśmiechem. Już sama nie wiem, czy to strach, czy kwaśny zapach jego oddechu wywołuje u mnie mdłości.

Gdy zdaję sobie sprawę, że zamierza mnie pocałować, otwieram usta, żeby wołać o pomoc, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Dociera do mnie, że nie ma już odwrotu, więc zaciskam usta w wąską kreskę, odchylając się w tył na tyle, na ile pozwala mi uścisk napastnika. Zamykam oczy w nadziei, że to wszystko okaże się mniej ohydne, gdy nie będę nic widzieć. Nagle moje uszy rozdziera okrzyk bólu i syn Thomasa mnie puszcza.

Zataczam się do tyłu, ale szybko udaje mi się odzyskać równowagę. Staję pewnie na wyprostowanych nogach, patrząc, jak Rhys rzuca się na leżącego na ziemi współnika, po czym zaczyna okładać jego brzydką twarz pięściami. Mężczyzna pod nim szarpie się, próbując zasłaniać głowę rękami, lecz po chwili opada z sił. Mój towarzysz nie omieszka tego wykorzystać i ułamek sekundy później tłucze prawą pięścią bez opamiętania.

*Zrób coś!*, ponagla głos z tyłu głowy, ale ja nie jestem w stanie się ruszyć. Jak zahipnotyzowana patrzę na płynne ruchy mojego mężczyzny. Kiedy blondyn zaczyna tracić przytomność, Rhys boleśnie chwyta jego zakrwawioną twarz.

– Patrz na mnie, Will! – warczy. Kontynuuje dopiero wtedy, gdy widzi wpatrzony w siebie przekrwione białka.  
– Ona jest poza twoim zasięgiem, rozumiesz? – Przerażony Will mruga szybko kilka razy. – Nie waż się jej więcej tknąć!

Po tych słowach puszcza jego twarz, wstając z gracją i wbija lodowaty wzrok prosto we mnie.

– Rhys – udaje mi się wyjąkać.

Jestem tak zszokowana tym, co się stało, że mój głos brzmi, jakby należał do obcej osoby.

Motyl sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i przez chwilę myślę, że wyjmuje broń, by dokończyć dzieła, lecz w jego ręce pojawia się jedynie biała chusteczka, którą skutecznie ściera krew z dłoni.

Gdzieś w tle słyhać krzyk Thomasa, który właśnie znalazł swojego zwiniętego w kłębek, szlochającego syna. Ktoś inny woła, by wezwać karetkę. Jednak to wszystko jest gdzieś daleko, w innym świecie. Jestem w stanie skupić się jedynie na tym, że Rhys przyciąga mnie do siebie, po czym całuje tak delikatnie, jak jeszcze nigdy.

– Cholernie nienawidzę, kiedy palisz – szepcze prosto w moje usta, mocno mnie tuląc.

Już wcześniej to podejrzewałam, ale teraz mam już pewność. On także coś do mnie czuje.

W zupełnej ciszy zajmujemy miejsca na przeciwległych końcach kanapy, jednak po chwili zsuwam się z niej na kolana, chowając twarz w dłonie. Nie dopuszczam do siebie myśli, że niespełna godzinę temu ktoś próbował mnie... Kręcę głową. To słowo wywołuje we mnie taki lęk, że boję się o nim pomyśleć, nie wspominając nawet o wypowiedzeniu go na głos.

Najbardziej przerażające jest to, że cała sytuacja miała miejsce pod hotelem pełnym ludzi, a mimo to w tamtej chwili nie było zupełnie nikogo, kto mógłby mi pomóc. Gdyby nie Rhys... Przed oczami wciąż mam obraz jego bezlitosnego wyrazu twarzy i furii w oczach, gdy jego pięść raz za razem odbijała się od zmasakrowanej twarzy Willa. Ponownie kręcę głową, chcąc jak najszybciej wymazać z pamięci ten mroźny obraz w żyłach obraz.

Słyszę, jak Rhys wstaje, lecz kiedy spoglądam w miejsce, gdzie powinien być, on jest już za mną. Ciepłymi dłońmi z czułością gładzi moje ramiona. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: *wszystko będzie dobrze*. Tylko że nic już nie będzie takie jak dawniej. Moje życie nigdy nie będzie takie, jakie było, zanim pojawił się w nim Rhys Mariposa.

Wstaję i najmocniej jak potrafię wtulam się w niego. Czuję ciepło jego ciała. Słyszę bicie jego serca i dłonie przestają mi drżeć.

– Przepraszam – szepcze w moje włosy kojącym głosem. – Nie powinienem narażać cię na coś takiego. Kurwa! – krzyczy, odsuwając się ode mnie. – Gdyby ten popapraniec coś ci zrobił... To wszystko miało inaczej wyglądać... Nic nie idzie zgodnie z planem.

Marszczę brwi. Dlaczego ostatnie dwa zdania wypowiedział płynnym hiszpańskim? Pewnie nie ma pojęcia, że zrozumiałam każde słowo. I o jaki plan chodzi? *Jest zdenerwowany i do końca nie wie, co mówi*, tłumaczę go w myślach. Mam ochotę podejść do niego i chwycić za rękę, ale muszę dać mu czas na ochłonięcie. Kilka minut później to on pierwszy bierze mnie w ramiona. Wdycham jego uspokajający zapach, zastanawiając się, czy to na pewno ten sam mężczyzna, który dzisiaj był w stanie zatłuc drugiego człowieka na śmierć gołymi rękoma.

– Co ty ze mną robisz? – mruczy, dotykając czołem mojego czoła, po czym zamyka oczy.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Prowokuję bójkę i sprawiam, że więcej się denerwujesz.

– To nie jest śmieszne, Melody – gani mnie, otwierając oczy. – William mógł ci zrobić krzywdę.

Czy na pewno? Ostatni raz wracam myślami do wydarzeń sprzed godziny. Will chciał mnie pocałować.

Był przy tym mocno nachalny, ale czy byłby w stanie posunąć się dalej? Pomylił mnie z kimś, kim nigdy nie będę, uznając mnie za panienkę do towarzystwa, które podobno często pojawiają się na tego typu spotkaniach.

– Obroniłeś mnie. – Muskam ustami jego usta, czując, jak cały się rozluźnia. – Jestem cała i zdrowa, i... twoja.

– Moja – mówi, jakby testował to słowo. – Moja – powtarza z przekonaniem, rozpinając suwak oliwkowej sukienki.

Prostuję ręce wzdłuż ciała, pozwalając, żeby delikatny materiał zsunął się z moich ramion wzdłuż klatki piersiowej, by w końcu opaść na podłogę. Kiedy Rhys się odsuwa, mam ochotę zasłonić nagie piersi ręką, lecz jego płonący pożądaniem wzrok powstrzymuje mnie przed tym. *Tylko twoja.*

*Moje ciało, dusza i serce należą do ciebie*, myślę, patrząc mu prosto w oczy. Wytrzymuje moje spojrzenie i nie odrywając wzroku od mojej twarzy, zsuwa mi z bioder koronkowe stringi. Ta czynność jest tak naszpikowana erotyzmem, że moje podbrzusze natychmiast zaciska się przyjemnie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo w tej chwili potrzebuję jego bliskości. Prostuje się i patrząc na mnie z góry, delikatnie, samymi opuszkami palców, jakby się bał, że pod jego dotykiem mogę rozpaść się na kawałeczki, znaczy ścieżkę od obojczyka do pępka.

– Rhys, błagam – kwilę, ale moje słowa giną gdzieś w jego ustach.

– Potrzebuję cię – szepcze, przyciągając mnie bliżej siebie.

*Wiem, kochanie*, myślę, całując go zapamiętale. *Ale to ja potrzebuję cię bardziej.*

\*\*\*

Budzą mnie delikatne jak muśnięcie piórkiem pocałunki. Mruczę cicho, obracając się na plecy.



– Przestań – chrypię, gdy Rhys zsuwa ze mnie kołdrę.

Chcę ponownie obrócić się na bok, ale powstrzymują mnie męskie dłonie sunące w górę moich ud. W ślad za nimi podążają jedwabiste miękkie usta, które rozgrzewają moją skórę do czerwoności. Kiedy docierają do miejsca pomiędzy moimi udami, podnoszę się na łokcie, całkiem się rozbudzając.

– Cieszę się, że jednak postanowiłaś się obudzić – mówi Motyl, odsuwając się ode mnie.

*Co ty robisz?!*, krzyczę w myślach. *Wróć i dokończ to, co zaczęłaś!*

– Jesteś dupkiem, Rhys.

Uśmiecha się rozbrajająco.

– Przepraszam. Chciałem, żebyś wstała we właściwym humorze.

*Byłby wyśmienity, gdybyś choć raz postąpił tak, jak powinieś*, myślę, ale nie mam odwagi powiedzieć tego głośno.

Spoglądam na wygaszacz iPhone'a leżącego na szafce nocnej.

– Dochodzi czwarta – zauważam, z powrotem opadając na poduszki. – O tej porze ani trochę nie rozumiem twojego poczucia humoru. Dobranoc.

Chwyta mnie za nadgarstek i ciągnie w swoją stronę, zmuszając, żebym usiadła.

– Moje poczucie humoru ma się nijak do tego, że powinnaś teraz wstać i się ubrać. Wychodzimy.

Patrzę na niego, jakby pochodził z innej planety.

– Czy środek nocy to twoja ulubiona pora na podróżę?  
– pytam, nie kryjąc rozbawienia.

Odpowiada mi spokojnym spojrzeniem.

– Nocą łatwiej mi być sobą.

Ze zrozumieniem kiwam głową.

To prawda, że jest zupełnie inny, gdy robi się ciemno. Staje się bardziej czuły. Bardziej ludzki.

– Czekam na noc, w której pokażesz mi prawdziwego Rhysa.

– A jeśli on jest o wiele bardziej poturbowany, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić?

Dotykam jego twardego ramienia schowanego pod materiałem białej bluzki z długim rękawem.

– Wtedy będę podziwiać twoją niezwykłą siłę, która pozwoliła przetrwać ci wszystko to, co doprowadziło cię do takiego stanu.

Jego miodowe oczy przecina niebezpieczny błysk, lecz znika tak szybko, jak się pojawił.

– Zbieraj się – mówi, uderzając mnie otwartą dłonią w udo. – Zaczekam na dole.

Gdy wychodzi, rozciągam usta w szerokim uśmiechu. Zawstydzony Rhys jest o wiele bardziej uroczy od czułego Rhysa. To niewątpliwie najlepszy widok, jakiego mogłam doświadczyć o tej porze.

Czym prędzej wychodzę z łóżka, opierając się pokusie nakrycia się kołdrą po sam nos, żeby ponownie zasnąć otulona jej muślinowym materiałem. Przegrzebuję walizkę w poszukiwaniu odpowiedniego stroju. W końcu decyduję się na kremowy, gruby sweter z warkoczowym splotem oraz zwykłe, jasnoniebieskie dżinsy. W pełni ubrana schodzę na dół, gdzie w przedpokoju czeka na mnie Motyl.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale zapomnij, że zrobię coś z tym, co mam na głowie.

Zanim zasnęłam, związałam mokre włosy na czubku głowy, więc teraz nie dość, że wciąż są mocno wilgotne, to wyglądem przypominają bardziej zdechłe zwierzę niż koka, którym były kilka godzin temu.

Rhys przyciąga mnie do siebie, kładąc dłonie na wysokości mojej talii.

– Przysięgam, że nigdy wcześniej nie widziałem tak pięknej kobiety i nawet to coś na twojej głowie nie ma na to żadnego wpływu. Mogłabyś być całkowicie łysa, a ja i tak nie odrywałbym od ciebie wzroku.

Odsuwam się na bezpieczną odległość, ponieważ jedyne, na co mam ochotę, będąc tak blisko niego, to zucie go w najbardziej sprośny ze wszystkich sposobów.

– Mógłbyś przestać się nabijać? – pytam poirytowana.  
– Bycie romantycznym wcale ci nie wychodzi.

Kiedy się uśmiecha, w jego policzkach pojawiają się dołeczki.

– I czerwienisz się, dlatego że jestem w tym tak beznadziejny?

Mimowolnie dotykam dłońmi swoich policzków.

– Żebyś wiedział – potwierdzam. – Zawsze tak reaguję, gdy poziom mojego zażenowania osiąga szczyt.

Rhys parska śmiechem, po czym naciska klamkę drzwi i gestem dłoni pokazuje, że mam iść pierwsza. Wychodzę na zewnątrz, z radością przyjmując fakt, że noc nie jest tak chłodna, jak początkowo myślałam. Zbiegam po kilku schodkach, zatrzymując się na wysypanym kamyczkami podjeździe. Kiedy dołącza do mnie Rhys, splatamy ze sobą nasze palce i ramię w ramię ruszamy w stronę jeziora. Zaskakuje mnie to, jak jasno jest wokół, mimo że na niebie widnieje nieduży księżyc.

Wchodząc na pomost, przyglądam się sunącej nad powierzchnią wody gęstej mgle. To piękny widok, wręcz epicki. Mimo to robi mi się nieprzyjemnie zimno, ponieważ przypomina mi się bajka, którą pewnego wieczoru opowiedziała mi babcia, kiedy byłam małym dzieckiem. Według niej mgła nie jest drobnymi kropelkami wody zawieszonymi w powietrzu, a udręczonymi duszami, które objawiają się nam w taki

sposób, licząc, że w końcu dostrzeżemy ich cierpienie. Dlaczego akurat teraz musiało mi się to przypomnieć?

– Wszystko dobrze, Melody? – pyta Rhys, wyczuwając zmianę w moim zachowaniu, mimo że do tej pory nie odezwałam się nawet słowem.

Biorę głęboki oddech.

– Wierzysz w duchy? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

Gdy zatrzymujemy się na końcu pomostu, mrugam kilka razy, żeby upewnić się, czy sporych rozmiarów łódź rzeczywiście majaczy mi przed oczami.

Rhys puszcza moją dłoń, obejmując mnie w pasie i zbliża usta do mojego ucha.

– Najgorszą rzeczą, jaka może cię tu spotkać, jestem ja – szepcze głosem pełnym grozy. Sekundę później wydaję z siebie okrzyk przerażenia, gdy uderza mnie w pośladek.  
– Wsiadaj.

– Zabiję cię kiedyś – mamroczę, ostrożnie stawiając nogę na pokładzie.

– Słyszałem – odpowiada z rozbijającym uśmiechem, zajmując miejsce za kierownicą.

Przekręca kluczyk, budząc silnik do życia. Wtulam się w jego ramię, kiedy ruszamy z miejsca. Chcę zapytać, dokąd płyniemy, ale rezygnuję, uświadamiając sobie, że przez głośny dźwięk silnika Rhys może mnie nie usłyszeć.

Czuję ekscytację pomieszaną ze strachem i kolejny już raz zastanawiam się, jak nazwać to, co czuję do Motyla. Jestem nim absolutnie zafascynowana i oczarowana. W najśmielszych snach nie spodziewałam się, że na mojej drodze stanie ktoś tak intrygujący jak on. Jego nieziemska uroda sprawia, że wygląda jak wysłannik nieba i piekła zarazem, a tajemnice, które w sobie nosi, sprawiają, że mam ochotę grzeszyć razem z nim.

– Znowu to robisz – mówi.

Bez problemu udaje mi się odróżnić każde jego słowo, mimo że silnik wciąż pracuje.

– Co robię? – pytam, marszcząc brwi.

– Patrzysz na mnie w taki sposób, jakbyś chciała mnie z pasją zamordować.

Odwracam głowę, odrywając wzrok od jego twarzy. Pudło, panie Mariposa.

– Wybacz – bąkam.

Postanawiam nie wspominać, że moje myśli dotyczyły czegoś zupełnie innego.

– To urocze.

Spoglądam na niego kątem oka.

– Jesteś dziwny.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

Zauważam, że prędkość, z jaką płyniemy, zmniejsza się znacznie, po czym dostrzegam przed sobą zarys czegoś, co wygląda jak drewniana altana pływająca na wodzie. Dopiero gdy podpływamy na tyle blisko, że bez problemu możemy wysiąść z łodzi, okazuje się, że altana nie pływa na wodzie, a zbudowana jest na niedużej wysepce niewiele większej od niej.

Rhys wysiada pierwszy, pomagając mi bez większego wysiłku. Omijam go, pozwalając mu zacumować motorówkę, po czym rozglądam się wkoło oczami dużymi jak spodki. Podchodzę do pięknej, rzeźbionej barierki, stając między dwoma kolumnami. Przesuwam dłońmi po jej gładkiej strukturze, a moje stopy dotykają białej drewnianej podłogi.

– Dlaczego tu jesteśmy? – pytam głupio, zachwycona liliami, które pokrywają powierzchnię wody wokół nas.

– Żeby utwierdzić cię w przekonaniu, że jestem prawdziwym dziwakiem – odpowiada, stając tuż za mną.  
– Kazałem zbudować to dla ciebie, mimo że ledwie cię znam. Czy to nie świadczy o moim szaleństwie?

Czuję, jak bicie serca aż mi przyspiesza. Odrywam wzrok od niewzruszonej tafli jeziora i staję twarzą do Motyla, zaplatając dłonie o jego szyję.

– Wygląda na to, że oboje jesteśmy równie szaleni. – Wspinam się na palce, muskając ustami jego rozchylone wargi. – Co będziemy teraz robić? – pytam, błędząc wzrokiem po jego twarzy.

– Dzisiaj chcę tylko przywitać świt, trzymając cię w ramionach – wyjaśnia, patrząc mi głęboko w oczy. – O całą resztę będziemy martwić się później.

Całuje mnie w czubek nosa i odchodzi kilka kroków, by usiąść na ławce, którą dopiero teraz zauważam. Dołączam do niego bez chwili zawahania, rozsiadając się w wygodnym obiciu z miękkiego materiału. Po chwili Rhys przytula mnie tak mocno, jakby za moment świat miały się skończyć.

Gdyby ktoś w tej chwili zapytał mnie, co do niego czuję, nie odpowiedziałabym. Nie dlatego, że nie wiem, ale dlatego, że się wstydzę. Bo przecież nie można obdarzyć drugiego człowieka tak silnym uczuciem w ciągu kilku wspólnie spędzonych dni. Nie można też dać się wywieźć nieznanemu mężczyźnie w środku nocy w miejsce, którego szukało się całe życie i być z tego powodu najszczęśliwszą istotą na Ziemi.

A jednak obie te rzeczy przydarzyły się mnie. Niech reszta świata ma mnie za idiotkę, ale ja wiem, że to, co się dzieje między nami, jest prawdziwe i cholernie szalone. Bardziej szalone od nas.

Wstrzymuje oddech, gdy słońce wysuwa się zza horyzontu. Jeśli istnieje miejsce stworzone do podziwiania jego wschodu, to właśnie w nim jesteśmy.

– Jak komukolwiek udało się to tutaj zbudować? – pytam, nie odrywając wzroku od ognistej kuli przed nami.

Rhys śmieje się cicho.

– Nie było to łatwe – przyznaje. – To miejsce nie spełnia żadnych warunków, które powinno.

Zainteresowana unoszę brwi.

– Mimo to powstało – zauważam.

– Dzięki sile perswazji, skarbie. Potrafię być bardzo przekonujący, jeśli bardzo mi na czymś zależy.

Prycham.

– Nie wątpię.

– Umiesz pływać? – pyta nagle, trącąc nosem moją szyję.

Wzruszam ramionami.

– Trochę, a co?

Nie widzę jego twarzy, ale czuję, że się uśmiecha.

– Przez to, że stworzyłem to wszystko w zaledwie kilka dni, łamiąc i naciągając po drodze wszystkie przepisy, istnieje ryzyko, że w każdej chwili możemy znaleźć się w wodzie razem z tą bajeczną konstrukcją.

Nie jestem w stanie dłużej się powstrzymać i wybucham głośnym śmiechem.

– Coś tak pięknego nie może zniknąć tak szybko – stwierdzam z pełnym przekonaniem, kiedy się uspokajam. – Jeszcze kilka razy chcę tu przypląć. Musi przetrwać przynajmniej do mojej śmierci.

– Myślisz o niej?

– O kim?

– O śmierci – wyjaśnia.

Marszczę brwi.

– Co to za pytanie? – dziwię się.

Wzrusza ramionami.

– Standardowe z mojego pakietu poznawczego. – Po ciemności, która sekundę temu wypełniała jego oczy, nie ma ani śladu. – Wracamy?

Zbyt szybko porzuca temat. To nie w jego stylu.

– Pod warunkiem, że przyśniemy tu jutro.

Z jakiegoś powodu ja także nie chcę o niej rozmawiać. Nie tutaj.

Kiedy wstaję, Rhys zaciska dłoń na moim nadgarstku.

– To twoje miejsce, Melody – mówi, patrząc na mnie dużymi, poważnymi oczami. Wstaje, po czym kolejny raz mocno mnie do siebie tuli. Przykładam ucho do miejsca, w którym bije jego serce, wsłuchując się w ten charakterystyczny rytm. – Możesz się tu zjawić, kiedy tylko zechcesz, bez względu na to, czy nasze drogi jeszcze kiedyś się ze sobą skrzyżują.

Spoglądam w górę na jego twarz, a moje słowa giną gdzieś w jego ustach. Uwielbiam ich smak. Uwielbiam to, że mogę je całować otoczona zewsząd wodą. Uwielbiam być zakochana. Jednak najbardziej uwielbiam Motyla i to, kim się przy nim staję.



## Rozdział 12

Ubrana jedynie w satynowy szlafrok sięgający do połowy ud, wsypuję do kubków po kilka łyżeczek słodkiego kakao, po czym zdejmuję z palnika garnek i zalewam ciemny proszek gorącym mlekiem. Kiedy pokonuję niewielką odległość między kuchnią a salonem, oba kubki mocno parzą mnie w ręce. Z impetem odstawiam je na stolik, siadając na kanapie tak, by móc dobrze widzieć twarz Rhysa.

– Chyba przesadziłam z temperaturą mleka – ostrzegam, gdy mężczyzna sięga po parzące kakao. Cofa rękę, przyglądając mi się w zamyśleniu. – O co chodzi?

– O nic nie pytasz – stwierdza. Chyba po raz pierwszy odkąd go poznałam, słyszę w jego głosie niepewność. – Dlaczego?

Posyłam mu beznamiętne spojrzenie.

– Jest już późno, a po całym dniu pełnym wrażeń chciałabym po prostu spokojnie zasnąć. Boję się tylko, że od tych wszystkich rewelacji nawet na chwilę nie uda mi się zmrużyć oka – odpowiadam. – A poza tym uznałam, że i tak nie uzyskam odpowiedzi.

Przecież nie mogę przyznać, że wciąż boję się prawdy o nim, choć chwilami ciekawość zżera mnie od środka.

– Thomas i...

– Przepraszam, Rhys, ale nie chcę o nich słuchać – przerywam mu, brzmiąc ostrzej, niż zamierzałam. – Przynajmniej nie dziś.

Być może marnuję jedyną szansę, by czegokolwiek dowiedzieć się o moim niedoszłym oprawcy i jego ojcu, ale naprawdę chcę o nich jak najszybciej zapomnieć

i pójść dalej. Finalnie nic mi się nie stało, ale już nigdy nie zapomnę tego strachu i bezsilności, jaką czułam, patrząc w ogarnięte szaleństwem oczy Williama.

– Dobrze – mówi cicho – więc co byś chciała wiedzieć?

Pochyłam się, chwytam z blatu kubek i upijam łyk. Przyjemnie ciepła ciecz rozlewa się po moim gardle, rozpieszczając słodkim, czekoladowym smakiem. Podnoszę wzrok i zauważam, że Rhys uśmiecha się głupkowato.

– Co? – pytam, opierając dłonie z kubkiem o uda.

– Nic – odpowiada, unosząc ręce w niewinnym geście.

Porzucam ten temat. Muszę wykorzystać fakt, że Rhys jest dzisiaj w nastroju na rozmowę i spróbować się czegoś dowiedzieć. O nim – nie o jego współnikach, pracownikach i całej reszcie nieistotnych dla mnie ludzi. Chcę sprawić, by zaufał mi w równym stopniu, co ja jemu. Chcę wejść do jego świata, choćby nie wiem jak mroczny i straszny był.

– Masz coś wspólnego z Hiszpanią?

Przerzuca rękę przez oparcie kanapy.

– To znaczy?

– Nazywasz się Mariposa. Ten hotel, w którym dzisiaj byliśmy, był jak żywcem wyjęty z hiszpańskiego magazynu o aranżacji wnętrz, pomijając już jego hiszpańską nazwę. Pracownik, który nas witał, mówił z hiszpańskim akcentem i...

– Moja matka pochodziła z Alicante, dlatego tak się nazywam – nie pozwala mi dokończyć. Kolejny raz, kiedy wspomina zmarłą matkę, jego humor gdzieś ulatuje. – Hotel jest uczczeniem pamięci o niej. Chciałem, by przypominał mi o niej i był namiastką ojczyzny, za którą tak bardzo tęskniła.

Jednym pytaniem dowiaduję się o nim więcej, niż przypuszczałam. Dopisuję do listy punkt: właściciel

hotelu. Wygląda również na to, że musiał być bardzo związany z mamą. Zapewne hotel w takim miejscu nie przynosi satysfakcjonujących zysków, a mimo to wciąż pozostaje otwarty.

– Dlaczego więc nie wróciła? – myślę na głos, upijając kolejny łyk.

Rhys wzrusza ramiona.

– Pokochała kogoś, kto nigdy nie zasługiwał na jej miłość.

No tak. Miłość. Mogłam się domyślić, że kiedy w grę wchodzi uczucia, zdrowy rozsądek odsuwa się w cień. Najgorzej, jeśli obdarzymy tą miłością kogoś nieodpowiedniego. Kogoś, kto sprawia, że szybko wyrastają nam skrzydła, lecz zamiast nauczyć nas latać, podcina je boleśnie, czerpiąc przyjemność z naszej emocjonalnej niewoli. Uczucie, na początku czyste i niewinne, zaczyna przeradzać się w toksyczną relację, którą z dnia na dzień coraz trudniej zakończyć. Umieramy jeszcze za życia, stając się wytresowanym manekinem. Wszystko dla miłości.

Niemal czuję wściekłość malującą się w jego miodowych oczach i zapamiętuję, by już nigdy nie pytać go o matkę. Wstaję, by odstawić kubek do zlewu, ale nie ruszam się z miejsca.

– James – mówię sama do siebie, rozmyślając gorączkowo.

– Co James?

– Od początku czułam, że nie jesteście spokrewnieni.

Rhys marszczy brwi.

– O czym ty mówisz?

Rhys Mariposa. Jego matka pochodziła z Alicante.

– Wcale nie jesteś siostrzeńcem Stone'a, prawda?

Mruży oczy, odchylając głowę w tył.

– Szybko połączyłaś fakty, skarbie – mówi z uznaniem.

Serce tłucze mi się w piersi jak szalone. Już wiem, że po tym, czego się dowiedziałam, a raczej domyśliłam, na pewno nie uda mi się zasnąć przez najbliższe kilka dni. Z jakiegoś powodu Motyl pojawił się w „Prince&Stone” i został przedstawiony jako Rhys Singh, siostrzeniec jednego z właścicieli. Muszę się zastanowić, czy na pewno chcę wiedzieć, co to za powód.

– Kim jesteś? – pytam, ścisząc głos do szeptu.

Wstaje i staje tuż przede mną. Wierzchem dłoni sunie od ramienia wzdłuż mojej ręki. Zabiera mi kubek i odstawia go obok swojego, z którego nie upił ani kropli. Z moich ust wydobywa się cichy jęk, kiedy jego usta opadają na moją szyję. Nie protestuję, gdy jego szorstki zarost drapie moją skórę. Odchylam głowę, mrużąc przeciągle – trochę ze zniecierpliwienia, bardziej z rozkoszy. Kiedy kilka sekund później jedną ręką rozwiązuje pasek swojego szlafroka, jego poły rozchylają się, ukazując jasną skórę. Wraca dłońmi do moich ramion, gładząc je czule, po czym delikatnym, ale stanowczym ruchem zmusza mnie, bym uklękła. Nie spuszczam wzroku z jego twarzy, gdy rozpinam guzik jego czarnych dżinsów.

– Grzeczna dziewczynka – mruży, chwytając mnie za włosy.

Kolejny raz wygrywa w tej niesprawiedliwej grze, jaką jest seks. Grze, której używa, od razu, gdy sytuacja staje się dla niego niewygodna. I być może kolejny raz dobrowolnie oddaję mu zwycięstwo. Ulegam mu, ponieważ chcę sprostać wszystkim jego oczekiwaniom. Gdyby łączyła nas miłość, wzajemnie uczylibyśmy się latać, ale to jemu pozwalałabym szybować wyżej. Z miłości.

Ze snu wyrywa mnie jakiś szmer. Otwieram oczy, lecz sekundę później pozwalam powiekom opaść ponownie.

Jestem zbyt zmęczona, żeby noc tak szybko się skończyła.

– Skarbie – słyszę tuż przy uchu.

Nie odpowiadam, tylko zaciągam kołdrę na głowę, dając Rhysowi do zrozumienia, że nie zamierzam się budzić. Przynajmniej na razie.

– Muszę wyjść – mówi na tyle głośno, że jego głos dociera do mnie przez materiał, który mam na twarzy. – Nie wychodź z domu i nikomu nie otwieraj. Nie wróć prędko, więc nie czekaj na mnie.

Na pożegnanie całuje mnie w udo – jedyną odkrytą część mojego ciała – a kilka sekund później słyszę dźwięk zamykanych drzwi sypialni. Poprawiam się tak, żeby było mi wygodnie, próbując przywołać na powieki resztki snu. Niestety bezskutecznie.

– Cholerny Mariposa – warczę, siadając.

Przecieram dłońmi zaspianą twarz i wstaję z łóżka. Wychodzę na korytarz, a następnie zamykam się w łazience. Wchodząc pod gorący strumień prysznica, zastanawiam się, co musiało się stać, że Rhys tak nagle musiał wyjechać. Wiem, że się spieszył, bo nawet nie zdążył się wykąpać – kabina była zupełnie sucha, zanim włączyłam wodę – a odkąd tu jesteśmy, nie zdarzyło mu się wyjść z domu bez wcześniejszego prysznica. Gdy wracał, pierwsze, co robił zaraz po pocałowaniu mnie, to udawał się do łazienki. Naprawdę dużo się mył, co na początku wydawało mi się nieco dziwne, ale ostatnio zupełnie przestałam zwracać na to uwagę.

Pachnąca ulubionym kokosowym żelem wychodzę z kabiny, owijam się ręcznikiem i szybko myję zęby. Temperatura na zewnątrz mocno spadła, przez co zrobiło się chłodniej również w domu. Teraz najchętniej schowałabym się w ciepłym łóżku i nie wychodziła z niego do lata. Kiedy płuczę usta, uświadamiam sobie, że nic nie stoi na przeszkodzie, bym właśnie tak zrobiła.

Jestem zupełnie sama, nie mam tu żadnych obowiązków, a malować nie mam ochoty. Apetyt też ostatnio mi nie dopisuje, więc śniadanie mogę sobie darować.

Wracam do sypialni i ubieram biały dres, który nosiłam wczorajszego ranka, a następnie z laptopem w rękę moszczę się wygodnie w łóżku, opierając plecy o pikowany zagłówek.

Zegar na wygaszacz ekranu pokazuje równo dwunastą. Wpisuję hasło i od razu odpalam komunikator. Przy zdjęciu Nancy pali się zielone kółeczko, więc bez wahania naciskam na ikonę kamery.

– Zajebista z ciebie przyjaciółka, Prince – warczy, odbierając po kilku sygnałach, kiedy jej ładna twarz wyświetla się na ekranie komputera. – Nawet nie wiem, dlaczego po tym wszystkim od ciebie odbieram.

Uśmiecham się skruszona.

– Może dlatego, że się za mną stęskniłaś? – pytam niepewnie.

– Lepiej powiedz, co ty odwalasz, dziewczyno, bo nawet mnie zaczyna to niepokoić.

*Och, Nancy, myślę, żebym ja to wiedziała.*

– Zakochałam się – wyznaję szeptem, choć wiem, że nikt poza blondynką nie może mnie usłyszeć. – Wiem, jak to brzmi – dodaję już normalnym głosem, widząc jej uniesione, idealnie równe permanentne brwi. – Ale naprawdę nigdy wcześniej nie czułam się podobnie. Nie znaliśmy się wcześniej zbyt dobrze, ale przez ostatnie dni poznajemy się w sposób dość... intensywny.

Zauważam, jak mocno zaciska szczękę. Wciąż musi być na mnie bardzo wkurzona, choć sama zapewne użyłaby innego słowa, by określić swoje uczucia względem mojej osoby.

– I nie mogliście robić tego na miejscu, tylko uciekać jak pieprzony Romeo i pieprzona Julia?!

– Nancy, błagam...

– Sorry, ale jestem na maksa wściekła! – Oddycha głęboko, uspokajając się. – Warto było przynajmniej? Singh się sprawdził? Gdzie ty w ogóle jesteś?

Singh. Zupełnie zapomniałam, że na co dzień Rhys posługuje się właśnie tym nazwiskiem.

– W jednym z jego domów – odpowiadam enigmatycznie, bojąc się przyznać, że nie mam pojęcia, jak nazywa się miasto, do którego dałam się wywieźć.

Przez chwilę zastanawiam się, czy powiedzieć jej o miejscu, które dla mnie stworzył, ale odpuszczam. Powiem jej innym razem.

Nancy zbliża twarz do monitora.

– Wyglądasz zaskakująco dobrze – mruczy pod nosem.  
– Chyba nikt się nad tobą nie znęca? – upewnia się.

Wybucham śmiechem.

– Jedyną torturą dla mnie jest brak Rhysa obok.

Kąciki jej ust w końcu wędrują w górę.

– Ale cię wzięło, Prince – stwierdza. – I ani trochę się nie dziwię, wiedząc, jak on wygląda. Jak już ci się znudzi, możesz dać mu mój numer. Żartuję – dodaje, widząc mój piorunujący wzrok. – Kiedy wracasz?

Wbijam wzrok w świecącą klawiaturę komputera.

– Chciałabym powiedzieć, że nigdy – wyznaję cicho – ale wiem, że w końcu te czternaście dni minie i...

– Jakie czternaście dni? – przerywa mi.

Z powrotem podnoszę wzrok na dziewczynę.

– To tak cholernie głupia i niedorzeczna historia, że w życiu nie uwierzysz – zaczynam, po czym w skrócie opowiadam przyjaciółce najistotniejsze fakty dotyczące podstępu Stone'a, choć teraz wiem, że sam Rhys musiał maczać w tym palce.

Nancy słucha w skupieniu, podpierając brodę dłonią, a jej zielone oczy patrzą w moje, dzięki czemu czuję, jakby naprawdę była obok, mimo że dzielą nas setki mil. Kiedy kończę, odchrząkuje, prostując się i mówi:

– Dwa tygodnie, kochanie, minęły jakieś trzy dni temu.

Mrugam kilka razy, przyswajając jej słowa. Robi sobie ze mnie żarty? Wyraz jej twarzy wskazuje na coś zupełnie innego.

– Żartujesz? – nie dowierzam.

To niemożliwe, że tak długo tu jestem. Może i w pewnym momencie przestałam odróżniać dni tygodnia i coraz rzadziej patrzyłam na zegar, ale siedemnaście dni z Rhysem nie mogło ot tak minąć, jak za dotknięciem magicznej różdżki.

– Jest trzydziesty października, Mel, a kontakt z tobą urwał się trzynastego.

Szybko odejmuję siedemnaście od trzydziestu.

– Jesteś pewna, że trzynastego? – dopytuję, choć doskonale znam odpowiedź.

Potwierdza kiwnięciem głowy.

– Cholera, muszę kończyć, Mel – wyrzuca szybko przepaszajaco. – Mam bardzo ważny telefon ze szpitala. Oddzwonię.

Jeszcze przez chwilę wpatruję się w czarny ekran MacBooka, gdzie jeszcze przed chwilą widniała twarz mojej najlepszej przyjaciółki. Wciąż jestem w lekkim szoku przez to, że nie zauważyłam siedemnastu dni spędzonych z Mariposą. SIEDEMNASTU!

Odkładam komputer, po czym wstaję i schodzę na dół, żeby coś zjeść. *Może gdybym więcej jadła, mój mózg funkcjonowałby lepiej, myślę złośliwie.*



W momencie, kiedy sięgam po jogurt, za drzwiami wejściowymi do domu coś upada. Zamieram na ułamek sekundy. Rhys mówił, żebym na niego nie czekała. Czy to możliwe, że wrócił tak szybko? Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. A jeśli to nie on? Wspominał, żebym nikomu nie otwierała.

Zamykam drzwi lodówki i z mocno bijącym sercem podchodzę do szafy w przedpokoju. Otwieram ją, od razu rozpoznając półkę, na której jakiś czas temu znalazłam broń. To było tak niedawno, a mam wrażenie, że od tego czasu upłynęły wieki.

Ktoś mocno szarpie za klamkę, więc bez zastanowienia zaciskam palce na pistolecie, po czym tulę go do klatki piersiowej, nie ruszając się z miejsca. Omal nie dostaję zawału, kiedy słyszę dźwięk przekręcanego klucza w zamku. Włamywacz zrobiłby to chyba nieco inaczej, prawda? Gdy drzwi w końcu się otwierają, staje w nich Rhys.

– Dzięki Bogu – mówię słabo, oddychając z ulgą.

Jego wzrok od razu pada na przedmiot, który kurczowo ściskam w ręku.

– Skąd to masz? – pyta, marszcząc brwi.

O mały włos nie zemdlałam z przerażenia, a on zadaje mi tak banalne pytanie? Mam ochotę mocno go walnąć.

– Stąd. – Wskazuję półkę, wymachując pistoletem.

Rhys natychmiast doskakuje do mnie, po czym zabiera mi broń i wsuwa ją za pasek swoich dżinsów.

– Uważaj – syczy. – Jest naładowany.

– Och – bąkam, zakładając za ucho ciemne włosy. – Myślałam, że... – urywam, machając lekceważąco ręką. – Nieważne.

Wystraszyłam się zupełnie bez powodu. Kto mógłby chcieć zrobić mi krzywdę, skoro nikogo tu nie znam? Muszę zacząć bardziej kontrolować emocje i nauczyć się

panować nad impulsywnością, bo w przeciwnym razie może się to źle skończyć.

– Chcesz porozmawiać? – pyta, szukając wzrokiem mojego spojrzenia.

Kręcę głową, patrząc na swoje białe stopy, po czym szybko wracam do kuchni, przypominając sobie, co tam robiłam, zanim pomyliłam własnego mężczyznę z włamywaczem. Nawet nie wiem kiedy zaczęłam nazywać go „moim”. To przyszło samo, zupełnie naturalnie i rozgościło się w mojej głowie na dobre.

Ponownie otwieram lodówkę, a następnie wyjmuję z niej kokosowy jogurt. Do szuflady pod zlewem, gdzie znajduje się kosz, wrzucam wieczko z opakowania. Kiedy sięgam po łyżeczkę, kątem oka zauważam, że Rhys siada na jednym z barowych krzeseł przy kuchennej wyspie, więc odwracam się twarzą do niego.

– Całkiem seksownie wyglądałaś z glockiem w dłoni – mówi, uśmiechając się.

Uwielbiam, gdy to robi, a jego uśmiech jest najseksowniejszym, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Spadaj – rzucam, wpychając do ust kolejną łyżeczkę jogurtu. – Swoją drogą, mogłeś mnie poinformować, że wracasz – dodaję z wyrzutem. – Naprawdę się wystraszyłam.

– Myślałem, że wciąż śpisz. – Wzrusza przepaszająco ramionami i sięga za siebie, odkładając pistolet na blat wyspy. – Chodź do mnie.

Wrzucam łyżeczkę do zlewu, a niedojedzony jogurt do kosza, po czym wdrapuję się na kolana Motyla, oplatając dłonie wokół jego szyi.

– Gdzie byłeś? – pytam, kładąc głowę na jego ramieniu.

Muska ustami moje czoło, chowając nos w moich włosach i wciąga w nozdrza ich brzoskwiniowy zapach.

– Rozmawialiśmy już o tym – odpowiada lekko poirytowany. Mimo że nie widzę jego twarzy, mogę przysiąc, że mruży przy tym oczy. Zawsze tak robi, kiedy moje pytania stają się dla niego niewygodne. – Ale jeśli już musisz wiedzieć, to dopinałem ostatnie sprawy związane z balem charytatywnym, bo jeden ze sponsorów nagle zrezygnował.

Spoglądam w bursztynowe oczy, spodziewając się zobaczyć w nich złość, lecz zamiast tego widzę troskę i czułość. Dużo czułości. Mimowolnie się uśmiecham, a moja dłoń czule gładzi jego szorstki policzek.

– Nie sądziłam, że to powiem, ale cieszę się, że tu jestem – wyznaję, próbując dać mu do zrozumienia, jak wiele dla mnie znaczy.

Kiedy otwiera usta, by odpowiedzieć, drzwi wejściowe otwierają się z hukiem i staje w nich zdyszany Hudson. Widzę, jak wbija w nas spojrzenie pociemniałych ze złości oczu. Znalazł mnie. Cholera jasna, już po mnie!

## Rozdział 13

Zamieram, a z mojej twarzy odpływa cała krew. Powinnam jak najszybciej zeskoczyć z kolan Rhysa i zwiewać gdzie pieprz rośnie – byle dalej od dziadka, który w głowie planuje, w jaki kolor worka zapakuje moje zwłoki – ale nie mogę się ruszyć. Siedzę więc z ręką przy policzku Motyla, zastanawiając się, ile życia mi jeszcze zostało. Boję się nawet mrugnąć, w obawie, że wywołam tym wybuch wulkanu. Rhys wolnym ruchem odciąga moją rękę od swojej twarzy, lecz ku mojemu zdziwieniu nie puszcza jej, tylko kładzie na swoim udzie, po czym czule gładzi dłońią. Dosłownie przestaje oddychać, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

– Wyjaśni mi ktoś, co tu się, do kurwy nędzy, wyprawia?!

Jest gorzej, niż myślałam. Dziadek nigdy, ale to nigdy nie przeklina!

– Witaj, Hudsonie – odzywa się Rhys.

Hudson ze złości zaciska pięści tak mocno, aż bieleją mu kostki, Mariposa zaś jest oazą spokoju.

– Zabieraj łapy od mojej wnuczki!

Motyl śmieje się cicho, a moim ciałem wstrząsa nieprzyjemny dreszcz. Chcę wstać, ratować się, ale uniemożliwiają mi to silne ramiona owinięte wokół mojego szczupłego ciała. Co on wyprawia?!

– Nic złego nie robimy – jąkam, patrząc gdzieś pod nogi.

– Spokojnie, Melody. Hudson na pewno nie ma nic przeciwko temu, że jesteśmy blisko. Od początku dbał o dobre relacje w kancelarii.

Ze świstem wciągam powietrze.

Albo Rhys zwariował, albo życie mu niemiłe. Obawiam się, że bardziej prawdopodobny jest pierwszy wariant...

– Melody, nie wtrącaj się! – grzmi dziadek. – Ty pieprzony gnojku – zwraca się do Rhysa cały poczerwieniały ze złości, ale nie zbliża się nawet o krok – doskonale wiem, co kombinujesz. Od dłuższego czasu obserwuję każdy twój krok, każdy ruch... Od samego początku mi się nie podobałeś. Moja córka...

– Która? – przerywa Mariposa, śmiejąc się.

Hudson złowrogo mruży oczy.

– Zamknij się! – warczy. – Chyba nie chcesz jej w to mieszać.

Patrzę na Rhysa, który nadal nie chce mnie uwolnić. Zaciska usta w wąską kreskę, myśląc o czymś intensywnie.

– Masz rację – mówi w końcu. – Nie chcę i nie będę mieszał Melody w nasze sprawy. Jest zbyt dobra, zbyt niewinna.

Nasze sprawy? Od kiedy mają wspólne sekrety? Coraz bardziej zaczyna mi się to nie podobać.

– Jestem tu, do cholery! – krzyczę, wyswobadzając się z jego objęć. – Albo w tej chwili dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi, albo nigdy więcej mnie nie zobaczycie.

Zdaję sobie sprawę, że moje groźby na chwilę obecną są nie do spełnienia, ale w tym przypadku jakimś cudem skutkują, ponieważ Rhys chrząka taktownie i zwraca się do prawnika:

– To co? Ja mam powiedzieć Mel prawdę, czy sam chcesz to zrobić?

Po raz pierwszy nazwał mnie Mel i ani trochę mi się to nie podoba.

– Zamilcz, Singh, dobrze ci radzę.

Chyba wszyscy przegapiliśmy moment, kiedy Amelie weszła do domu, bo znikąd pojawia się za plecami swojego ojca.

– Czy wyście powariowali? – pyta oburzona, gromiąc wszystkich wzrokiem. – Zachowujecie się jak zwierzęta. Dlaczego to tak długo trwa? – pyta ojca. – Miałeś ją zabrać i mieliśmy wracać do domu. Na samą myśl o czterogodzinnej podróży samochodem robi mi się niedobrze i chciałabym mieć to już za sobą.

Otwieram szerzej oczy, gdy Rhys podnosi się z krzesła, a w jego postawie coś się zmienia. Wydaje się jeszcze wyższy, niż jest w rzeczywistości, a z jego oczu bije taka siła i złość, że mimowolnie się kulę.

– Twoja córka znika na tak długo, a ty martwisz się jedynie o długość trasy? – pyta lodowatym tonem.

Amelie prostuje się, by wyglądać na pewniejszą siebie. W końcu trafiła na godnego siebie przeciwnika.

– To nie jest pański interes, panie Singh – odpowiada, patrząc mu prosto w oczy. – Przyjechaliśmy po moją córkę i bez niej stąd nie odjedziemy.

– Chyba będziecie musieli.

Jeden niebezpieczny błysk, który zauważam tylko ja, przecina jego miodowe oczy.

– Rhys! – wołam spanikowana, kiedy zaciska dłonie na koszuli mojego dziadka i podciąga go do góry.

Hudson na palcach cofa się do otwartych drzwi wejściowych, a jego twarz z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej czerwona. Próbuje coś mówić, ale z jego gardła wydobywa się jedynie niewyraźny charkot.

– Udusisz go! – krzyczę ponownie, uwieszając się na wolnym ramieniu Motyla. – Puść go, proszę!

Nie robi tego, ale nieznacznie poluznia ucisk, dzięki czemu kolor twarzy Hudsona nieco jaśnieje.

– Nigdy nie pozwolę, żebyście traktowali ją w ten sposób w mojej obecności – cedzi przez zaciśnięte zęby.  
– Do zobaczenia w kancelarii – dodaje, wypychając Hudsona na zewnątrz, po czym przenosi spojrzenie na Amelie.

– Nie zbliżaj się do mnie! – warczy moja matka, szybko dołączając do swojego ojca, który rozmasowuje bolące gardło. – Pożałujesz tego, Mel – grozi na odchodne.

Zatrząskuję drzwi, po czym opieram się ramieniem o ścianę i zsuwam w dół, podciągając kolana pod brodę. Co to, do cholery, było? Czy mój mężczyzna przed chwilą naprawdę dusił mojego dziadka? Nie pozwolił im mnie zabrać. Walczył o mnie do ostatniej minuty. Chowam twarz w dłoniach, kiedy do mnie dołącza.

– Jak mnie znaleźli? – jęczę niewyraźnie.

– Wygląda na to, że Thomas zemścił się szybciej, niż zakładałem – mówi, gładząc dłonią moje plecy.

– Znają się?

– Hudsona zna naprawdę wielu ludzi. Już dawno wszedł do tego ciemnego świata... – Milknie, jakby zdał sobie sprawę, że za dużo powiedział.

Jednak na mnie nie robi to najmniejszego wrażenia. Doskonale wiem, jakich zwyrodnialców broniła kancelaria, niejednokrotnie ratując ich przed nieuchronnym więzieniem. Prostuję się, oplatając rękę wokół nóg.

– Nie powinieneś traktować ich w ten sposób – mówię z przekonaniem. – Zwłaszcza dziadka. To moja jedyna rodzina i... – urywam w pół zdania, kiedy Rhys odsuwa się ode mnie.

– Zrobiłem to, co uznałem za słuszne. Drugi raz zrobiłbym to samo bez zastanowienia. Usprawiedliwiasz ich zachowanie, nie wiedząc nawet, ile mają na sumieniu. Helen wiedziała i źle się to dla niej skończyło.

Podrywam się na równe nogi.

– Skąd wiesz o Helen? – pytam wkurzona. – Nie mogłeś jej znać. Zamordowali ją długo przed twoim pojawieniem się.

Również się podnosi, a na jego twarzy maluje się smutny uśmiech.

– Przykre, że nigdy nie powiedzieli ci prawdy.

– Jakiej prawdy, Rhys? – dopytuję zirytowana. – Jeśli naprawdę coś wiesz, to mi to po prostu powiedz.

Przez chwilę patrzy mi prosto w oczy, po czym się odwraca.

– Rhys, błagam.

– Helen wcale nie została zamordowana – mówi pewnym głosem, który echem odbija się w mojej głowie. – Popełniła samobójstwo.

Po tych słowach rusza w stronę schodów i po chwili znika na piętrze, zostawiając mnie samą. Ze złością i czystą premedytacją chwytam torebkę leżącą od wczoraj obok kanapy i wychodzę na kamienny taras. „Popełniła samobójstwo”. Prycham, odpalając papierosa. Co za bzdury! Zaciągam się głęboko raz za razem. Niby dlaczego miałyby to zrobić? Babcia była prawdziwą altruistką. Zawsze stawiała dobro innych ponad swoje i jestem przekonana, że nigdy nie zachowałyby się tak egoistycznie i nas nie zostawiła. Nie zostawiłaby mnie. Cieszyła się naszym szczęściem i sama była równie szczęśliwa.

Odszukuję w głowie wspomnienia ze wspólnie spędzanych wyjazdów, wakacji oraz świąt. Zawsze uśmiechnięta, elegancko ubrana blondynka, tak bardzo



podobna wizualnie do swojej córki. Kiedy myślę o domu, to właśnie jej twarz pojawia się przed moimi oczami. Była dla mnie ogromnym wsparciem, właściwie zastępowała mi matkę, gdy ta biologiczna każdą wolną chwilę poświęcała nauce, a później pracy. Zaciągam się ostatni raz, po czym wrzucam niedopałek do kamiennej popielnicy. Opieram się ręką o barierkę i zwinnie przerzucam przez nią nogi. Z tej wysokości mam doskonały widok na jezioro i otaczającą je ze wszystkich stron zieleni.

– Spodobałoby ci się tu – szepczę, spoglądając w pochmurne niebo.

A co, jeśli Rhys mówi prawdę? Co, jeśli ten słynny dom Helen był ucieczką nie od natłoku pracy, a od nas? Z przerażeniem przykładam dłoń do twarzy, przypominając sobie, co kiedyś od niej usłyszałam. „Gdybym miała wybierać, gdzie oddam swój ostatni oddech, bez wahania byłoby to właśnie to miejsce” – powiedziała któregoś dnia, kiedy pomagałam jej zrywać jabłka w sadzie tuż obok domu.

Oplatam się ramionami, kuląc się, ponieważ nagle robi mi się niesamowicie zimno, a przez moją głowę przewijają się setki wspomnień. Smutny, ale pełen miłości wzrok babci, gdy się ze mną żegnała. Niepokój, kiedy jej nieobecność się przedłużała. Informacja o śmierci. Wieść, że jej morderca nigdy nie zostanie schwytany.

Bezsilność, złość i niemożność akceptacji tego, że odeszła na dobre dopadają mnie znikąd. Zeskakuję z barierki i opadam półtora metra niżej, omal się nie przewracając. Kiedy odzyskuję równowagę, od razu zaczynam biec, a ból, który czuję, dodatkowo mnie napędza. Zatrzymuję się dopiero na ruchomym pomoście, pochylam i opieram dłonie o kolana, próbując uspokoić oddech. Kiedy się prostuję, Rhys już jest przy mnie. Bierze w dłonie moją mokrą od łez twarz i kciukami ociera ostatnie ich strużki.

– Naprawdę jesteś nienormalna – mówi, patrząc na moje białe stopy.

Podciągam nosem i wzruszam ramionami.

– Opowiedz mi wszystko, co wiesz – rozkazuję.

– Dobrze – zgadza się od razu. – Ale nie tutaj.

Zanim zdążę zaprotestować, bierze mnie na ręce i niesie do domu. Chowam twarz w zagłębieniu między jego szyją a barkiem, czując, że się rozluźniam. Nic nie uspokaja mnie tak jak jego bliskość i dotyk. Gdy stawia mnie na podłodze, która w porównaniu do pomostu wydaje się wręcz gorąca, jestem tak wyczerpana, że nie jestem w stanie stać o własnych siłach. Rhys od razu to zauważa i ostrożnie sadza mnie na kanapie, po czym klęka przede mną, z uwagą oglądając moje stopy. Syczę z bólu, kiedy dotyka obtarcia na jednej z nich, lecz nie cofa ręki. Oplata dłońmi każdą ze stóp, próbując je rozgrzać. I w normalnych okolicznościach byłabym mu za to bardzo wdzięczna, ale nie teraz. Nie po tym, co usłyszałam. Podciągam kolana pod brodę, odtrącając jego ciepło. Podnosi się i siada na blacie stolika, opierając dłonie po obu stronach swoich bioder.

– Żądasz ode mnie, bym opowiedział ci o wszystkim, ale ja nie mogę tego zrobić – wyznaje. Otwieram usta, by zaprotestować, lecz uciska mnie gestem dłoni. – Nie powiem ci wszystkiego, ponieważ powinien zrobić to ktoś inny, jednak chcę być z tobą szczerzy na tyle, na ile mogę. Poznałem Helen na krótko przed tym, jak zacząłem współpracować ze Stone'em. Nie będę wdawał się w szczegóły naszej znajomości, bo nie tego w tej chwili oczekujesz, prawda? – Potwierdzam skinieniem głowy. – Kiedy dotarła do mnie wiadomość o jej nieoczekiwanej śmierci, od razu wiedziałem, co się stało. Co naprawdę się stało – poprawia się. – Prince podał do wiadomości publicznej, że jego żonę zamordowano, chcąc uniknąć skandalu. Media nie zostawiłyby na nim

i kancelarii suchej nitki. Zrujnowałyby wszystko, na co tyle lat pracował.

– Rhys, nic z tego nie rozumiem.

– Nie powinienem tego mówić – zaczyna niepewnie – ale jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś poznać kilka faktów o swojej rodzinie. Zapewne zdziwi cię fakt, że kancelaria Hudsona współpracuje z najważniejszymi przywódcami gangów narkotykowych na terenie całego kraju.

– Chrzanisz – mówię słabym głosem, ignorując żółć podchodzącą mi do gardła.

Kręci głową.

– Nie musisz mi wierzyć – mówi obojętnie. – Prędzej czy później poznasz wszystkie tajemnice rodziny Prince’ów.

Zaraz zemdleję od tych wszystkich rewelacji. Albo zwymiotuję. Albo jedno i drugie.

– Co to ma znaczyć? – nie ustępuję. – Jakie tajemnice?

Najpierw obraża moich najbliższych, później wyskakuje z czymś tak irracjonalnym, że prędzej jestem skłonna uwierzyć w istnienie Smerfów, a teraz jeszcze mówi do mnie jakimś pieprzonym szyfrem. *Idź do diabła, Mariposa!*

– To znaczy, że Helen poznała jedną z nich i nie była w stanie jej udźwignąć. Dlatego postanowiła odejść.

Jedno spojrzenie w jego oczy i wiem, że mówi prawdę. Zrywam się na równe nogi, po czym biegnę prosto do łazienki na poranionych stopach. Zatrząskuję drzwi, padam na kolana, i wymiotuję prosto do sedesu. Niewiele dziś zjadłam, toteż szybko opróżniam zawartość żołądka, lecz jeszcze długo wstrząsają mną suche torsje. W końcu wyczerpana do cna opieram głowę o deskę sedesu, zamykając oczy. Chcę zniknąć, rozpułnąć się. Cokolwiek, byle już nie czuć tych wszystkich emocji,

bólu i rozczarowania, które za moment rozsadają moje ciało. Najchętniej cofnęłabym czas do momentu, w którym zgodziłam się pójść z Nancy do „Golden Eye” – tam zobaczyłam go po raz pierwszy. Tam pierwszy raz go pocałowałam. Wszystko zaczęło się w tym pieprzonym klubie!

*Przecież to nie jego wina, przekonuje głos z tyłu głowy. Jako jedyny wyznał ci prawdę. Nie chciał, byś żyła w kłamstwie. Wolałabym, żeby nie chciał mojego cierpienia, a przez jego szczerość trochę zawałił mi się świat, myślę ze złością. Ciche pukanie zmusza mnie, żebym się ogarnęła. Z trudem wstaję i opieram się o umywalkę, odkręcając kran. Płuczę usta, nie mogąc dłużej znieść kwaśnego smaku wymiocin i ochlapuję twarz zimną wodą. Rhys czeka przy drzwiach łazienki oparty o ścianę. W normalnych okolicznościach ponownie zachwyciłaby mnie jego uroda, ale nie teraz. Nie po tym, co mi zdradził.*

– Wszystko dobrze? – pyta z troską, kiedy przechodzę obok niego.

– Wracam do domu – informuję, będąc u szczytu schodów.

Wpadam do pokoju, w którym pierwszy raz się kochaliśmy, po czym otwieram szafę. Za plecami słyszę zbliżające się kroki. Bez namysłu zdejmuję z wieszaków przypadkowe ubrania, rzucając je na łóżko stojące obok.

– Zostań, Melody – mówi cichym głosem przepełnionym bólem.

Nigdy wcześniej nie zwracał się do mnie takim tonem. Z wrażenia na chwilę przestaję demolować szafę i staję twarzą do niego.

– Nie mogę. Muszę z nimi jak najszybciej porozmawiać. Poza tym minęło czternaście dni, więc nic nie jestem ci win... – urywam, zdając sobie sprawę z tego, co powiedziałam. Na dźwięk moich słów Motyl

prostuje się, a wyraz jego twarzy drastycznie się zmienia. – Rhys, przepraszam, nie to miałam na myśli.

– Masz rację. – Przeraza mnie chłód w jego głosie, a jeszcze bardziej to lodowate spojrzenie, którym mnie obdarza. – Czternaście dni minęło. Nie trudź się pakowaniem. Zabierz tylko to, co dla ciebie niezbędne podczas podróży. Reszta twoich rzeczy zostanie dostarczona tuż po twoim powrocie.

Na słowo *powrót* mam ochotę ponownie zwymiotować. Rhys chce zakończyć naszą krótką znajomość. Czuję to niemal każdą komórką ciała i za wszelką cenę nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę go stracić. Jest drugą połówką mojej duszy i jeśli odejdzie, zabierze ze sobą całe światło, którym nieoczekiwanie wypełnił moje życie.

– Rhys – szepczę łamiącym się głosem.

Wyciągam rękę w jego stronę, pragnąc, by mnie przytulił, ale on w żaden sposób nie reaguje. Przez chwilę przeszywa mnie na wylot pozbawionym wyrazu wzrokiem, aż w końcu odwraca się i odchodzi.

– Jutro z samego rana zjawi się kierowca i odwiezie cię do domu – rzuca przez ramię, znikając mi z pola widzenia.

Kiedy opadam na łóżko, zanoszę się głośnym płaczem. Naprawdę nasza historia kończy się w ten sposób? Przez kilka wypowiedzianych w emocjach słów? Nie mogę w to uwierzyć. *Trzydziesty października* – muszę zapamiętać tę datę, bo niewątpliwie jest to najgorszy dzień w moim życiu.

Mimo usilnych starań nie jestem w stanie zasnąć. Rozkopuję kołdrę i wstaję. Zaczynam krążyć po niewielkim pokoju, aż w końcu wspinam się na parapet okna i w ciemności próbuję wypatrzeć to, co utraciłam. Jest grubo po północy. Za kilka godzin już mnie tu nie będzie. Bańka mydlana, w której żyłam przez ostatnie

dni, pękła na moich oczach, a ja nie mogłam zrobić nic, by to powstrzymać.

Od paru godzin nie rozmawiałam z mężczyzną, z którym kochałam się tak wiele razy. Tylko czy *kochałam* to właściwe słowo? Nagle zaczyna docierać do mnie, że dla niego to mogła być zwykła przygoda. *Ty idiotko!*, karzę sama siebie w myślach. Od początku był poza moim zasięgiem. Wiedziałam o tym już w klubie. I nie chodzi tu o status materialny czy wizualny. Rhys Mariposa posiada mroczną stronę, która już nieraz dała o sobie znać. Mroczną, tajemniczą i zapewne mocno popieprzoną. Wystarczy spojrzeć w te jego oczy, by wiedzieć, że należy się trzymać jak najdalej od niego. A mimo to ja lecę w jego stronę niczym ćma do światła i jeśli zaraz nie zawrócę, spalę się.

Zaczynam się gorzko śmiać. Poznałam kogoś, kto jest chodzącym spełnieniem moich marzeń. Nieziemsko przystojny, niesamowicie inteligentny, cholernie tajemniczy i... niedostępny. Wierzchem dłoni ocieram łzy, które jeszcze jakimś cudem wypływają z moich oczu, po czym ześlizguję się z parapetu. Muszę się przygotować do powrotu. Psychiczenie już nie zdążę, ale za to wizualnie może mi się udać.

Ranek zbliża się zaskakująco szybko, za co jestem mu wdzięczna, bo chciałabym mieć to wszystko już za sobą. Od czterdziestu minut starannie nakładam makijaż, a jego efekt jest naprawdę zauważalny. Mocno wytuszowane rzęsy powiększają błękitne oczy, a usta pociągnięte szminką w kolorze intensywnej fuksji wydają się jeszcze pełniejsze. Nawet udało mi się ukryć przepłakane godziny po stracie kogoś, kogo tak naprawdę nigdy nie miałam. Jeszcze tylko muszę zrobić coś z włosami, które wcześniej splotłam w dwa francuzy.

Po raz setny układam w głowie przebieg nieuniknionej rozmowy z najbliższymi i coraz bardziej się jej boję. Nie mam pojęcia, jak zareagują na mój powrót po tym, jak potraktował ich Rhys. Po tym, jak ja ich potraktowałam.

Przeczesuję palcami lekko pofalowane, kasztanowe włosy, po czym jedną dłonią zsuwam gumkę do włosów z nadgarstka drugiej ręki.

– Zostaw rozpuszczone – słyszę i aż podskakuję.

Nie mam pojęcia, kiedy wrócił, ale miałam nadzieję, że już nie będę musiała go dzisiaj oglądać.

– Co tu robisz? – pytam ze złością. – Miałeś być...

– Później – kończy za mnie, jakby czytał mi w myślach. – Wiem, ale plany nieco się zmieniły.

Wypuszczam gumkę z ręki i odwracam się twarzą do niego, krzyżując ręce na piersi.

– Mogłeś mnie poinformować o tej zmianie.

Staram się nie pokazywać, jakie wrażenie mimo całej patowej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, wywiera na mnie jego widok. Stoi w drzwiach łazienki, oparty o framugę, a jego dłonie spoczywają w kieszeniach eleganckich, idealnie dopasowanych spodni w jasnoszarym kolorze. Nie pytam, gdzie był o tak późnej porze, bo nie jestem pewna, czy chcę znać odpowiedź. Właściwie to nie mam prawa pytać o takie rzeczy. Nigdy nie miałam.

– Musimy porozmawiać, Melody. – Jego głos tnie dzielącą nas odległość niczym najostrzejszy nóż.

Przełykam głośno ślinę.

Może powinnam spróbować jeszcze raz go przeprosić?

– Ja również mam ci coś do powiedzenia – przyznaję, zanim się rozmyślę. – Ale może nie tutaj.

Powoli kiwa głową i odwraca się, pokazując gestem dłoni, bym szła pierwsza.

Kiedy go mijam, czuję mrowienie pod kolanami, a serce przyspiesza swój rytm. To się musi skończyć. Muszę zaakceptować fakt, że moja bajka nie kończy się happy endem.

– Może przejdziemy do salonu? – proponuję, nie chcąc być z nim na tak małej powierzchni korytarza na piętrze.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada, zmierzając w moją stronę. – Tutaj mi się podoba.

Ani na chwilę nie spuszcza wzroku z moich oczu. *Nie rób tego*, błagam w myślach. *Odsuń się ode mnie*. Lecz on nic nie słyszy. Boleśnie powoli zbliża swoje wargi do moich, po czym całuje mnie zapamiętane. Pozwalam jego językowi wdrzeć się do moich ust. Jęczę cicho, gdy jego prawa dłoń mocno zaciska się na mojej talii, a lewa zsuwa ramiączko białej, jedwabnej koszulki w stylu bieliźnianym. Jego nieustępliwe usta zsuwają się na brodę, a następnie opadają na szyję. Nie protestuję, kiedy szorstki zarost drapie mi skórę, a podbrzusze zaciska się przyjemnie.

Odchylam głowę, mrużąc przeciągle. Lekko otwieram powieki i widzę, jak moja dłoń sprawnie rozpina guziki granatowej koszuli Rhysa. Odsuwam się, by zsunąć ubranie z jego ramion, a następnie on zdejmuję moją koszulkę przez głowę. Przesuwa wzrokiem od pępka w górę, zatrzymując się na ustach i uśmiecha się z satysfakcją. Nie mam pojęcia, jak on to robi, że potrafi rozpalić wszystkie moje zmysły samym spojrzeniem, ale uwielbiam to.

– Proszę – kwilę zniecierpliwiona, lecz natychmiast zostaję uciszona głębokim pocałunkiem.

– Mam nadzieję, że zapamiętasz to na długo – mruży, przygważdżając biodrami moje ciało do zimnej ściany.

– Rhys – szepczę, nie rozumiejąc jego słów, lecz wtedy całuje mnie po raz kolejny i już nic mnie nie obchodzi.

Łączę swoje usta z jego. Nie potrafię się powstrzymać. Lecę do światła. Jestem zbyt blisko. Przepadam. Topię się.

Cholera, jestem ćmą.



Rhys bez tchu opada na twardą podłogę tuż obok mnie, przyciągając moje nagie ciało do swojego. Kiedy kładę głowę na jego torsie, uśmiecham się delikatnie. Słyszę, jak jego serce bije równie mocno, co moje. Jesteśmy jednością. Znowu.

– Rhys, chciałeś porozmawiać – zaczynam szeptem.

Kolejny raz utwierdzam się w przekonaniu, że uwielbiam wymawiać jego imię.

– Jeszcze przez chwilę nic nie mów – prosi, całując mnie w czoło, a jego dłoń gładzi dół moich pleców.

Zamykam oczy, rozkoszując się jego delikatnym dotykiem, który koi moje wnętrze. Zapominam o tym, że za dwie godziny ma zjawić się kierowca, który odwiezie mnie do domu. Prawda jest taka, że chcę być blisko niego. Chcę czuć jego bliskość każdego dnia. Chcę stworzyć z nim coś na miarę związku.

Nie wiem, ile tak leżymy w całkowitej ciszy, ale nasze oddechy już dawno się uspokoiły, a serca wróciły do normalnego rytmu. Przy Motylu tracę rachubę czasu i ani trochę mi to nie przeszkadza. Tak naprawdę świat w tym momencie mógłby się walić, a mnie nie obchodziłoby nic poza jego bezpiecznymi ramionami.

Jego usta jeszcze raz opadają na moje czoło, po czym się podnosi. Niechętnie odsuwam się, zasłaniając nagie piersi koszulką i zafascynowana przyglądam się ruchom jego mięśni, kiedy się ubiera. Zaległa między nami cisza staje się coraz mniej znośna, przynajmniej dla mnie.

– Było inaczej niż zazwyczaj – odzywam się, gdy już ubrany siada z powrotem obok mnie. – O wiele bardziej intensywnie. To było...

– Pożegnanie – mówi głosem przepełnionym smutkiem, lecz ten smutek nie obejmuje jego oczu.

Prostuję się, przytrzymując bluzkę na piersiach.

– Co? – pytam, nie dowierzając.

– Nic się nie zmieniło. – Zapina ostatnie guziki koszuli. – Chciałem się po prostu pożegnać.

Jego słowa są dla mnie jak policzek wymierzony przez niego osobiście. Kolejny raz nie mogę powstrzymać łez napływających do oczu. Błagam, tylko nie to! Nie chcę przy nim płakać!

– Melody – szepcze, ocierając kciukiem pierwszą spływającą łzę – nie będę udawał, że to, co między nami zaszło, nic dla mnie nie znaczyło. Pamiętasz, kiedy pod klubem wsiadałaś do taksówki? – Potwierdzam kiwnięciem głowy, gdyż rosnąca gula w gardle uniemożliwia mi wydobyć jakiegokolwiek dźwięku. – Spojrzałem w twoje oczy i przepadłem. Nigdy wcześniej nie znałem nikogo o tak pięknym i mądrym spojrzeniu. Już wtedy wiedziałem, że muszę cię odnaleźć. Jednak los ułatwił mi zadanie, stawiając cię na mojej drodze już kilka tygodni później. Tylko że zrobił to w fatalnym miejscu i o fatalnym czasie.

Spuszczam wzrok, odtwarzając w głowie każde jego słowo. Szkliste łzy jedna po drugiej opadają na jedwabną koszulkę, którą kurczowo ściskam w dłoniach, moczając jej delikatny materiał.

– Po co to zrobiłeś? – pytam ledwie słyszalnie, wbijając wzrok w palce wolnej dłoni. – Dlaczego odegrałeś całą tę szopkę, skoro od początku wiedziałeś, że nasza znajomość nie ma racji bytu? Chodziło o seks?

Dopiero kiedy wypowiadam ostatnie słowa głośno, zdaję sobie sprawę, jak absurdalnie brzmią. Rhys mógłby mieć każdą kobietę, na jaką tylko naszłaby go ochota. Na pewno nie zadawałby sobie tyle trudu, gdyby chciał pójść ze mną do łóżka, tylko po to, żeby później mnie zostawić.

– Mówiłem ci już kiedyś, że chodzi o ciebie, pamiętasz? Wiem, jak to brzmi – ciągnie dalej, nie czekając na moją odpowiedź. – Może kiedyś opowiem ci

o wszystkim. Mam nadzieję, że kiedy poznasz prawdę, nie znienawidzisz mnie.

*W tej właśnie chwili nienawidzę cię całym sercem!,* krzyczę w myślach. Pieprzony dupek!

– Wynoś się! – syczę, podnosząc wzrok na przystojną twarz. – Nie chcę, byś tu był, kiedy będę wyjeżdżał.

Na dźwięk moich słów jego miodowe oczy przecina błysk złości, ale nic nie mówi. Podnosi się z zaciśniętymi ustami i rusza w stronę schodów.

– Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz – rzuca cicho przez ramię, znikając, nie tylko z mojego pola widzenia, ale także z mojego życia.

Przede wszystkim z mojego życia.

## Rozdział 14

Budzę się z koszmarным bólem głowy, nie mając sił podnieść się z łóżka. To moja pierwsza noc bez Rhysa niemal od trzech tygodni. Tysięczny raz przeklinam się za to, że wpuściłam go do swojego życia i pozwoliłam mu doszczętnie je zniszczyć. Po krótkiej porannej toalecie postanawiam zejść na dół, czując, że jestem winna kilka słów wyjaśnienia najbliższym.

– Dlaczego akurat na niej tak bardzo mu zależy? – głos Amelie niesie się z salonu.

Zamieram w półkroku u podnóża schodów, wstrzymując powietrze.

– Nie mam pojęcia, Am – odpowiada zrezygnowanym tonem Hudson.

Nie widzę go, ale jestem pewna, że właśnie przeczesał ciemne włosy palcami.

– To wszystko wydaje się bardzo dziwne – zauważa mama. – Tutaj chodzi o coś więcej. Mam ochotę spakować się i wyjechać gdzieś, gdzie nikt nas nie zna.

*Chodzi o ciebie, Melody.*

Kręcę głową, by odpędzić niechciany głos, który znikąd pojawił się w moich myślach.

– I zostawić kancelarię?

– Zostawić Jamesa, Hudsonie. Dlaczego nie możemy go zniszczyć? Wiesz, że nie mielibyśmy z tym większego problemu.

Dziadek śmieje się smutno.

– O ile on nie zniszczy nas pierwszy – odpowiada, a mnie coraz bardziej niepokoi kierunek, w którym

zmierza ta rozmowa. – James za dużo wie. Nie możemy go prowokować.

– Ale...

– Po prostu go nie prowokuj, dobrze? Wystarczy jeden jego ruch i jesteśmy skończeni.

Z ust kobiety wydobywa się ciche westchnienie.

– Dobrze – zgadza się cicho, potulnie, zupełnie jak nie ona. – Obiecuj mi, że to się kiedyś skończy. Obiecuj, że w końcu... – urywa, kiedy jedna z moich stóp zsuwa się ze stopnia, głośno uderzając o podłogę.

Cholera jasna, że też właśnie teraz musiałam dać o sobie znać!

*Oddychaj!*, woła podświadomość, lecz ja jestem zbyt zajęta, by jej słuchać. Jeśli szybko czegoś nie wymyślę, zorientują się, że ich podsłuchiwałam. Odchrząkuję, po czym szybkim krokiem wchodzę do salonu. Mama i dziadek siedzą bokiem na dwóch przeciwległych końcach kanapy. Kiedy zatrzymuję się dwa metry od nich, oboje wbijają we mnie pytające spojrzenia.

– Cześć – zaczynam niepewnie, unosząc prawą dłoń.

– Jak długo tu jesteś? – pyta Amelie, mrużąc oczy.

Zapewne chce wiedzieć, jak dużo udało mi się usłyszeć.

– Dopiero zeszłam – kłamię pewnym głosem. – Co wy macie takie miny? Nadal gniewacie się o to, że wyjechałam bez słowa? Przepraszam. Wiem, że już wczoraj powinnam wszystko wam wyjaśnić, ale byłam zbyt zmęczona. Przepraszam – mówię raz jeszcze.

– Nie przepraszaj. – Po twarzy Hudsona błąka się uśmiech. – Najważniejsze, że znowu jesteś z nami. Przeszłość zostawmy w tyle i nie rozpamiętujemy jej więcej. Skupmy się na tym, co najważniejsze.

Amelie prychnęła.

– Nic z tego – syczy, podnosząc się. – Dlaczego nie dawałaś znaku życia? Naprawdę odchodziliśmy od zmysłów.

Jak powiedzieć im, że uczucie, które niespodziewanie na mnie spłynęło, odebrało mi resztki zdrowego rozsądku? Jak znaleźć słowa, które opiszą naszą historię, jednocześnie nie brzmiąc śmiesznie i głupio?

– Ten wyjazd pomógł mi dostrzec kilka cennych wartości, które wcześniej były mi zupełnie obce – wyznaję.

Kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że Hudson patrzy na mnie jak na idiotkę, a zdziwiona Amelie szeroko otwiera oczy.

– Co?

– Mówisz jak zupełnie inna osoba – stwierdza dziadek. – Nie było cię tylko ponad dwa tygodnie. Jak to możliwe, że tak bardzo się zmieniłaś?

*Żebyś tylko wiedział, ile w tak krótkim czasie może się wydarzyć, myślę. W jednej chwili masz wszystko, a jedno uderzenie serca później zostajesz sam z cierpieniem, którego nie jesteś w stanie udźwignąć.*

– Może zawsze taka byłam, tylko byliście zbyt zabiegani, żeby to zauważyć – mamrocę niewyraźnie z goryczą. – Może gdybyście... – urywam, gdy rozbrzmiewa dzwonek telefonu dziadka, pozwalając mu odebrać.

Słucha uważnie, po czym pyta o coś córkę i ponownie poświęca czas swemu rozmówcy. Przechylam głowę w prawo, przyglądając się, z jakim podekscytowaniem oddają się pracy. Nagle czuję się jak intruz. Jakbym przeszkadzała im w czymś, co jest tylko ich. Wycofuję się więc niezauważona, wbiegam po schodach i zatrzaskuję drzwi swojego pokoju. Łzy ponownie zalewają mi policzki. Już nie walczę. Opieram plecy o chłodną ścianę i zsuwam się na podłogę, podciągając kolana pod brodę.

Czuję się potwornie. Rhys dał mi szczęście, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam, tylko po to, by mi je zabrać. Nie. To on był szczęściem.

Kiedy ponownie schodzę na dół, jest grubo po dwudziestej. Amelie siedzi na kanapie z podciągniętymi kolanami i ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora, a w jej ręku spoczywa lampka czerwonego wina. To dziwne, ale wydaje mi się, że mama pije zdecydowanie więcej niż przed moim wyjazdem na studia.

– Dziadek dawno wyszedł? – pytam spokojnym głosem.

Spogląda na mnie kątem oka, po czym z powrotem przenosi wzrok na ekran.

– Kazał ci życzyć dobrej nocy.

– I nie mógł mi tego sam powiedzieć?

Wzrusza ramionami.

– Spieszył się.

– Aha.

Kiedyś Hudson nigdy nie wyszedłby bez pożegnania ze mną. Zawsze dużo pracował, ale poświęcał mi tyle czasu, że nie czułam się pozostawiona sama sobie. Jak widać, wiele się zmieniło pod moją nieobecność. Być może uznał, że już go nie potrzebuję. W końcu jestem dorosła. Dorosłe kobiety nie uzalają się nad sobą z byle powodu. A już na pewno nie dają sobą manipulować swoim rodzicom. Nie pozwalają im też kierować swoim życiem.

– Melody. – Głos Amelie rozbrzmiewa gdzieś w oddali. Muszę się wyprowadzić. Uśmiecham się na tę myśl. Może znowu zamieszkać z Nancy? – Melody!

– Co?

– Boję się ciebie, kiedy patrzysz na mnie w ten sposób.

Lekko mrużę oczy.

– Przepraszam – mówię, ale w moim głosie nie słychać nawet cienia żalu. – Co oglądasz?

– *Prosto w serce* – odpowiada. – Dołączysz się?

Znam ten film na pamięć, mimo to decyduję się obejrzeć go jeszcze raz, mając nadzieję, że pozwoli mi zapomnieć o wszystkim, co nie daje mi spokoju. Opadam na kanapę obok mamy, gdzie unosi się kwiatowy zapach jej perfum i słodki zapach wina.

– Mamo, możemy porozmawiać?

To jedyna okazja, by poruszyć temat, który nie daje mi spokoju od kilku lat, dlatego muszę spróbować dowiedzieć się czegokolwiek.

– Mhm.

*Nie ułatwiasz mi sprawy, myślę poirytowana.*

Oddycham głęboko.

– Opowiedz o moim ojcu.

Amelie natychmiast się prostuje, zaciskając mocniej palce na nóżce kieliszka.

– Dlaczego nagle chcesz o nim rozmawiać? – pyta podejrzliwie.

Choć w pomieszczeniu panuje półmrok, jestem pewna, że po jej ładnej twarzy przebiegł cień zdenerwowania.

– Chcę wiedzieć... – zaczynam niezgrabnie. – Po prostu jestem ciekawa swojego pochodzenia.

Patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami, a jej stalowoszare oczy błyszczą intensywnie. Jest taka podobna do babci...

– No dobrze – mówi w końcu po kilkunastu sekundach upartego milczenia. – Co chcesz wiedzieć?

Wszystko.

– Jak się poznaliście?



Mama spogląda na sufit rozmarzonym wzrokiem, jakby powrót myślami do mężczyzny, który zrobił jej dziecko, a następnie zostawił, był dla niej niezwykle przyjemny.

– Znaliśmy się chyba całe moje życie – zaczyna, więc zamieniam się w słuch. – Twój ojciec przez długi czas namawiał mnie, bym gdzieś z nim pojechała, ale rzecz jasna Helen nigdy nie zgodziłaby się na mój wyjazd z racji mojego wieku. Dlatego kiedy wyjechała na ważną konferencję, zaprosiłam go do siebie. Był taki ciepły, błyskotliwy i nieziemsko przystojny. Oglądaliśmy stare komedie na DVD i śmialiśmy się przy tym do łez. Tak miło spędzało nam się czas. Wiedząc, że druga taka okazja może nie nadejść zbyt szybko, zaproponował mi, byśmy spróbowali czegoś więcej. Czegoś, co sprawi, że już zawsze będziemy do siebie należeć.

– I?

– I za dziewięć miesięcy urodziłaś się ty.

Marszczę brwi. To wszystko? Spodziewałam się co najmniej godzinnej opowieści, a tu okazuje się, że historia człowieka, który dał mi życie, mieści się w półtorej minuty.

– Naprawdę nie chciał mieć ze mną nic wspólnego? – dopytuję. – Nie chciał wiedzieć, czy jestem do niego podobna?

Jak by nie patrzeć, jestem częścią tego mężczyzny...

– To naprawdę długa historia, Mel.

Wbijam wzrok w ekran telewizora, uznając rozmowę za zakończoną. Hugh Grant i Drew Barrymore toną w swoich spojrzeniach, bez słów wyznając sobie miłość. *Gdyby każda miłość była tak prosta*, myślę smutno. Kobiety w rodzinie Prince'ów nie mają szczęścia do mężczyzn. Poza Helen – babcia jako jedyna żyła w szczęśliwym związku do końca swoich dni.

– Zamierzam jutro odwiedzić grób babci – oznajmiam cicho, nie patrząc na mamę. – Masz ochotę mi towarzyszyć?

– Pracuję – odpowiada krótko.

Gdyby to Amelie umarła, stroniłabym od odwiedzin jej grobu równie mocno, co ona unika odwiedzin grobu babci. Jestem tak daleko od niej, jak daleko ona była z Helen. Zaskakujące jak historia lubi się powtarzać.

Następnego dnia z samego rana jadę na cmentarz znajdujący się na drugim końcu miasta. Sprawnie parkuję sportowe BMW, po czym wysiadam i przechodzę przez zdobioną bramę. Szybko udaje mi się odnaleźć bogato zdobiony nagrobek babci, mimo że ostatni raz byłam tu kilka miesięcy temu.

– Tak bardzo chciałabym, żebyś tu była – mówię, zapalając znicz, a następnie papierosa. – Z tobą wszystko wydawało się... łatwiejsze.

Siadam na ławce naprzeciw marmurowego pomnika. Specyficzna aura i zapach cmentarza działają na mnie uspokajająco. Nigdy wcześniej nie odważyłam się mówić do złotych liter układających się w tak dobrze mi znane imię i nazwisko, ale teraz, kiedy czuję się bardziej samotna niż kiedykolwiek, rozmowa z Helen pomaga mi uporządkować myśli.

– Dlaczego wszystko mi mówi, że Rhys nie kłamie? – pytam rozpaczliwie. – Dlaczego to zrobiłaś?

Dziadek i mama nie mają pojęcia o tym, że wiem, co naprawdę stało się z babcią. Do tej pory nie miałam odwagi ich o to zapytać. Nie wiem, czy kiedykolwiek się na nią zdobędę.

– Czy to możliwe, że mogłam się w nim zakochać, babciu? – szepczę, ignorując łzy spływające po policzkach. – Potraktował mnie tak podle, a mi wciąż wydaje się, że coś do niego czuję i nie mam pojęcia, jak

się z niego wyleczyć. Nie wiem, jak bez niego żyć – ostatnie słowa wypowiadam ledwie słyszalnie.

Tęsknię za babcią, a niewyobrażalna pustka po Motylu wyżera mnie niczym nowotwór. W ciągu tych siedemnastu dni Rhys stał się mi bliższy niż ktokolwiek inny. I choć zdawałam sobie sprawę z tego, że w końcu każde z nas będzie musiało wrócić do swojego życia, łudziłam się, że w nim także znajdziemy miejsce na uczucie, które nas połączyło.

Przewrotny los stawia na naszej drodze różnych ludzi, ale i zabiera ich z niej. Za każdym razem kryje się w tym jakiś cel. Czasami daje nam nauzkę, by przypomnieć nam, czym jest pokora. Nieraz pozwala nam dostrzec, jak piękne mogłoby być nasze życie, gdybyśmy tylko odrobinę pomogli szczęściu.

Mam wrażenie, że mnie szczęście opuściło już na zawsze. Nie mam zamiaru go ścigać. Poddaję się. Wszystko przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie: miłość, przyjaźń, rodzina, życie. Wszystko straciło sens. Już nigdy nie nauczę się żyć bez nadziei, którą przez ostatnie dni dawał mi Mariposa.

\*\*\*

Dni zamieniają się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a cień człowieka, którym jestem, staje się coraz mniej widoczny. Już nie płaczę. Wszystkie łzy, jakimi dysponował mój organizm, zniknęły. Każdego ranka otwieram oczy, zmuszając się do wstania z łóżka, po czym piję mocną, czarną kawę, której smaku szczerze nienawidzę. Rysuję. Ostatnio szkicownik stał się moją niemą terapią. Czysta kartka papieru i ołówek przynoszą mi ukojenie, pozwalając oczyścić umysł z natłoku myśli. Jednak ulga jest jedynie przyjemnym złudzeniem, które szybko znika. Co noc budzę się z krzykiem, złana potem, z okruciami jego imienia na ustach. Tak bardzo cierpię. Tak cholernie tęsknię. Jego nieobecność sprawia mi niemal fizyczny ból.

Przekraczam próg jak zawsze pustego mieszkania i od razu zamykam się w swoim pokoju. Zakładam słuchawki na uszy, starając się ignorować chaos panujący w mojej głowie. Nie cierpię poniedziałków prawie tak samo jak niedziel. Chciałabym wyjechać, odciąć się od wspomnień. Zapomnieć. Wyjmuję spod poduszki szkicownik, otwieram na czystej stronie i sięgam po jeden z ołówków walających się po całym łóżku. Zanim zdążę pomyśleć, moja dłoń dociska rysik do kartki i szybkimi, płynnymi ruchami pokrywa niemal całą jej powierzchnię. Rysuję, niemal nie patrząc na szkicownik. Skupiam się tylko na liniach i konturach, dzięki którym czuję się nieco lepiej.

Gdy kończę, z moich kolan spogląda na mnie poważna twarz Rhysa. Każdy jej szczegół mam głęboko wyryty w pamięci, mimo że nie widziałam go od kilku miesięcy. To pierwszy raz, kiedy odważyłam się przenieść ją na papier. Wpatruję się w portret, rozciągając usta w krzywym uśmiechu. Jest naprawdę fantastyczny. Moja dłoń z impetem opada na kartkę, po czym wyrывa ją i zgniata, a następnie wyrzuca niedbale gdzieś przed siebie. Wstaję z zamiarem pójścia na balkon, by zapalić, lecz z dołu dobiega mnie dźwięk wideofonu. Przez chwilę rozważam, czy nie zostać i udawać, że nie istnieję, ale kiedy dźwięk nie ustaje, postanawiam zejść na dół, żeby zobaczyć kto to.

– Tak? – zwracam się do urządzenia, na którego ekranie widnieje twarz młodego mężczyzny w czerwonej czapce z daszkiem.

– Przesyłka do pani Prince – odpowiada, patrząc wprost do kamery wąskimi oczami.

Marszczę brwi. Nie przypominam sobie, bym cokolwiek zamawiała. Rzadko to robię, a jeśli już to, przesyłki doręczane są pod drzwi apartamentu na moją wyraźną prośbę. *Nie mieszkasz tu sama*, zauważa głos z tyłu głowy, który ostatnio bardzo rzadko daje o sobie znać.

– Proszę – mówię, dotykając zielonego kwadracika na dotykowym panelu.

Nie odchodzę od drzwi, wiedząc, że za chwilę zjawi się kurier z przesyłką Amelie. Swoją drogą, mogła mnie uprzedzić, że będę musiała odebrać jej zamówienie. Może nie chciała zawracać mi głowy? Ostatnio mocno ograniczyłam nasze rodzinne kontakty, bojąc się, że nie wytrzymam i powiem najbliższemu, że wiem o babci, a to mogłoby jeszcze bardziej skomplikować nasze relacje. Jeszcze nie czas na to. Obraz na wideofonie zmienia się i chwilę później rozlega się pukanie do drzwi. Szybko wstukuję kod i otwieram.

– Pani Melody Prince? – Potwierdzam kiwnięciem głowy. – Byłem tu wcześniej, ale nikogo nie zastałem. Dopiero godzinę temu dostałem wiadomość o pani powrocie, więc zjawiłem się najszybciej jak to możliwe.

Patrzę na kuriera, jakby pochodził z innej planety. Co on plecie? Jakie *dostałem wiadomość o pani powrocie*? Od kogo? Mój wzrok pada na wyciągniętą w moją stronę rękę, w której spoczywa niewielkich rozmiarów pudełeczko, opakowane w śnieżnobiały, błyszczący papier.

– Mam gdzieś podpisać? – pytam zdenerwowana.

W odpowiedzi kręci głową, wręcza mi przesyłkę i odchodzi, życząc miłego dnia. Zatrząskuję za nim drzwi, po czym z mocno bijącym sercem wracam do swojej sypialni. Na szklaną konsolę odkładam pudełko, jakby parzyło. Powinnam kazać chłopakowi zabrać je z powrotem albo od razu wyrzucić do kosza. Dlaczego więc nie robię żadnej z tych rzeczy? Zamykam oczy. Bo w głębi duszy wiem, kto jest jej nadawcą.

Ponownie sięgam po przesyłkę. Kiedy rozrywam papier, moim oczom ukazuje się czarne, aksamitne pudełko. Otwieram je szybko, ze świstem wciągając powietrze na widok jego zawartości. Ostrożnie biorę w dłoń delikatny naszyjnik z czystej platyny.

Zachwycający szafir w intensywnym błękitnym kolorze stanowi serce rozety stylizowanej na biżuterię minionych epok, a ułożone wokół owalnego klejnotu brylanty połyskują delikatnie. Naszyjnik jest tak zachwycający, że jego widok zapiera mi dech w piersiach. Niestety nie mogę go przyjąć. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Powoli odkładam lśniącego cudo do pudełka i dopiero teraz zauważam niewielką karteczkę spoczywającą pod platynowym łańcuszkiem. Wysuwam ją i z mocno bijącym sercem odczytuję szeptem zapisane na niej jedno pod drugim słowa:

– „Za wszystkie wyrządzone krzywdy. Przepraszam. Rhys”.

Wsuwam bilecik do tylnej kieszeni dżinsów, po czym wychodzę na balkon pokryty kilkucentymetrową warstwą śniegu. Palę papierosa, zaciągając się raz za razem. Drzę z zimna, ponieważ nie chciałam tracić czasu na zabranie z garderoby ciepłego płaszcza. Mam nadzieję, że nie skończy się to dla mnie zapaleniem płuc.

Usilnie głowię się nad tym, dlaczego Rhys to robi. Niemal udało mi się zaakceptować fakt, że zniknął z mojego życia na dobre, lecz on nagle postanawia do niego wrócić, obdarowując mnie najdroższą rzeczą, jaką w życiu widziałam. Kończę papierosa i wracam do środka.

W łazience myję ręce, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Wycierpiałam już wystarczająco dużo z jego powodu. Nie mogę kolejny raz wpuścić go do swojego życia. Odeślę naszyjnik pod adres siedziby jego firmy.

Kiedy wracam do pokoju, biorę do rąk telefon i odszukuję dokładny adres, pod który mam odesłać przesyłkę. Kilka minut później zamawiam kuriera, lecz zanim zapakuję aksamitne pudełko w papier, wydaję bilecik z kieszeni i na jego odwrocie kreślę kilka słów, które chciałabym przekazać Rhysowi. Słów, które mają

być ostatecznym pożegnaniem. Chyba najwyższy czas na generalny remont w moim życiu.

Następnego dnia odbieram Nancy z dworca metra tuż przed południem. Po piskach i długich uściskach na przywitanie przechodzimy na parking, po czym wsiadamy do samochodu, który dawno temu kupił mi dziadek. Wjeżdżając na ulice miasta, zakładam okulary przeciwsłoneczne, ponieważ blask styczniowego słońca niemal mnie oślepia.

– Twoja mama na pewno nie ma nic przeciwko, żebym się u was zatrzymała? – pyta Nancy.

Skręcając na skrzyżowaniu w prawo, kątem oka zerkam na przyjaciółkę.

– To tylko dwie noce, Johnson. Poza tym jesteś moim gościem, nie Amelie.

Dziewczyna marszczy brwi.

– Kim jest Am... – urywa, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Ciągle zapominam, że zwracasz się do matki po imieniu.

Spoglądam w lusterko wsteczne. Duże, ciemne volvo jedzie za nami od dłuższego czasu. Poprawiam ręce na kierownicy, próbując się rozluźnić. *To tylko przypadek*, powtarzam sobie w myślach.

– Wszystko dobrze, Mel? – interesuje się Nancy, kiedy skręcam w lewo, wjeżdżając w wąską ulicę, na której znajduje się apartamentowiec.

– Widzisz ten czarny samochód za nami? – Mój głos nie zdradza żadnych emocji, które targają mną w tej chwili. – Nie chcę cię straszyć, ale wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

Przyjaciółka obraca się, spoglądając za siebie.

– Nikt za nami nie jedzie – burczy obrażona. – Jeśli chciałaś mnie nastraszyć, to gratuluje. Udało ci się.

Przejeżdżam przez bramę i wjeżdżam do podziemnego garażu. Wiem, co widziałam. Jestem pewna, że mi się nie przywidziało. Ktoś jeździł za mną dzisiaj cały ranek. Przełykam głośno ślinę, czując, jak żółć podchodzi mi do gardła. Odpinam pas, po czym wysiadam i z tylnej kanapy samochodu wyjmuję walizkę Nancy.

– Przepraszam. – Zmuszam się do uśmiechu. – To było mało śmieszne, wiem. Zabrałaś ze sobą pół szafy? – dziwię się, z trudem ciągnąc walizkę za sobą.

Jest naprawdę ciężka.

Przyjaciółka patrzy na mnie z ukosa, lecz po jej twarzy błąka się uśmiech.

– Próbowałam.

Wjeżdżamy windą na górę. Gdy jej drzwi się rozsuwają, przechodzimy na drugi koniec okazałego korytarza. Nancy rozgląda się uważnie, jakby próbowała zapamiętać drogę powrotną, gdyby szybko musiała uciekać. Domyślam się, że boi się reakcji Amelie. Ich pierwsze spotkanie było... Cóż, ciężko je do czegokolwiek porównać.

– Uzywacie w ogóle kluczy? – pyta zirytowana, kiedy wpisuję kod.

Uśmiecham się, wpuszczając ją pierwszą.

– Chwilami mnie też to męczy – przyznaję z uśmiechem.

Zdejmujemy buty i kurtki i przechodzimy do salonu. Nancy rozgląda się wokoło oczami wielkimi jak spodki.

– Tu jest tak... – urywa, szukając w głowie odpowiedniego słowa. – Idealnie. Jakby nigdy nie mieszkała tu żadna żywa istota. Patrz – wyciąga rękę, podwijając rękaw – aż mam ciarki.

Śmieję się głośno i jest to mój pierwszy szczery śmiech od trzech miesięcy. Podchodzę do przyjaciółki i przytulam ją.



– Cieszę się, że przyjechałaś – mówię, chowając twarz w jej ramię.

Od razu odwzajemnia uścisk.

– Czuję, że czeka nas o wiele dłuższa rozmowa, niż początkowo myślałam – szepcze, gładząc moje włosy. – Wypłacz się, mała, a później się zabawimy.

I za to właśnie ją kocham. Jest moim panaceum na cały ten ból, który noszę w sobie. Gdyby każdy miał takiego anioła stróża w postaci prawdziwego przyjaciela, świat stałby się lepszym, bardziej znośnym miejscem. Na pewno.

## Rozdział 15

Wybrałyśmy klub w sąsiednim mieście, żeby zminimalizować ryzyko spotkania kogoś znajomego. Nie miałam okazji być tutaj wcześniej. To nowe miejsce, otwarte od około miesiąca. Zazwyczaj decyduję się na to, co już znam, nie chcąc niepotrzebnie ryzykować rozczarowania i straty czasu, ale ten wybór okazał się strzałem w dziesiątkę, ponieważ bawimy się świetnie. Właściwie to Nancy bawi się za nas obie, twierdząc, że jestem nudziarą do kwadratu. Staram się nie pić dużo alkoholu, żeby zachować trzeźwość umysłu. Z jakiegoś powodu nie chcę upijać się do nieprzytomności, w przeciwieństwie do mojej przyjaciółki, która wypija drink za drinkiem. Po szaleńczych tańcach po niemal całym parkiecie przeciskamy się przez tłum do baru, gdzie głośna muzyka daje się nieco mniej we znaki.

– Gin Fizz! – krzyczy Nancy do elegancko ubranej kelnerki.

Dyskretnie przewracam oczami, wdrapując się na wysokie krzesło barowe.

Doskonale ją rozumiem. Chce się zresetować, odpocząć od nauki i wszystkich obowiązków, których na co dzień ma aż nadto. Dlatego pozwalam jej wychylić kolejną szklankę alkoholu, choć chwieje się na nogach przy każdym kroku.

– Dobrze się czujesz? – pytam trochę z troską, ale bardziej z politowaniem, kiedy pusta szklanka ze szcękiem ląduje na ladzie.

Spogląda na mnie mętным wzrokiem.

– Rewelacyjnie – bełkocze, śmiejąc się.

W tej samej chwili jakiś nieznajomy chwyta ją za rękę i ciągnie w stronę zapełnionego do ostatniego centymetra parkietu.

– Hej! – wołam oburzona jego zachowaniem, lecz giną gdzieś w tłumie.

Zamawiam wodę z cytryną. Kiedy kelnerka mi ją podaje, od razu upijam łyk. Jest zimna, co stanowi przyjemny kontrast do duszności, jaka panuje wokół. Nieoddychający materiał czarnej sukienki dosłownie przykleił się do mojego rozgrzanego tańcem ciała. Korzystając z faktu, że poza mną nie ma przy barze nikogo, chwytam za brzeg niedużego dekoltu, a następnie odciągam go nieco.

– Mam nadzieję, że nie kazałem na siebie zbyt długo czekać.

Gdy spoglądam w kierunku, z którego dobiega przyjemny dla uszu głos, moim oczom ukazuje się młody, dobrze ubrany, przystojny mężczyzna o jasnym spojrzeniu i miedzianych włosach. Natychmiast puszczam sukienkę, po czym zakładam za ucho opadające na twarz włosy.

– Obawiam się, że z kimś mnie pan pomylił – mówię, uśmiechając się nieśmiało.

Siada na krześle obok, a między jego brwiami pojawia się nieduża zmarszczka.

– Cholera – rzuca, odpinając górny guzik koszuli. – Czyli w ogóle nie przyszła. Jestem tak beznadziejnym szefem, że odstrasza pracowników, zanim w ogóle ich zatrudnię.

Chichoczę jak nastolatka.

– Na pewno nie jest tak źle – pocieszam żartobliwie. – Melody Prince – przedstawiam się, wyciągając rękę.

Jest w nim coś, co sprawia, że nie chcę, żeby odchodził.

– Jim Jeffrey.

Ujmuje moją wyciągniętą dłoń, a w jego jasnych oczach tańczą wesołe iskierki. Wygląda na maksymalnie dwadzieścia osiem lat i jest naprawdę przystojny.

– Skoro nie czekasz na mnie, to co tu sama robisz, Melody?

Odwracam się, próbując wypatrzyć w tłumie przyjaciółkę, lecz ilość tańczących osób skutecznie mi to uniemożliwia. Wracam spojrzeniem do mojego rozmówcy, którego niestety muszę pożegnać.

– Jestem z przyjaciółką, którą muszę znaleźć, zanim narobi jakichś głupstw – mówię przeprasząco, zsuwając się z krzesła. – Miło było cię poznać, Jim.

Kiedy staje przede mną, nasze oczy znajdują się mniej więcej na tej samej wysokości.

– Pomóc ci?

Najwyraźniej on także nie chce kończyć tej rozmowy. Nagle w tłumie poruszających się ciał dostrzegam roześmianą twarz Nancy. Wiruje po parkiecie niczym zawodowa tancerka z wyprostowanymi w górze rękami. Zaczynam się bać, że te jej piruety nie skończą się najlepiej.

– Jeśli możesz – odpowiadam, zadziwiając tym samą siebie.

Przejście od baru na środek sali tanecznej zajmuje nam ponad minutę. Klub pęka w szwach, a ludzi wciąż przybywa, dlatego dobrze, że wracamy do domu. Nie czuję się dobrze w miejscach, w których ciężko się obrócić, nie dotykając przy tym nikogo. Wołam do Nancy, że musimy wracać, ale mój głos ginie gdzieś w dźwiękach dudniącej zewsząd muzyki. Łapię więc dziewczynę za szczupłe przedramię i ciągnę za sobą, ignorując jej lament. Zatrzymuję się dopiero po wyjściu z głównej części klubu.

– Mel, zwariowałaś?! – burzy się, kiedy puszcza jej rękę.

Przy wejściu do szatni stoi młody chłopak.

– Wracamy do domu – komunikuję, szukając w torebce numerków.

– Ja zostaję.

Przewracam oczami.

– Wychodzimy – powtarzam, wręczając szatniarzowi dwa plastikowe kółeczka. – Zrobisz to o własnych nogach albo on – wskazuję głową na Jima, który właśnie do nas dołączył – cię wyniesie.

Nancy otwiera szerzej oczy, kiedy zauważa, że ktoś nam towarzyszy. Jej postawa natychmiast się zmienia – prostuje się, rozciągając usta w szerokim, uwodzicielskim uśmiechu. Podchodzi do ciemnowłosego mężczyzny, po czym kładzie dłonie na połach jego bordowej marynarki i wtedy wyraz jej twarzy się zmienia. Spuszcza wzrok, krzywiąc się nieznacznie. Zauważam, że skóra na jej twarzy niespodziewanie przybrała kredowobiały odcień.

– Nan... – urywam, zaciskając powieki.

Kiedy otwieram jedno oko, krzywię się z niesmakiem – niemal całą lewą stronę marynarki pokrywają wymiociny. Nie mogę uwierzyć, że Nancy właśnie puściła pawia na nowo poznanego mężczyznę. Nie wiem jak to możliwe, ale moja przyjaciółka błędnie jeszcze bardziej. Odsuwa się od Jima, przykładając rękę do ust.

– Przepraszam, ja... – Brakuje jej słów.

Wydaje się, jakby cały alkohol wyparował z jej organizmu w kilka sekund. Nie jestem w stanie dłużej się powstrzymać i wybucham głośnym śmiechem, odrzucając głowę w tył. Oboje przenoszą na mnie spojrzenia.

– Przepraszam – bąkam, po czym z szerokim uśmiechem na ustach wyjmuję z torebki telefon i wręczam go poszkodowanemu. – Wpisz mi swój numer, żeby koleżanka mogła oddać za pralnię.

Szybko robi, o co proszę, a kiedy oddaje mi iPhone'a, zauważam, że po jego twarzy również błąka się uśmiech.

– Nie przejmuj się – zwraca się ciepło do Nancy, która chowa twarz w dłoniach, najpewniej chcąc zapaść się pod ziemię. – A ty – ponownie skupia uwagę na mnie – przestań się nabijać i odbierz w końcu te cholerne płaszcze. Odwiozę was do domu.

Zaciskam usta w wąską kreskę i potulnie wykonuję polecenie.

Kiedy obie jesteśmy ubrane, Jim zdejmuje brudną marynarkę, wręcza ją szatniarzowi, a następnie otwiera drzwi z napisem „tylko dla personelu” i wskazuje dłonią, byśmy szły przodem. Chwytam więc przyjaciółkę pod rękę i w milczeniu przechodzimy przez jedne drzwi i kolejne, aż w końcu wychodzimy na niewielki parking, niedostępny dla imprezowiczów.

Światła jednego z aut rozbłyskują jasnym, chłodnym światłem, więc idę w jego kierunku, ciągnąc za sobą przyjaciółkę, która jest tak słaba, że ledwo powłóczy nogami. Wpycham ją na tylną kanapę samochodu, po czym przez chwilę walczę z pasem bezpieczeństwa. Gdy w końcu udaje mi się go zapiąć, dołącza do nas Jim, zajmując miejsce za kierownicą. Powinnam usiąść obok Nancy, czy lepiej nie ryzykować zabrudzenia ubrań zawartością jej żołądka? Wybieram miejsce pasażera obok Jima.

– To twój klub? – pytam, kiedy wyjeżdżamy z parkingu.

*Jednego właściciela klubu już znasz, syczy głos z tyłu głowy, ale skutecznie go ignoruję. Żaden mężczyzna nawet w najmniejszym stopniu nie dorówna Rhysowi.*

Jim kręci głową.

– Właścicielem jest mój przyjaciel – odpowiada, skupiając się na nawigacji, która wyświetla drogę do podanego wcześniej przeze mnie adresu. – Ja zajmuję się wszystkim podczas jego nieobecności.

– Czyli jesteś jego menadżerem?

Spogląda na mnie kątem oka.

– Można tak to ująć. Twoja kolej – odbija piłeczkę. – Opowiedz coś o sobie.

O nie. Pytania dotyczące mojej osoby przypominają mi o bólu, który noszę w sobie od kilku miesięcy. Przypominają o stracie, która zrujnowała to, kim do tej pory byłam, tworząc nową osobowość. Przypominają o mężczyźnie, którego imię boleśnie wyryło się w moim sercu w zaledwie dwa tygodnie. Jestem pewna, że rany w końcu się zagoją, ale blizny pozostaną we mnie na zawsze.

– Nie ma co opowiadać – bąkam cicho, bawiąc się palcami.

Spoglądam przez ramię. Zmęczona Nancy śpi z głową opartą o zagłówek i lekko otwartymi ustami. Przynajmniej nie wymiotuje, bo tego bałam się najbardziej. Nie wiem, czy Jim byłby tak samo pobłażliwy, gdyby pobrudziła również jego samochód.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem i jesteś sama. Dlaczego?

Nie daję po sobie poznać, że ten niespodziewany komplement z jego ust nieco mnie zawstydził. Po prostu wbijam wzrok w szybę, obserwując rozmazany krajobraz, po czym wzruszam ramionami.

– Czy piękne kobiety od razu muszą z kimś być?

Piękne kobiety oddają swoje serca draniom, którzy nie zasługują na nie.

– Oczywiście, że nie. Po prostu jesteś dla mnie zagadką.

Uśmiecham się, świadoma tego, że on nie może tego zobaczyć.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolę pozostać zagadką jeszcze przez jakiś czas.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że moje słowa brzmią jak obietnica, której nigdy nie będę w stanie spełnić. Jim chyba też to czuje, bo zapada ciężka do zniesienia cisza. Nie bardzo wiedząc, jak mogłabym ją przerwać, po prostu przyglądam się wszystkiemu przede mną.

Kiedy w końcu samochód zatrzymuje się przed bramą strzeżonego osiedla, na którym mieszkam, słyszę głos Jeffreya, ale myślami jestem bardzo daleko, przez co nie jestem w stanie odróżnić jego słów.

– Mógłbyś powtórzyć? – proszę cicho, przenosząc wzrok na jego przystojną twarz.

Patrzy na mnie, jakby toczył wewnętrzną walkę z samym sobą.

– Umów się ze mną – odzywa się w końcu, odzyskując pewność siebie.

Zaskoczona szerzej otwieram oczy. Nie mogę tego zrobić, mimo że czuję, jak coś pcha mnie w jego stronę. To byłoby nie w porządku wobec... Kogo? Jak mogę chcieć zachować wierność wobec człowieka, który już dawno o mnie zapomniał? *Naszyjnik*, przypominam sobie. Forma przeprosin, nic więcej.

– Ale... – Nie wiem, co powiedzieć. Gdy ponownie przyglądam się Jimowi, dociera do mnie, że naprawdę mi się podoba. – Właściwie czemu nie.

Ciche westchnienie dobiega z tylnej kanapy BMW. Oboje odwracamy głowy w kierunku mojej przyjaciółki, która właśnie się obudziła. Wsiadam z samochodu,



a wraz ze mną Jim, który pomaga mi postawić dziewczynę na nogi, za co jestem mu naprawdę wdzięczna. Nie wiem, czy miałabym siłę zmagać się z jej bezwładnym ciałem w pojedynkę.

– Poradzicie sobie? – upewnia się, zanim odejdziemy.

Szkoda, że musimy rozstać się właśnie teraz, kiedy czuję, że mogłabym milczeć z nim do rana. Przez chwilę kusi mnie, żeby zaprzeczyć, dzięki czemu mogłam nieco oddalić w czasie nasze nieuniknione pożegnanie, ale ostatecznie się rozmyślam.

– Jasne – zapewniam, błędząc wzrokiem po jego twarzy. – Dziękuję ci za wszystko. Ledwie nas znasz, a zrobiłeś dla nas zdecydowanie więcej, niż powinieneś. Dziękuję – powtarzam, kurczowo ściskając dłoń Nancy.

Jim uśmiecha się niepewnie i przysięgam, że jest to najbardziej uroczy uśmiech, jaki widziałam w ostatnich miesiącach.

– Obiecuj, że po drodze nie zapadniesz się pod ziemię.

Uśmiecham się tylko, po czym odwracam się i przechodzę powoli przez bramę, uważając na przyjaciółkę.

– Obiecuję – szepczę, wpisując kod otwierający drzwi na dotykowym panelu. – Bardzo nie chciałabym zniknąć.

Przez resztę nocy nie jestem w stanie zmrużyć oka choćby na minutę. Przewalam się z boku na bok, rozkopując kołdrę. Jest mi gorąco i zimno na zmianę. Mój organizm wariuje, a ja nie mam na to żadnego wpływu. Już nawet nie próbuję zasnąć, ponieważ wiem, że dzisiejszej nocy mi się to nie uda. Spoglądam przez ramię. Nancy śpi w najlepsze, pochrapując cicho. *Dobrze, że chociaż ona będzie wypoczęta*, myślę, przenosząc wzrok na sufit. Wciąż biję się z myślami, nie mając pojęcia, co zrobić. Jestem oczarowana Jimem i muszę przyznać, że jego opiekuńcza postawa mocno mi zaimponowała. Jednak z tyłu głowy wciąż mam te cholerne,

przeszywające, miodowe tęczówki, które nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Kiedy naciągam kołdrę na głowę, jej gruby materiał tłumi przeciągły jęk bezsilności wydobywający się z moich ust. Dlaczego wciąż nie mogę ruszyć do przodu? Dlaczego świadomie skazuję się na ból, wiedząc, że szczęście czeka tuż za rogiem? Wystarczy jedynie wyciągnąć po nie rękę i zadbać o to, by tym razem tak szybko nie zniknęło. Na pytanie, czy tego chcę, wolę na razie nie odpowiadać.

Chyba mam farta, ponieważ świt przychodzi zaskakująco szybko. Wychodzę z łóżka, po czym cicho, tak żeby nie obudzić mamy, schodzę na dół. Moje starania okazują się jednak bezsensowne, ponieważ Amelie siedzi przy kuchennej wyspie, przeglądając jeden z portali społecznościowych. Widać, że nie śpi już od jakiegoś czasu – świadczy o tym jej perfekcyjny kok, idealny makijaż oraz czarny garnitur, który ma na sobie.

– Jest piąta rano – mówię tytułem powitania, otwierając lodówkę. – Nawet nie chcę wiedzieć, o której musiałas dzisiaj wstać.

Amelie podnosi na mnie wzrok znad ekranu iPada.

– Mniej więcej o tej, kiedy coś, a może ktoś upadł i narobił przy tym sporego hałasu.

No tak, przez to wszystko zdążyłam już zapomnieć o pewnym incydencie, który miał miejsce zaledwie trzy metry od drzwi sypialni mamy. Wystarczyło, że na sekundę wypuściłam nadgarstek pijanej przyjaciółki z dłoni, a ta od razu zaczęła tańczyć, podskakując przy tym zdecydowanie wyżej, niż zrobiłaby to, będąc trzeźwą. Kiedy próbowałam ją powstrzymać, przewróciła się, a razem z nią ja oraz wazon, który na szczęście się nie potłukł.

– Przepraszam – mówię szczerze, otwierając jogurt. – Nancy trochę się zapomniała.

Amelie prycha.

– Mam nadzieję, że tobie się to nie zdarza.

Unoszę brwi. Spodziewałam się awantury, a jest zupełnie odwrotnie. Nasza wymiana zdań przypomina zupełnie normalną rozmowę. Mama musi być dzisiaj naprawdę w dobrym humorze. Postanawiam to wykorzystać.

– Poznałam kogoś – wyznaję, zanim się rozmyślę.

Nigdy wcześniej nie zwierzałam jej się ze spraw sercowych, więc dzisiaj to mój pierwszy raz, który wcale nie wydaje się taki trudny. Zaciekawiona unosi brwi.

– I?

Odstawiam nietknięty jogurt na blat kuchennej wyspy.

– I cholernie boję się go do siebie dopuścić. Boję się, że kiedy to zrobię, nie będę mogła oddać mu się w stu procentach, rozumiesz?

Mama wstaje z krzesła barowego, wygładzając marynarkę i wbija we mnie mądre, stalowoszare spojrzenie.

– Mam za sobą niewiele rozstań. Mogę ci jedynie powiedzieć: daj sobie czas – radzi tonem głosu, którego już dawno u niej nie słyszałam. – Zapomnisz o nim, jeśli pozwolisz komuś innemu zająć jego miejsce. Po prostu spróbuj.

Wiem, że mówi o Rhysie, mimo że nie wypowiada głośno jego imienia. W tym domu już nikt go nie używa, jakby każdemu z nas sprawiało fizyczny ból. Uśmiecham się smutno, wkładając w ten uśmiech wszystko to, co muszę przemilczeć. Nikt nie będzie w stanie wypełnić pustki, którą Mariposa po sobie zostawił... A raczej po moim wyobrażeniu jego osoby, którą nigdy nie był.

Gdy wracam na górę, Nancy już nie śpi. Siedzi skulona na łóżku, trzymając się za brzuch.

– Nic nie mów – chrypi słabo. – Doskonale wszystko pamiętam. Po prostu nic nie mów – powtarza dla pewności.

Podchodzę do niej i opadam na łóżko, opierając głowę o jej ramię.

– Zapomnij – szepczę. – Udawajmy, że to się nigdy nie zdarzyło.

Przyjaciółka wydaje z siebie cichy jęk bezsilności.

– Jest mi tak wstyd. Mam nadzieję, że ten facet nie jest bardzo wkurzony.

Uśmiecham się na wspomnienie Jima.

– Dzięki temu, że najpierw nieudolnie go podrywałaś, a chwilę później obrzygałaś, woli umówić się ze mną.

Prostuje się, odgarniając włosy z pokrytej rozmazanym makijażem twarzy. Kładę się na boku, podpierając głowę dłonią.

– Żartujesz?! – nie dowierza. – Mój podryw wcale nie był kiepski. Po prostu bardziej się mu spodobałaś.

Spoglądam na Nancy z uniesionymi brwiami, po czym obie wybuchamy głośnym śmiechem. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi jej brakowało. Na razie nie dopuszczam do siebie myśli o tym, że jutro znowu zostanę sama.

– Nie wiesz, co robić, co? – pyta, kiedy się uspokajamy.

Po cieniu uśmiechu na mojej twarzy nie ma ani śladu.

– Wiem, że chcę o nim zapomnieć – mówię cicho. – Ale nie wiem, czy chcę to zrobić w taki sposób. Chyba nie czułabym się fair w stosunku do Jima, wiążąc się z nim.

– A kto tu mówi o wiązaniu? – oburza się nieco, jak to zwykle ma w zwyczaju. – Spotkaj się z nim. Idźcie do kina, na kolację czy nad staw liczyć ślimaki.

Rozbawiona unoszę jedną brew.

– Liczyć ślimaki?

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. – Lekceważąco macha ręką. – Zaproś go na chwilę do swojego życia, a reszta zrobi się sama. Zaufaj mi.

Ponownie wybucham śmiechem.

– Chyba wciąż szumi ci w głowie, co?

Stanowczo kręci rozczochraną blond czupryną.

– Może trochę – przyznaje, zamykając oczy, po czym chwyta się za skronie. – Po prostu mi zaufaj.

Mam jego numer. Nic nie stoi na przeszkodzie, bym się z nim skontaktowała, kiedy już będę na to gotowa. *Jim nie jest księżniczką zamkniętą w wieży, zauważa głos z tyłu głowy. Nie będzie czekał na ciebie w nieskończoność.*

– Zadzwoń do niego później – mówię, lecz brzmię mało przekonująco nawet dla samej siebie. – Idź się wykapać, a ja zrobię coś na śniadanie.

Podnoszę się z łóżka, choć wcale nie mam na to ochoty. Najchętniej zostałabym w nim i pozwoliła ciężkim powiekom opaść.

– Jeszcze tego nie zrobiłaś?

– Śniadania?

– Co ty z tym jedzeniem, Mel?! – niemal krzyczy. – Chodzi mi o telefon do tego faceta z klubu.

Powstrzymuję chęć popukania się palcem w czoło.

– Jest prawie szósta rano – zauważam, ruszając do drzwi. – Gdybym to zrobiła, pomyślałby, że jestem tak samo nienormalna jak ty.

W ostatniej chwili znikam za ścianą, unikając ciosu poduszką. Schodząc na dół, powtarzam sobie, że nie zadzwonię do Jima. Przechodząc przez salon, wydjmuję telefon z kieszeni bluzy, kurczowo zaciskając na nim

palce. Nie zadzwonię do Jima. W kuchni odblokowuję ekran i przesuвам po nim palcem. Nie zadzwonię do Jima. I nie robię tego. Po prostu piszę do niego wiadomość i zanim się rozmyślę, naciskam *wyślij*.

## Rozdział 16

Wpatruję się w ciemny ekran telefonu od dwudziestu minut tak intensywnie, że aż pieką mnie oczy. Przecieram je wnętrzem dłoni, po czym rzucam podłe urządzenie na kanapę i zaczynam nerwowo krążyć po salonie. Kiedy schodząca po schodach Nancy parska śmiechem na mój widok, posyłam jej mordercze spojrzenie.

– Przez ciebie zrobiłam z siebie idiotkę – syczę.

Z szerokim uśmiechem zajmuje miejsce na kanapie i od razu chwyta mój telefon w dłonie. Otwieram usta, by zaprotestować, lecz rezygnuję, wiedząc, że to i tak na nic.

– Idiotka roku – mruczy, wbijając we mnie duże, ciemnozielone oczy. – Naprawdę napisałaś mu tak długą wiadomość o pralni?

Przystaję, wzruszając ramionami.

– Wiesz, że zawsze byłam nieco... chaotyczna – odpowiadam zawstydzona.

– Co ten Singh z tobą zrobił? – Krzywię się na dźwięk nazwiska, którym Rhys posługuje się na co dzień, lecz Nancy zdaje się tego nie zauważać, ponieważ ciągnie dalej: – Zakochałaś się, ale nie wyszło, jasne? Nie możesz do końca życia nosić żałoby po mężczyźnie, który nie jest cię wart.

*To już nie zakochanie, a obsesja, myślę, ale nie mówię tego na głos.*

Są osoby, które nie mają filtra, który czasami należy zastosować podczas rozmowy z drugim człowiekiem, żeby oszczędzić mu bólu. Nancy go nie ma. Ja natomiast

nie posiadam tarczy, którą mogłabym osłonić moją poranioną duszę przed wspomnieniami, które wydają się nie słabnąć mimo upływającego czasu.

– Nie noszę żałoby po... – Nie jestem w stanie wypowiedzieć jego imienia głośno. – Nikim. Po prostu ciężko mi od razu rzucić się w ramiona innego mężczyzny.

Cholernie brakuje mi bliskości kogoś, kto swoim dotykiem zapewniłby mi poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebuję, a jedyne ramiona, w których je odnajdywałam i o których obsesyjnie marzę, to ramiona Motyla.

– I dlatego wysyłasz mu adresy najlepszych pralni w mieście?

Przechyliłam głowę w prawo.

– Jeśli się odezwie, to będzie jakiś cud, prawda? – pytam, siadając obok przyjaciółki.

Obejmuje mnie, opierając policzek o czubek mojej głowy.

– Chyba tak – odpowiada. – Ale wiesz co?

– Hm? – mruczę.

– Ja wierzę w cholerne cuda.

W tej samej chwili rozlega się cichy dźwięk przychodzącej wiadomości. Odskakujemy od siebie, równocześnie chwytając telefon, przez co urządzenie ląduje na podłodze. Potem raz jeszcze. I kolejny.

– Pozwól...

– Jasne – mówi Nancy, prostując się.

Oczy jej błyszczą z podekscytowania, kiedy podnoszę telefon i odblokowuję go. Na ekranie przy zielonej kopercie widnieje czerwony kwadracik z białą cyfrą jeden. Drżą mi dłonie, kiedy go dotykam. Gdy okno dialogowe otwiera się, zaciskam powieki.



– Nie dam rady – jęczę, wręczając telefon Johnson.

W wyobraźni widzę, jak mruży oczy, próbując wyostrzyć każdą z liter, ponieważ nie ma przy sobie okularów ani soczewek.

– Pisze, że dziękuje za pamięć, ale ma już swoją ulubioną pralnię – słyszę, po czym otwieram jedno oko.  
– Jak można mieć ulubioną pralnię, Mel? Gdyby w dalszej części wiadomości nie wspominał o spotkaniu, pomyślałabym, że to gej. Dziękuje też za to, że nie zniknęłaś. Prosi, żebyś zadzwoniła, jak znajdziesz chwilę.

Otwieram drugie oko, oddychając głęboko. Czuję niespodziewaną ulgę, że Jim jednak nie wziął mnie za wariatkę oraz pewnego rodzaju satysfakcję, ponieważ zdążyłam zapomnieć o tym, że mogę się komuś podobać jako kobieta. W ostatnich miesiącach byłam jedynie płaczącą kupką nieszczęścia w związanych włosach i wygodnym, lecz mało seksownym dresie.

– Zadzwonię, kiedy wsadzę cię do metra i odeślę do domu.

Na razie chcę się nacieszyć ostatnimi chwilami z moim aniołem stróżem, bo nie mam pojęcia, kiedy znowu będę miała go przy sobie.

\*\*\*

Kilka dni później umówiliśmy się w jednej z kawiarni, której wystrojem jestem po prostu oczarowana. Wszystko utrzymane jest w ciemnych barwach, zaczynając od ścian po stare, odrestaurowane meble. Na każdym stoliku leży niewielka sterta książek. Właściwie książki są wszędzie: na ladzie, kamiennych parapetach, nawet na podłodze. Przy kilku stolikach siedzą pogrążeni w lekturze ludzie, lecz trzy czwarte miejsc wciąż pozostaje wolnych. Zapewne winę za to ponosi fakt, że jest dziewiąta rano, przez co raczej niewielu śmiałków decyduje się na kawę i książkę poza domem w taką

paskudną pogodę. To ja zaproponowałam tak wczesną godzinę spotkania, ponieważ nie chciałam, by Jim pomyślał, że to randka. Po prostu zwykłe wyjście na kawę w ramach przeprosin za zniszczoną marynarkę. Teraz wydaje mi się to nieco głupie.

– Przepraszam za spóźnienie.

Kiedy odrywam wzrok od tańczących płomieni ognia w kominku, moje oczy napotykaają na zdenerwowaną twarz Jima.

– Lubisz się spóźniać, co? – pytam żartobliwie.

Nie znoszę, kiedy ludzie się spóźniają. Jest to dla mnie pewien rodzaj braku samodyscypliny oraz szacunku dla drugiej osoby. Sama wolę zjawić się w umówionym miejscu godzinę wcześniej niż pięć minut za późno. Dlaczego więc w nim mi to nie przeszkadza?

– Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, jakie rzeczy czasami mnie spotykają.

W świetle dziennym wygląda nieco inaczej, niż zapamiętałam. Zdecydowanie młodziej. Zapewne będąc pod wpływem alkoholu, nie byłam w stanie ocenić jego urody w sposób rzeczywisty, ale nie wydaje mi się, żeby był choć trochę mniej przystojny niż tamtego wieczoru, w którym się poznaliśmy. Siada po drugiej stronie stolika, od razu sięgając po kartę.

– Proponuję filiżankę Australia Skybury Fancy – mówi tonem znawcy. – Obiecuję, że się nie rozczarujesz.

Może i ja zdecydowałam o godzinie spotkania, ale to on wybrał miejsce. To oczywiste, że musiał bywać tu wcześniej.

– Właściwie to nie przepadam za kawą – wypalam głupio, na co Jeffrey uśmiecha się szeroko.

Jasnozielonymi tęczęwkami patrzy na mnie życzliwie, lecz nie mogę oprzeć się wrażeniu, że próbuje wdrzeć się nimi zdecydowanie dalej, niż powinien. Moja twarz

automatycznie przyjmuje obojętną maskę, uniemożliwiając zdradzenie czegokolwiek poza uprzejmością. Już raz pozwoliłam mężczyźnie przejrzeć się na wylot i nie skończyło się to dla mnie dobrze.

– W takim razie herbata?

Patrzę do karty z menu. Lubię herbatę, ale w wymienionych propozycjach żadna nie wydaje mi się wystarczająco smaczna, bym chciała jej spróbować. Poza tym herbatę pijam w swoim łóżku, nakryta kołdrą po samą brodę. Dokładnie tak samo pijała ją moja babcia, kiedy jeszcze żyła.

– Gorąca czekolada wydaje się najlepszym wyborem na dzisiejszą pogodę – odpowiadam.

Odpędzam od siebie myśli o Helen, żeby mój nastrój nie uleciał bezpowrotnie. Nie chcę psuć tego spotkania bolesnymi wspomnieniami, które ostatnio coraz częściej dają o sobie znać. Wystarczy jedno skinienie głowy mężczyzny i młodziutki kelner o wąskich, ciemnych oczach już jest przy stoliku.

– Co podać, szefie?

*Szefie.*

No jasne!

– Dwa razy gorąca czekolada.

– I muffinkę – dodaję szybko, przypominając sobie wypieki, które wcześniej widziałam za szybą lady.

Nie jestem jakoś specjalnie głodna, ale nie zdążyłam zjeść przed wyjściem z domu i zapewne nie zjem nic po powrocie do niego, gdyż przebywanie w nim skutecznie odbiera mi apetyt.

– I muffinkę dla panny Prince – powtarza Jeffrey.

*Błagam, tylko nie „panna Prince”.*

– Wystarczy „Mel” – bąkam nieco skonsternowana. – Tutaj też jesteś menadżerem?

Jim opiera łokcie o blat stołu, łącząc ze sobą dłonie.

– Mel – powtarza za mną, uśmiechając się. – Akurat to miejsce darzę miłością szczególną, a od dwóch lat należy tylko do mnie.

Uśmiecham się. Jest taki... nieskomplikowany. Od razu odpowiada na pytania, wydając się przy tym szczerzy i przede wszystkim chętny do rozmowy. Zupełnie inny niż...

– Opowiedz mi więcej o tym miejscu – proszę, pochylając się nieco w jego stronę. – Jest niesamowite.

Zaczyna mówić, a ja zamieniam się w słuch. Przyjemnie mi się siedzi i słucha jego historii. Jest naprawdę fajnym facetem, do którego z sekundy na sekundę czuję coraz większą sympatię. Kiedy opowiada o dziadku, który ponad pięćdziesiąt lat temu otworzył tę kawiarnię, w jego oczach błyszczy miłość i duma. Dociera do mnie, że trudno będzie mi się z nim rozstać, ponieważ bardzo potrzebuję w swoim życiu takiej osoby jak on – człowieka, który jest po prostu dobry. Człowieka, który daje z siebie wszystko, co najlepsze, nie oczekując niczego w zamian.

W mojej głowie pojawia się pytanie, czy na pewno nie mogę wpuścić go do swojego świata na dłużej. To nie musi być nasze ostatnie spotkanie. Gdybym tylko chciała, mogłabym częściej pić gorącą czekoladę i słuchać przy tym jego przyjemnego dla ucha głosu. *Zaryzykuj*, prosi cicho głosik z tyłu głowy. Kiedy pozwalam zamknąć swoją dłoń w dłoni Jima, uświadamiam sobie, że dotyk jego skóry jest naprawdę przyjemny, wręcz kojący. Czuję, jak ostre krawędzie mojego pokruszonego serca wygładzają się nieco. Uśmiecham się szerzej, ponieważ wszystko wewnątrz mnie krzyczy, że chyba jednak zaryzykuję.

\*\*\*

Na naszą drugą randkę musiałam bardzo długo czekać. Po spotkaniu w kawiarni Jim obiecał mi, że się do mnie odezwie. Lecz kiedy mijały kolejne dni, a mój telefon wciąż milczał jak zaklęty, straciłam nadzieję, że coś z tego będzie. Z góry założyłam, że nie sprostałam oczekiwaniom Jima, ale nie przejęłam się tym specjalnie. Życie już dało mi lekcję, z której wyciągnęłam poważne wnioski. Jeden z nich to: nigdy więcej nie angażuj się w relację w takim tempie, jak zrobiłaś to z Motylem. I choć naszej znajomości nie można porównać do żadnej innej, to zdążyłam już o niej zapomnieć. Prawie.

Wyrzuciłam ze swoich wspomnień również Jima Jeffreya po tym, jak Nancy dokonała na nim słownego mordy w tak okrutny sposób, że chwilami musiałam zakrywać uszy dłońmi, ponieważ nie mogłam jej słuchać. Wszystko podziałało odwrotnie, niż powinno, bo jeszcze tej samej nocy dostałam wiadomość z przeprosinami i prośbą o spotkanie.

Zgodziłam się bez większego entuzjazmu, widząc, że Jim nie należy do słownych mężczyzn. Mimo mojego złego nastawienia nasze spotkanie doszło do skutku, dlatego teraz z wysoko uniesionymi brwiami przyglądam się, jak Jeffrey zakłada mi uprząż, która wpija się we mnie trochę za mocno.

– Nie mogę uwierzyć, że to robię – mamrocze pod nosem.

Skok ze spadochronem nigdy nie był na mojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

– To niezły test zaufania – odzywa się Jim, dokonując ostatnich poprawek przy grubych pasach wokół moich ud. – Oddajesz życie w moje ręce. Czy to nie jest romantyczne?

Uśmiecham się szeroko, próbując ukryć, jak bardzo się denerwuję.

– Byłoby romantyczne, gdyby działo się w książce albo jakimś dobrym filmie. W naszym przypadku to cholernie przerażające. – Unosi brwi w odpowiedzi. – Nie patrz tak na mnie – mówię. – W tej chwili czuję jedynie strach.

Kiedy pochyla się w moją stronę, przez jedną krótką chwilę mam wrażenie, że mnie pocałuje, lecz jego usta zatrzymują się tuż przy moim uchu.

– Założę się, że przyznasz mi rację, kiedy tylko wylądujemy na ziemi. – Chwyta moją dłoń, splatając ze sobą nasze palce. – Ufasz mi?

– Samej sobie nie ufam – odpowiadam wymijająco.

Pozwalam Jimowi zaprowadzić się do czekającego na nas samolotu. Zajmuję miejsce na wąskim fotelu, modląc się w duchu o nagłą awarię silnika, żeby nie udało nam się wystartować. Gdy samolot wzbija się w powietrze, mam wrażenie, że zaraz zemdleję i do skoku i tak nie dojdzie.

Denerwuję się tak bardzo, że nie jestem w stanie skupić się na prowadzonych między sobą rozmową trzech mężczyzn, których słowa i tak zagłusza huk wiatru. Zastanawiam się, jak mogą stać tak spokojnie, gawędząc ze sobą, skoro ten mały samolot nie ma pieprzonych drzwi. Albo ma, tylko nikt ich nie zamknął. Niewątpliwie jest to najoryginalniejsza randka, w jakiej miałam okazję brać udział. Jeśli uda mi się ją przeżyć, będę mogła przyznać jej miano najlepszej.

W otępieniu przyglądam się, jak dwóch towarzyszących nam mężczyzn ustawia się przy wyjściu. Nie skaczą w tandemie tak jak my. Obaj mają oddzielne spadochrony. Jeden z nich odwraca głowę w moją stronę, puszczając mi oczko, po czym wyskakuje z samolotu, a wraz z nim jego partner.

Przykładam obie dłonie do ust, wydając przy tym okrzyk zdumienia. *Cztery tysiące metrów*, powtarzam w głowie, coraz bardziej panikując. *Cztery tysiące*.

– Nasza kolej, Mel! – woła Jim.

Mimowolnie przywieram plecami do oparcia.

– Nie dam rady! – odkrzykuję, ale moje słowa giną gdzieś po drodze.

Mam ochotę wrzeszczeć, gdy Jeffrey się do mnie zbliża, ale jeszcze przez chwilę staram się panować nad emocjami. Jednym sprawnym ruchem stawia mnie na nogi i nawet nie wiem, kiedy znajdujemy się zaledwie pół metra od dziury, w której stronę boję się nawet spojrzeć.

– Oczywiście, że dasz.

Cieszę się, że wierzy we mnie bardziej niż ja sama, ale znam siebie. Nie ryzykuję. Wybieram rzeczy, które już znam, wiedząc, że nie zrobią mi krzywdy. Zawsze starałam się być odpowiedzialna, wyłączając dzień, w którym pozwoliłam obcemu mężczyźnie wywieźć się daleko od domu i rozkochać w sobie.

– Przepraszam, Jim – mówię najgłośniej jak potrafię. – Nie ma mowy, żebym to zrobiła.

Odsuwam się od niego o krok, lecz kiedy wyciąga dłoń w moją stronę, ogarnia mnie taka panika, że zaczynam wymachiwać rękami we wszystkie strony. Wtedy Jim robi krok do tyłu, po czym znika z mojego pola widzenia, jakby w ogóle go tu nie było.

Ruszam przed siebie, chcąc go ratować, ale przypominam sobie, że przecież nie mam na sobie spadochronu. Nawet gdybym go miała, nie mogłabym go użyć, ponieważ nie mam pojęcia, jak to zrobić. Przerazona zataczam się do tyłu. Czy Jim miał go na plecach? Przez cały ten stres nawet nie zwróciłam na to uwagi. Osuwam się z powrotem na fotel. Cholera! Jestem chyba pierwszą kobietą w historii, która uśmierciła mężczyznę już na drugiej randce.

Łądujemy dokładnie w tym samym miejscu, z którego startowaliśmy. Chcę jak najdłużej oddalić w czasie

moment wyjścia na zewnątrz w obawie, co może tam na mnie czekać. Mój umysł podsuwa mi straszne obrazy roztrzaskanego ludzkiego ciała, powyrywanych kończyn i ogromnych dziur w głowie. Ruszam się, dopiero kiedy pojawiają się kolejni chętni do tej ryzykownej gry ze śmiercią. Gdyby Jim faktycznie się zabił, chyba wstrzymaliby kolejne skoki, prawda? Gdy moje stopy dotykają ziemi, mam ochotę rzucić się na nią i całować każdy jej centymetr. Zamiast tego ruszam biegiem w kierunku Jeffreya, który wolnym krokiem idzie w moją stronę.

– Nic ci nie jest! – wołam z niewyobrażalną ulgą, rzucając mu się na szyję.

Cofa się kilka kroków pod wpływem siły, z jaką na niego wpadam, ale jego ręka pewnie obejmuje mnie na wysokości talii. Kiedy się odsuwam, zauważam, że po jego twarzy błąka się uśmiech.

– Co? – pytam zawstydzona swoim impulsywnym zachowaniem.

Kolejny raz w życiu rzucam się na mężczyznę, ale tym razem jestem zupełnie trzeźwa. Przynajmniej nie kusi mnie, żeby posunąć się dalej, tak jak zrobiłam to z Rhysem.

– Zawsze wszystko tak bardzo przeżywasz? – Uśmiecha się jeszcze szeszej.

– To nie jest zabawne, Jim. Myślałam, że cię zabiłam.

W odpowiedzi wybucha śmiechem, odchylając głowę do tyłu.

– Wciąż tu jestem – zauważa, uspokajając się, po czym nieśmiałym gestem zakłada mi za ucho kosmyk włosów, który wydostał się z kucyka. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– To znaczy, że test zaufania przeszłam pozytywnie?



Ponownie śmieje się w głos. Podoba mi się ten dźwięk. Sprawia, że czuję radość, której nie widziałam u siebie od dobrych kilku miesięcy.

– Nad tym będziemy musieli jeszcze trochę popracować. Chodź. – Wyciąga dłoń w moją stronę, którą od razu ujmuję. – Zgłodniałem po tym nieoczekiwanym zamachu na moje życie.

Posyłam mu mordercze spojrzenie, ale kiedy ruszamy z miejsca, zaczynam śmiać się sama z siebie. Może nie dowiedziałam się, jakie to uczucie spadać z wysokości tysięcy metrów, uzależniając swoje istnienie od drugiego człowieka i plecaka, który ma na sobie, ale wszystko wskazuje na to, że to naprawdę może być najlepsza randka w moim życiu.

Tuż przy lotnisku znajduje się nieduża restauracja średniej klasy. Mimo to tylko kilka stolików pozostaje wolnych. Myślę, że to adrenalina wyzwala w ludziach wilczy głód. Zajmujemy miejsce przy jednym z wolnych stołów, siadając naprzeciw siebie.

– Gdzie mogę to zdjąć? – pytam, wskazując na profesjonalny kombinezon oraz uprząż, które wciąż mam na sobie. – To strasznie niewygodne.

Jim wstaje, a sekundę później jest już przy mnie. Odsuwam się razem z krzesłem, dając mu do siebie lepszy dostęp. Sprawnymi palcami szybko rozpina wszystkie klamry i aż się dziwię, że coś, co tak szybko można zdjąć, miało mnie utrzymać przy Jimie podczas skoku. Podnoszę się i pozbywam się wpijających się w skórę pasów.

– Dziękuję – mówię, zajmując swoje miejsce.

Jeffrey odkłada uprząż obok stolika i również siada.

– Drobiazg. – Sięga po kartę wyglądem przypominającą ulotkę, po czym przebiega po niej wzrokiem. – Najchętniej zamówiłbym tłustego burgera z dużą ilością cebuli, ale istnieje szansa, że będziemy się

dzisiaj całować, dlatego zadowolę się sałatką z kurczakiem.

Jak on to robi, że w jego obecności nie mogę przestać się uśmiechać?

– Za to ja mam tak ściśnięty żołądek, że nie wcisnę w siebie nic przez następny tydzień.

Spogląda na mnie znad menu czujnym wzrokiem. Jego jasnozielone tęczówki kojarzą mi się z latem i beztroską. Przypominają czasy, w których nie znałam bólu, który ostatnio ciągle mi towarzyszy. Chociaż nie. Przecież w tej chwili go nie czuję.

– Powinnaś coś zjeść – mówi ze ściągniętymi brwiami.

– Zjem, kiedy mój organizm przestanie odczuwać poważne zagrożenie życia. Teraz nie jestem w stanie przełknąć nawet wody.

Odkłada kartę dań na blat, po czym wstaje.

– Co robisz? – pytam, marszcząc brwi.

– Nic. – Wzrusza ramionami. – Skoro ty nie niczego nie chcesz, to ja też.

Rusza do wyjścia, nie czekając na mnie. Podnoszę się skonsternowana i wychodzę na zewnątrz. Rozglądam się wkoło, ale nigdzie nie widzę Jima. I wtedy czyjaś dłoń łapie mój nadgarstek. Jim przyciąga mnie do siebie, po czym obraca się tak, że opieram się plecami o chropowatą ścianę restauracji. Nieznacznie zadzieram brodę w górę, napotykać jego spojrzenie. W mojej głowie toczą ze sobą walkę ambiwalentne uczucia. Chcę go pocałować, ale czuję, że nie mogę tego zrobić. Zbliża twarz do mojej, nie spuszczaając wzroku z moich oczu. Kiedy je zamykam, jego ciepłe wargi opadają na moje, na dobre rozwiewając moje wszystkie wątpliwości. Zaplatam dłonie na jego szyi, on obejmuje mnie w talii, a nasz pocałunek jest jednym z najniewinniejszych, jakie przeżyłam. *Chyba jesteś tu, gdzie powinnaś*, podpowiada głos z tyłu głowy. Uśmiecham się, ani na moment nie

odrywając się od przyjemnych w dotyku męskich ust.  
*Chyba tak, myślę nieśmiało. Dokładnie tu powinnam teraz  
być. Pomiędzy jednym a drugim ramieniem Jima.*

## Rozdział 17

Od kilku tygodni pomagam Jimowi w „Livro et café”, bo tak nazywa się jego kawiarnia i chyba dzięki temu czuję się zupełnie innym człowiekiem. Jestem spokojniejsza i znowu udaje mi się przesywać niemal całe noce. W tym czasie zdążyłam tak bardzo przyzwyczać się do bólu po stracie Rhysa, że praktycznie wcale go nie odczuwam. Powoli zapominam, a dzięki Jimowi udaje mi się sklejać do kupy pokruszone kawałki serca.

– Jak ci idzie? – głos Jima rozbrzmiewa gdzieś za moimi plecami.

Odwracam się niespiesznie.

Na jego widok kącki moich ust od razu wędrują w górę.

– Dobrze – przyznaję, obejmując go za szyję. – Prawie skończyłam.

Całuje mnie delikatnie, po czym opiera dłonie o moją talię.

– Wiedziałem, że sobie poradzisz. – Nie kryje dumy.

Może to śmieszne, ale praca tutaj dodaje mi pewności siebie. Początkowo moje podejście do niej było sceptyczne. Nic mi się nie udawało. Nie potrafiłam donieść do stolika kawy tak, by jej nie rozlać. Wciąż wychodziłam na fajtlapę roku. Raz jeden z klientów skwitował mnie krótkim: „przynajmniej jesteś ładna”. Od tamtej pory stoję za ladą, wychodząc zza niej tylko wtedy, kiedy nie ma nikogo, kto mógłby donieść zamówienie klientowi.

– Chyba powinnaś wrócić dzisiaj wcześniej do domu – dodaje Jim po dłuższej chwili milczenia, podczas której

wtulałam się w jego klatkę piersiową, słuchając bicia jego serca.

Marszczę brwi i odsuwam się nieco.

– Jest sobota – przypominam znacząco. – Chris nie poradzi sobie z takim tłumem.

Każde popołudnie weekendu w „Livro et café” wygląda jak inwazja zombie. Naprawdę ciężko poradzić sobie we dwoje z natłokiem najróżniejszych klientów, a co dopiero w pojedynkę. Wciąż zastanawia mnie, co ich tutaj przyciąga. Wydaje mi się, że to klimat panujący wokół i niezwykle charyzmatyczny właściciel, kiedy już jest na miejscu i nie załatwia tysiąca innych spraw.

– Załatwimy ci zastępstwo. – Ponownie mnie całuje. Tym razem trochę bardziej władczo. – Mam już pewne plany.

Rzadko bywa tajemniczy i nie ukrywam, że trochę zaczyna mnie to niepokoić. Wiem, że posiadam jakieś dziwne upośledzenie w genotypie, przez które ta cecha u mężczyzn przyciąga mnie jak magnes, sprawiając, że od razu stają się dla mnie atrakcyjniejsi, ale Jim i bez tego wystarczająco mi się podoba. Właściwie jej brakiem przekonał mnie do siebie.

– Jakie? – pytam, odchylając głowę do tyłu, by móc spojrzeć mu w zielone oczy.

– Mój dobry kolega wraca po dłuższej nieobecności. Spotykamy się, żeby go przywitać.

Odsuwam się, przewracając oczami. Miałam cichą nadzieję na kolację albo kino.

– A ja do czego jestem ci potrzebna? – dziwię się, unosząc jedną brew.

Przez idealnie ogoloną twarz przemyka cień niepewności.

– Jesteśmy ze sobą już jakiś czas i chciałbym, żebyś poznała moich przyjaciół. Jeśli to dla ciebie za wcześnie,

to...

– Nie – wchodzę mu w słowo. – Nie jest za wcześnie. Chętnie poznam twoich przyjaciół.

Ulga, jaka maluje się na jego twarzy, sprawia, że czuję się głupio, że początkowo tak zareagowałam. Ta niepewność... ciągle mu towarzyszy. Jakby zupełnie w siebie nie wierzył. Jakby nie wierzył we mnie i moje zamiary względem niego.

– Przyjadę po ciebie po osiemnastej – oznajmia z uśmiechem.

Kątem oka zerkam na godzinę, która wyświetla się na ekranie komputera, przy którym przed chwilą pracowałam.

– W takim razie powinnam wyjść już teraz.

Zamaszystymi ruchami próbuję rozczesać zbyt długie już włosy, których końce zawijają się, tworząc nieestetyczne loki. Ostatnio w moim życiu tyle się dzieje, że nie mam czasu nawet na fryzjera. Całe dni spędzam w kawiarni, a wolny czas dzielę między Jima i rysowanie. Głównie Jima, ponieważ moje hobby uwalnia we mnie tę ciemniejszą stronę, której nikomu nie pokazuję i o której staram się na zawsze zapomnieć.

Jim... No właśnie Jim. Ani przez chwilę nie żałowałam tego, że zgodziłam się pójść z nim na randkę. Szybko okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego, a tematy do rozmów nigdy nam się nie kończą. Postanowiłam zaryzykować i spróbować związać się z kimś, kogo priorytetem nie będzie ranienie mnie. W pewien sposób schlebia mi, że postanowił przedstawić mnie swoim przyjaciołom, bo to oznacza, że myśli o mnie i naszym związku poważnie. *A czy ty myślisz o nim poważnie?*, pytam sama siebie. Jim jest dobry, wrażliwy i w każdej sytuacji stawia mnie oraz moje potrzeby na pierwszym miejscu. Życie z nim jest łatwe i spokojne, ale nie nudne. Znamy się dopiero kilka tygodni, więc na poważne

decyzje przyjdzie jeszcze czas, dlatego teraz wolę nie odpowiadać na zadane sobie pytanie.

Odkładam szczotkę na toaletkę, przyglądając się odbiciu w lustrze. Makijaż ograniczyłam do minimum: lekki podkład, puder i delikatnie pomalowane rzęsy, a mimo to wyglądam naprawdę dobrze. Kiedy ekran telefonu rozbłyskuje, pojawia się na nim wiadomość od Jima: „Zaraz będę”. Cholera, nie zdążę! Nienawidzę, kiedy ktoś musi na mnie czekać.

Rzucam się w stronę łóżka, na którym leży wcześniej przygotowana sukienka. Gdy wciągam ją szybko przez głowę, orientuję się, że przecież nie mam na sobie bielizny. Kolejna wiadomość informuje mnie, że Jim już na mnie czeka. W rekordowym tempie wciągam na tyłek różowe, koronkowe figi. Stanik postanawiam odpuścić, wiedząc, że nie mam już czasu. Dzisiaj nie mam ochoty na szpilki, więc decyduję się na wygodne espadryle w kolorze czarnym. Gaszę światło, po czym zatraskuję za sobą drzwi i zbiegam po schodach.

– Mel, chciałabym z tobą porozmawiać – mówi Amelie, kiedy chwytam za klamkę drzwi wejściowych.

Odwracam się twarzą do niej, dyskretnie przewracając oczami. Dlaczego musiała wybrać akurat ten moment?

– Czy ta rozmowa nie może poczekać? – pytam tak uprzejmym tonem, jakbym rozmawiała z kimś obcym. – Naprawdę bardzo się spieszę.

Mama wsuwa drobne dłonie w kieszenie eleganckich spodni w błękitnym kolorze.

– Wyjeżdżamy na kilka dni – informuje, mając na myśli siebie i dziadka. – Za kilka godzin mamy samolot. Uważaj na siebie podczas naszej nieobecności.

Często wyjeżdżają razem, gdy chcą odpocząć od zawrotnego tempa życia, które sami sobie nadali. Nigdy nie mówią, dokąd się udają, więc nawet nie próbuję o to pytać. Kiedy znikają, nie ma z nimi żadnego kontaktu,

a kiedy wracają, są opaleni, uśmiechnięci i jeszcze bardziej skuteczni w tym, co robią.

– Pamiętaj o przypince – mówię, uśmiechając się. Od dziecka zbieram przypinki z najróżniejszych miejsc świata. Kolekcjonuję je, przypinając do starej katany z czarnego dżinsu, na której ciężko już znaleźć wolne miejsce. – I niech dziadek nie zapomni kremu z filtrem, bo jeśli dobrze pamiętam, to rok temu dzwonił do mnie, zarzekając się, że już nigdy więcej nie wyjdzie na słońce.

Amelie odpowiada uśmiechem.

– Nie wspominaj o tym w jego obecności. – Mruga do mnie. – Idź już, bo za chwilę wydepczesz dziurę w tym nieziemsko drogim dywanie.

Parskam śmiechem i naciskam klamkę.

– Do zobaczenia, mamó.

Wychodzę, zanim zdąży odpowiedzieć. Tak rzadko nazywam ją mamą... Zwykle, kiedy to robię, brzmi to nienaturalnie, jednak nie dzisiaj. Dziś w moim głosie było słycać coś, czego od lat do siebie nie dopuszczałam. Coś, co Amelie na pewno dostrzegła, ale w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Tęsknota za miłością, której nigdy nie chciała lub nie potrafiła mi dać.

Podczas krótkiej podróży do mieszkania Jima wymieniamy się jedynie półsłówkami, oboje pogrążeni we własnych myślach. Często milczymy, lecz nie jest to dla nas niezręczne. Nigdy nie było. Jim jest moim przyjacielem, przy którym czuję się w stu procentach sobą, a co ważniejsze, nie wstydzę się tego, kim jestem. Ożywiam się, kiedy zatrzymujemy się na parkingu strzeżonego osiedla składającego się z niedużych, dwupiętrowych apartamentowców. Odpinam pas, po czym wychodzę z auta, trochę za mocno zatraskując drzwi.



– Denerwujesz się? – pyta Jim, gdy stajemy przed drzwiami jego mieszkania, z którego wnętrza dobiega głośny, męski śmiech.

Czy się denerwuję? Chyba nie. Kimkolwiek są nieznajomi mężczyźni, na pewno się polubimy. W końcu Jim się z nimi przyjaźni, więc muszą być przynajmniej trochę do niego podobni.

– W ogóle – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Domyślam się, że zdanie przyjaciół ma dla niego ogromne znaczenie, chociaż nie mówi o nich zbyt często. Jeśli już wspomina o którymś z nich, najczęściej jest to Louis. Wiem, że to z nim jest najbliżej. Zastanawiam się również, czy jeśli nie spodobam się któremukolwiek z nich, będzie to miało jakiś wpływ na moje relacje z Jimem.

– Nieziemsko wyglądasz, kochanie – mówi, całując mnie w policzek i otwiera drzwi.

Wchodzę pierwsza, choć wolałabym schować się za jego plecami, ponieważ moja pewność siebie nagle gdzieś ulatuje. Postanawiam skupić się na wystroju mieszkania, który trafia w moje gusta. Podłoga z ciemnego drewna idealnie kontrastuje ze ścianami przedpokoju pokrytymi grafitową, matową farbą. Zostawiam torebkę oraz płaszcz w nowoczesnej zabudowie z luster, po czym przechodzimy do salonu połączonego z kuchnią, w którym rozmawia ze sobą dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wysoki blondyn, urywa w pół zdania na nasz widok. Odkłada szklanekę z bursztynowym płynem na szklany stolik i wstaje. Jego dużo niższy, lecz równie jasnowłosy towarzysz robi to samo.

– Cześć – mówię, uśmiechając się nieśmiało.

Jim wysuwa się przede mnie, jakby czuł potrzebę osłonięcia mnie.

– Chłopaki...

– Paul White – przedstawia się ten wyższy i zdecydowanie przystojniejszy, podając mi rękę.

Kiedy Paul White patrzy na mnie uważnie niebieskimi oczami, już wiem, że jest kimś ważnym nie tylko w życiu mojego faceta, ale w ogóle dla świata. Ocenia mnie. Traktuje jak łamigłówkę do rozwiązania.

– Mel Prince – odpowiadam zdecydowanie i ściskam dłoń mężczyzny, który nie odzywa się ani słowem.

No dobrze, pierwsze dobre wrażenie mamy za sobą.

Jim rozgląda się po pomieszczeniu.

– Gdzie jest...

– Spóźni się – wchodzi mu w zdanie blondyn, który się nie przedstawił, zapewne Louis. Pamiętam, że Jim kiedyś wspominał o jego specyficznym, dla wielu odstrasającym sposobie bycia. – Na pewno poznał kogoś tuż po powrocie i teraz...

– Wystarczy, Louisie – tym razem odzywa się Paul. – Nie zapominaj, że jest z nami kobieta. Czego się napijesz, Mel?

Wciąż świdruje mnie tym nieustępliwym spojrzeniem, ale nie pozwolę mu się przejrzeć.

– Prosecco – odpowiadam z automatu, posyłając znaczące spojrzenie Jimowi, który sprawia wrażenie, jakby bał się odezwać.

Skruszony spuszcza wzrok, po czym podchodzi do barku stojącego po drugiej stronie pomieszczenia, a ja opadam na kanapę.

– Czyli to nie impreza na waszą cześć? – pytam, by nawiązać jakikolwiek kontakt.

Louis w odpowiedzi kręci tylko głową. Spuszczam wzrok na swoje dłonie spoczywające na odsłoniętych udach. Czuję się niezręcznie w tym towarzystwie. Nie mam pojęcia, jak taki ciepły człowiek jak Jim może

przyjaźnić się z tak oschłymi ludźmi. Może to tylko jakiś test? Może chcą poznać moją reakcję albo się ponabijać? Niemniej jednak nie powinni traktować mnie w ten sposób.

– Mel – odzywa się Jim znacząco.

A może to ja zbyt wiele oczekuję? Może nie czują potrzeby nawiązania ze mną kontaktu, ponieważ jestem dla nich jedynie ładną zabawką ich kolegi, niewartą uwagi. *Przestań ciągle wszystko analizować*, upominam się w myślach. Dopiero tu weszłam i od razu oceniłam nieznanomych, nie dając im szans na oswojenie się ze mną.

– Tak? – pytam, podnosząc na niego wzrok.

– Paul zadał ci pytanie.

Przenoszę spojrzenie na blondyna, bąkając przeprosiny, po czym chwytam kieliszek z jasnożółtym płynem, który stawia przede mną mój chłopak, i wypijam go do dna.

– Nic nie szkodzi – mówi Paul, a po jego twarzy błąka się uśmiech, przez co jeszcze bardziej mnie przeraża. – Pytałem, czym się zajmujesz.

– Poproszę jeszcze – zwracam się do Jima, wręczając mu pusty kieliszek. Żeby przetrwać to spotkanie i wyjść z niego bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym, potrzebuję zdecydowanie więcej alkoholu. – Pomagam Jimowi w kawiarni – wyjaśniam, przyglądając się szczupłej sylwetce Jima, który wraca z pełnym kieliszkiem Prosecco. – Dziękuję.

Tym razem nie upijam nawet łyka, tylko od razu odstawiam kieliszek na stolik. Jim siada obok mnie, a jego dłoń obejmuje mnie w talii. Może to dziwne, ale nie czuję się ani trochę bezpieczniej, mimo że jest blisko mnie.

– Nie uważasz, że praca w kawiarni nie jest zbyt ambitnym zajęciem? – pytanie zadaje Louis, czym mnie

zaskakuje, ponieważ odkąd tu jestem, nie odezwał się do mnie ani słowem.

Wzruszam ramionami.

– Dzięki temu mniej ambitnemu zajęciu – cytuję – mogę spędzać więcej czasu ze swoim ukochanym.

Ten porusza się nerwowo, chrząkając dyskretnie. Wiem, co w tej chwili sobie myśli. Jest mu wstyd, ponieważ jego przyjaciele uważają mnie za mało inteligentne stworzenie, dla którego praca w kawiarni jest szczytem możliwości.

– Skoro już się poznaliście, to może oprowadzę cię po mieszkaniu?

Wiem, że zbyt szybko się podnoszę, ale od razu czuję ogromną ulgę.

Splatam palce z jego palcami, po czym zostawiamy za sobą milczących mężczyzn, którym ewidentnie nie przypadłam do gustu. Idziemy tak szybko, że nie zauważam kolorów ścian, mebli czy dodatków. Zatrzymujemy się, dopiero gdy Jim zatrzaskuje drzwi jednego z pokoi.

– To moja sypialnia – mówi, opadając na duże łóżko.

Rozglądam się po jasnym pomieszczeniu, w którym panuje nienaganny porządek. Poza łóżkiem i dużą komodą, na której ktoś starannie ułożył kolekcję starych płyt, nie ma tu nic interesującego. I chyba tak powinna wyglądać sypialnia dorosłego faceta. Surowo i minimalistycznie.

W końcu mój wzrok zatrzymuje się na Jeffreyu. Na razie nie dopuszczam do siebie myśli, że moje postrzeganie go zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. To jak zachowuje się w towarzystwie swoich przyjaciół lekko mnie niepokoi. Już w progu mieszkania stał się wycofany, milczący, nieobecny. Zupełnie tak, jakby się bał, że ich rozczaruję.

– O czym myślisz? – pyta mnie, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

*O tym, że chciałabym stąd jak najszybciej wyjść, myślę, lecz zamiast tego uśmiecham się tylko i siadam obok niego, opierając głowę o jego ramię.*

– O tym, że mój chłopak ma całkiem ładne mieszkanie.

Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Jim wiele razy nalegał, żebyśmy spotykali się u niego, ale ja, nauczona wcześniejszymi doświadczeniami, wolałam spotykać się w neutralnych miejscach. Na początku naszej znajomości obiecałam sobie, że tym razem nie będę się spieszyć i jak na razie mi to wychodzi.

– Zamieszkaj ze mną – wypala nagle, a ja odsuwam się tak szybko, jakby właśnie powiedział, że jest chory na dżumę.

– Słucham? – pytam, nie dowierzając.

Chwyta moją dłoń, by samemu sobie dodać odwagi.

Naprawdę nie rozumiem, gdzie się podział facet, którym był przez ostatnie dwa miesiące...

– Wiem, że krótko się znamy, ale chciałbym mieć cię przy sobie.

W jego jasnozielonych oczach maluje się miłość i nadzieja. I choć nie chcę sprawiać mu przykrości, nie mogę się zgodzić, bo wiem, że wcale tego nie chcę.

– Jim, przepraszam, ale...

– Poczekaj – przerywa mi, wiedząc, co chcę powiedzieć. – Nie odpowiadaj od razu. To tylko luźna propozycja. Pomyśl o niej na spokojnie i wtedy mi odpowiedz.

Uśmiecham się delikatnie, po czym nachylam i zaczynam całować wąskie, męskie usta. Pocałunek pogłębia się, a dłoń Jima sunie po moim udzie w górę.

Tym razem nie powstrzymuję go, podekscytowana tym, co za chwilę nastąpi. Do tej pory nie dopuszczałam Jima do siebie na tyle blisko, ponieważ czułam, że nie jestem gotowa na tak poważny krok, a on to szanował. Dzisiaj chcę to zrobić. Siadam na nim okrakiem, nie przestając całować, a jego dłonie błędzą po moim ciele. Kiedy w końcu odnajdują suwak na plecach, sukienka opada mi z ramion, odsłaniając nagie piersi. W tym samym momencie ktoś puka do drzwi i nie czekając na zaproszenie, od razu wchodzi do środka. Natychmiast naciągam sukienkę na odsłonięte przed chwilą ciało i zsuwam się z kolan Jima.

– Czego chcesz, Lou? – warczy Jim, mierząc przyjaciela wrogim spojrzeniem.

Blondyn naprzemiennie przenosi spojrzenie to na mnie, to na Jeffreya, jakby do końca nie rozumiał, w czym właśnie nam przeszkodził, a kiedy w końcu to do niego dociera, jego oczy rozbłyskują, jakby tuż za nimi zapaliła się żarówka.

– Przepraszam cię, stary – mówi, drapiąc się po karku.  
– Chciałem tylko powiedzieć, że gość honorowy właśnie dotarł i jesteśmy w komplecie. Nie wiedziałem, że...

– Zaraz do was dołączymy.

Jim Jeffrey jest zły. Po raz pierwszy widzę go w takim nastroju i nie ukrywam, że trochę mnie to bawi. Gdy Louis wychodzi, odwracam się do Jima, który od razu zasuwa zamek mojej sukienki. Wstaję i kieruję się do drzwi, a on za mną.

– Przepraszam, Mel...

– Przestań w kółko przepraszać za rzeczy, na które nie masz wpływu – wchodzę mu w słowo.

Przystaje, chwytając mnie za rękę, więc odwracam się do niego.

– Daj im szansę.

Marszczę brwi, nie rozumiejąc.

– Chłopakom – wyjaśnia. – Lou zawsze był dość stronniczy w kontaktach z kobietami, ale Paul... Nie mam pojęcia, co mu się stało. Nigdy się tak nie zachowywał. Dziękuję ci, że wciąż tu jesteś.

– Nie tak łatwo mnie wystraszyć – zapewniam i naciskam kławkę.

Zostawiamy za sobą ciężkie powietrze pachnące zapowiedzią seksu, który nie doszedł do skutku. Wchodząc do salonu, modłę się w duchu, by ten przyjaciel Jima, którego Louis nazwał *gościem honorowym*, okazał się inny od tych, których już poznałam.

Paul z Louistem siedzą na kanapie, a trzeci mężczyzna opiera się biodrem o jej oparcie. Serce tłucze się w mojej piersi tak mocno, że zaraz połamię mi żebra. To niemożliwe! Nie tutaj! Nie w takich okolicznościach!

– O co chodzi? – pyta Jim szeptem, widząc, że stoję jak wryta.

Całą siłą woli próbuję zmusić się do zrobienia choćby jednego kroku i wtedy mężczyzna, na którego wszyscy czekali, się odwraca. Nawet z tej odległości widzę, jak na mój widok jego miodowe oczy przecina błysk. Błysk najprawdziwszego gniewu. Nie wierzę, że to znowu się dzieje. Nie wierzę, że znowu muszę się zmierzyć z Rhysem Mariposą.

## Rozdział 18

Ruszam do barku, gdy Jim ściska przyjaciela na powitanie. Ręce za bardzo mi drżą, bym mogła nalać sobie whisky, ale wygląda na to, że mam szczęście, ponieważ ktoś zostawił szklanę z bursztynowym płynem na blacie barku. Nie dbając o to, kto jest jej właścicielem, wypijam niemal całą zawartość, krztusząc się przy tym. Whisky jest tak mocna, że na chwilę odbiera mi oddech.

Ze szczękiem odstawiam szklanę i odwracam się do mężczyzn. Oczy wszystkich zwrócone są na mnie. Louis patrzy obojętnie, Paul wydaje się rozbawiony i mam wrażenie, że wie o tym, że kiedyś sądziłam, że Motyl chce stać się częścią mojego świata, a nie być tylko jego epizodem. Jim zaś przygląda mi się ze ściągniętymi brwiami, jakby się martwił, a Rhys... Nie mam odwagi, żeby na niego spojrzeć. Najchętniej wyszłabym stąd i nigdy nie wróciła, ale nie mogę tego zrobić. Jim na to nie zasługuje. Wracam do pozostałych, chrząkając dyskretnie. Gdy jestem pewna, że głos mnie nie zawiedzie, wyciągam rękę w stronę Motyla.

– Długo kazałeś na siebie czekać – mówię, ściskając tak dobrze znaną dłoń.

Kiedy unosi jedną brew, zauważam, że jego oczy ciemnieją o kilka tonów.

– Gdybym wiedział, jak wyborowe towarzystwo tu zastanę, zapewniam cię, że zjawiłbym się wcześniej.

Rozciągam usta w sztucznym uśmiechu.

– Miło mi cię poznać...

– Rhys – syczy, a miodowe oczy stają się tak ciemne jak whisky, którą przed chwilą wypiałam.



– Rhys – powtarzam, wciąż się uśmiechając.

Jim kładzie dłoń na moje ramię.

– Może usiądziemy? – proponuje nerwowo.

– Wypiłeś moją Chivas – ciągnie Motyl, zupełnie nie zwracając uwagi na swojego przyjaciela.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nasze dłonie wciąż są złączone, więc szybko zabieram swoją. To musiało wyglądać naprawdę dziwnie. Mam nadzieję, że nikt z obecnych, a szczególnie Jim, niczego nie zauważył.

– Wybacz. – Nic nie poradzę, że w moim głosie nie słychać ani odrobiny skruchy.

– Mel – odzywa się Jeffrey znacząco.

Odrywam wzrok od Rhysa, pozwalając Jimowi zaprowadzić się do kanapy. Kiedy siadamy naprzeciw Louisa i White'a, mój wzrok pada na kieliszek wina pozostawiony przeze mnie wcześniej. Sięgam po niego, po czym wypijam zawartość do połowy i opieram się o wygodne oparcie. Dłoń Jima czule gładzi moją skórę tuż nad kolanem.

– Zamierzasz stać tak cały wieczór czy opowiesz nam, jak było w Tokio? – zwraca się Paul do Mariposy.

Upijam niewielki łyżeczek wina, patrząc, jak mężczyzna zajmuje miejsce pomiędzy przyjaciółmi – naprzeciw mnie. Robi to celowo. Sprawdza mnie. Testuje.

– Nie będę was zanudzał sprawami zawodowymi – mówi, nie odrywając wzroku od Jima. – Wolę posłuchać, co zmieniło się u was, bo z tego, co widzę – wskazuje od niechcienia na mnie – zmieniło się wiele. Długo się znacie?

Uśmiecha się, ale ton jego głosu jest tak zimny, że wywołuje ciarki na całym ciele, jakby za jego sprawą temperatura w mieszkaniu spadła o kilka stopni. Mam ochotę zwiewać gdzie pieprz rośnie.

– Spotykamy się od dłuższego czasu – mówi Jim, dzielnie znosząc miazdzące spojrzenie Rhysa. – Poznaliśmy się z Mel w twoim klubie i od razu zaiskrzyło.

A więc mój chłopak jest menadżerem klubu, którego właścicielem jest mój były chłopak. *Super!* Kiedy mimowolnie wracam wspomnieniami do dnia, w którym moja przyjaciółka puściła pijackiego pawia na kosztowną marynarkę Jima, kąci moich ust wędrują w górę. Od tych wydarzeń minęły zaledwie dwa miesiące, a mi wydaje się, jakby to było wieki temu.

– Jimmy – odzywa się niespodziewanie Louis – zapomniałem przeprosić, że wam przerwałem.

O cholera! Co on wyprawia? Opróżniam kieliszek do dna. Jeśli zaraz nie przestanę pić, to źle się to dla mnie skończy. Już czuję, że kręci mi się w głowie i nie wiem, czy odpowiedzialność za to ponosi alkohol, czy zaistniała sytuacja.

– Co takiego przerwałś Jimowi, Lou? – pyta Mariposa, wbijając we mnie lodowate spojrzenie.

Jest zły, *ba!*, jest wściekły i nieszczęśliwie stara się to ukryć.

Uśmiecham się w duchu, czując satysfakcję na myśl o tym, że to mój związek z Jimem doprowadza go do szału.

– Rhys, chodź zapalić – odzywa się Paul i wstaje. – Rhys – powtarza z naciskiem, kiedy ten go ignoruje.

Motyl podnosi się powoli, nie odrywając wzroku od mojej twarzy, po której błąka się wyraz triumfu.

– Idę z wami! – woła Louis zdecydowanie głośniejszym głosem, niż powinien.

Chyba jestem naprawdę pijana, ponieważ cała ta sytuacja wydaje mi się niesamowicie śmieszna. Gdy

mężczyźni w końcu znikają za drzwiami prowadzącymi na taras, Jim podrywa się na równe nogi.

– Domyślasz się, o co mu chodziło? – pyta, przeczesując nerwowo włosy. Nie wiem, co powiedzieć, więc kręcę jedynie głową. – Już nieraz widziałem go wściekłego, ale nigdy na mnie.

Wstaję i podchodzę do niego.

– Na pewno nie jest zły na ciebie – zapewniam.

*Jest wściekły na mnie.*

Myśl o mnie z innym mężczyzną doprowadza go do szału. I jeśli mam być szczerą, to kompletnie tego nie rozumiem. To on mnie nie chciał. Odrzucił mnie, kiedy byłam gotowa zrobić dla niego dosłownie wszystko. Czuję, jak niewidzialne szwy na moim sercu zaczynają się rozchodzić, a obsesja na jego punkcie ponownie budzi się do życia.

– Mel, znam go. Patrzył na mnie, jakby chciał mnie zabić.

Jeśli zaraz czegoś nie zrobię, ponownie wpadnę w jej sidła i wszystko, co zrobiłam, by zepchnąć ją w najczarniejsze zakamarki mojej duszy, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Wydaje ci się. Jest zmęczony długą podróżą i może trochę nie ma humoru. – Żeby dodać wiarygodności swoim słowom, wspinam się na palce i muskam ustami usta Jima. – Nie zamartwiaj się wszystkim wokół. Nie widzieliście się tyle miesięcy. Usiądźcie razem i nacieszcie się sobą jak prawdziwi kumple, a ja chętnie wrócę do domu.

*Ja również nie widziałam go kilka miesięcy, ale nie mogę ci o tym powiedzieć.*

– Nie chcę, żebyś wracała – wyznaje, ściskając moją dłoń. – Chcę, żebyś została ze mną do rana.

Jego błagalne spojrzenie sprawia, że nie potrafię mu odmówić.

– Dobrze – zgadzam się. – Tylko obiecaj mi, że wyluzujesz.

– Obiecuję – odpowiada z uśmiechem.

Wtulam się w jego klatkę piersiową, wciągając w nozdrza zapach jego delikatnych perfum. Być może dzisiejszy wieczór jest jeszcze do uratowania. Spoglądam w stronę dużych drzwi balkonowych, zza których dochodzą dźwięki prowadzonej rozmowy, jednak z tej odległości nie jestem w stanie odróżnić ani jednego słowa.

– Opowiedz mi o nich – proszę, odsuwając się, jednak wciąż ściskam jego dłoń.

Siadamy na kanapie bokiem, zwróceni do siebie twarzami.

– Louisa i Paula znam niemal całe życie – zaczyna, a jego twarz rozpromienia się nieco. – Nasi rodzice się przyjaźnili.

– Czy Louis i Paul to...

– Bracia – kończy za mnie. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, bo są totalnie różni, ale to rodzeństwo. Paul jest kilka lat ode mnie starszy, ale z Lou siedziałem w jednej ławce przez niemal wszystkie szkolne lata.

Jak teraz o tym myślę, to nie różnią się od siebie jakoś drastycznie. Mają identyczny, charakterystyczny odcień włosów i nieco podobne rysy twarzy. Paul jest o wiele przystojniejszy, ale widać, że są ze sobą spokrewnieni.

– A Rhys? – pytanie wymyka się z moich ust niekontrolowanie.

– Singha poznałem dzięki Paulowi – mówi, niczego nie podejrzewając. – To on zna go najdłużej. Poznali się tuż przed wyjazdem Paula do college'u. Może to śmieszne, co powiem, ale zawsze chciałem być taki jak

oni. Obaj byli dla mnie autorytetem przez kilka ładnych lat.

To wyjaśnia, dlaczego tak dziwnie zachowuje się w ich towarzystwie, jednak nie jestem przekonana, czy tak powinna wyglądać przyjaźń dorosłych mężczyzn. Najwidoczniej mój chłopak zapomniał, że nie są już małymi chłopcami i nadal pragnie dorównać starszym kolegom. Dziwne jest to, że nazwał Rhysa Singhem, a nie Mariposą. Czyżby Motyl nie zdradził najbliższemu przyjacielowi swojej prawdziwej tożsamości? Kusi mnie, żeby o to zapytać, ale wiem, że nie mogę nic powiedzieć. Jeszcze nie.

– Nie musisz za wszelką cenę starać się być jak inni – mówię, patrząc prosto w jego zielone oczy. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrym i wartościowym człowiekiem jesteś. Nie rób z siebie kogoś innego, tylko dlatego, że ktoś ci imponuje.

Mam nadzieję, że weźmie sobie do serca moją radę, ponieważ naprawdę tak myślę.

– Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na tak mądrą dziewczynę.

Opieram skroń o jego ramię, zamykając oczy. Gdyby wiedział, jakich głupstw dopuściłam się, kiedy pozwoliłam sercu wziąć górę nad rozumem, nigdy nie nazwałby mnie mądrą. W chwili, w której obiecuję sobie, że do końca wieczoru nie tknę więcej alkoholu, Paul, Louis i Rhys wracają do środka, a zapach dymu papierosowego i wiatru wypełnia pomieszczenie.

– Nie wiem jak wy, ale ja mam w ustach pustynię – stwierdza Louis.

Jim najwidoczniej poczuwa się do obowiązku częstowania każdego z osobna, bo wstaje natychmiast i rusza do barku.

– Lou, mógłbyś mi pomóc? – woła do przyjaciela, a ten bez słowa do niego dołącza.

Dlaczego poprosił o pomoc Louisa, a nie mnie? Ze zdenerwowaniem bawię się palcami, żałując, że Jim nie zgodził się, bym wróciła do domu. Rhys kolejny raz nieoczekiwanie pojawia się w moim życiu. Kolejny raz jestem zmuszona udawać, że go nie znam. I choć bardzo się staram nie dopuszczać do siebie wspomnień wspólnie spędzonych chwil, to średnio mi to wychodzi. Zwilżam językiem wargi, mimowolnie czując na nich smak jego ust. Co jest ze mną nie tak?!

– O czym myślisz, Melody?

Niski i słodki jak ciekły karmel głos sprawia, że wszystkie włoski na ciele stają mi dęba. Otulam się ramionami, po czym podnoszę wzrok na mężczyzn siedzących naprzeciw mnie.

– O niczym, co powinno cię interesować – odburkuję Rhysowi, wiedząc, że Jim mnie nie słyszy.

Wstaje, okrąży stół i siada tak blisko mnie, że czuję ciepło jego ciała. Jeszcze ciaśniej otulam się ramionami, ale się nie odsuwam.

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy ciebie – mówi wciąż tym samym słodkim tonem.

Pilnuję się, żeby nie spojrzeć mu w oczy, ponieważ wiem, że kiedy to zrobię, przepadnę. Wbijam więc wzrok w ścianę za plecami Paula, który przygląda się nam z niekrytym zaciekawieniem.

– Jaka szkoda, że nie interesowałam cię jakieś pół roku temu.

Mam gdzieś, że White mnie słyszy. Skoro przyjaźni się z Rhysem najdłużej, zapewne jest w stosunku do niego lojalny. Przynajmniej powinien być.

Kątem oka zauważam, jak Mariposa nachyla się w moją stronę. *Zbyt blisko*. Jest zdecydowanie zbyt blisko. I choć w tej chwili nienawidzę go każdą komórką, jaką posiadam, to boję się, że ciało może mnie zdradzić.

– Interesowałaś mnie o wiele wcześniej niż pół roku temu – szepcze mi wprost do ucha, a jego ciepły oddech łaskocze moją skórę.

– Poznaliśmy się pół roku temu – przypominam również szeptem. – Nie mogłam interesować cię wcześniej.

Cichy śmiech rozbrzmiewa tuż przy moim uchu.

– Jesteś pewna, Melody?

Zaciskam powieki. Nienawidzę go. Nienawidzę każdej sekundy, jaką mu poświęciłam. Nienawidzę każdej łyzy, jaką przez niego wylałam.

– Jestem...

Brzęk stawianych na stole szklanek sprawia, że urywam w pół zdania.

Otwieram oczy, z ulgą stwierdzając, że Rhys odsunął się na drugi koniec kanapy. Wykorzystuję fakt, że Jim jeszcze nie usiadł i podrywam się na równe nogi.

– Możemy porozmawiać? – pytam, starając się ukryć drżenie głosu.

Jeffrey posyła pytające spojrzenie Paulowi, lecz ten jedynie wzrusza ramionami, upijając łyk drinka.

– Coś się stało? – dziwi się zaniepokojony Jim, gdy odchodzimy kilka kroków.

*Pieprzony Mariposa się stał!*

– Przepraszam cię, ale jednak chciałabym wrócić do domu – mówię, unikając wzroku mężczyzny. – Koszmarnie się czuję.

– Jesteś blada jak ściana – zauważa z niepokojem. – Nie pozwolę ci samej wracać w takim stanie. Poza tym coś mi obiecałaś, pamiętasz?

No tak. Miałam spędzić z nim tę noc.

– Jim, nie będziesz miał dzisiaj ze mnie żadnego pożytku.

– Chcę tylko, żebyś spędziła noc w moim domu. Nic więcej – zapewnia. – Jeśli nie czujesz się na siłach siedzieć z nami, zamknij się w sypialni. Tylko nie zostawiaj mnie dziś samego.

*To tylko jedna noc, powtarzam sobie w myślach. Tylko jedna noc.*

– Dobrze – zgadzam się. Chcę jak najszybciej znaleźć się z dala od Rhysa. Nieważne, czy będzie dzielić nas kilometr, piętro czy jedynie ściana. Ważne, że uwolnię się od jego przeszywających oczu, od których ciężko oderwać mi wzrok. – Przepraszam, Jim.

– Daj spokój. – Przytula mnie mocno. – Trafisz sama?

Mruczę odpowiedź prosto w jego koszulę.

Tak dobrze mi w jego ramionach. *On może dać ci prawdziwe szczęście*, podpowiada głos z tyłu głowy. Naprawdę chcę się z nim zgodzić. Bez wahania przyznałabym mu rację, jeśli odezwałby się trzy godziny temu, ale teraz... To wszystko jest zbyt skomplikowane, a moje uczucia tak złożone i niezrozumiałe dla mnie samej, że nie potrafię ubrać ich w słowa. Muszę odpocząć.

\*\*\*

Nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok, rozmyślając o Motylu. Jak to możliwe, że los po raz kolejny postanowił skrzyżować ze sobą nasze drogi? I dlaczego akurat teraz, kiedy moja znajomość z Jimem zaczyna nabierać odpowiedniego tempa?

– Rhys – bezgłośnie poruszam ustami, wpatrując się w sufit.

Nie chcę go w swoim życiu. Obiecał, że zniknie z niego na dobre, tymczasem okazuje się, że jest jednym z najlepszych przyjaciół faceta, z którym się związałam.



Prycham. Koleś, który pisał scenariusz do mojego życia, musiał mieć niezwykle poczucie humoru.

Wmawiam sobie, że go nienawidzę. To, jak mnie dzisiaj potraktował... Jakbym była głupią, nic niewartą laleczką, którą kiedyś się zabawił i która nic dla niego nie znaczyła.

Co gorsze, w ogóle nie starał się ukryć, że właśnie to o mnie myśli. Uważa, że nadal ma nade mną władzę. Najgorsze jest to, że może ją mieć.

W tej chwili nienawidzę siebie bardziej niż jego. Chwytam poduszkę i przyciskam ją sobie do twarzy. Dźwięki prowadzonych przez mężczyzn rozmów cichną nieco. „Interesowałaś mnie o wiele wcześniej niż pół roku temu”, rozbrzmiewa w mojej głowie. Co to, do cholery, miało znaczyć?! Mówił poważnie, czy chciał się popisać przed przysłuchującym się rozmowie White'em? Chociaż nie sądzę, by Rhys Mariposa odczuwał potrzebę popisania się przed kimkolwiek, jednak jego słowa pozbawione są sensu. Nie znał mnie wcześniej. Nie miał pojęcia o moim istnieniu aż do dnia, w którym go pocałowałam, a i wtedy dowiedział się tylko, jak mam na imię.

Kolejna rzecz, za którą go nienawidzę: *t a j e m n i c z o ś ć*. Sposób, w jaki ze mną rozmawia... Odzywa się z niewymuszoną nonszalancją, a każde jego słowo jest doskonale przemyślane. Każde zdanie, które wychodzi z jego ust, wywołuje na odbiorcy zamierzone emocje. On gra. I chce wciągnąć w tę grę właśnie mnie, ale to mu się nie uda.

Zdejmuję poduszkę z twarzy, obracam się na bok i przytulam do niej. W mieszkaniu zrobiło się zupełnie cicho albo jestem tak zmęczona, że nie zwracam uwagi na dobiegające zza drzwi odgłosy. Jeszcze przez chwilę walczę z powiekami, aż w końcu pozwalam im opaść, mając nadzieję na spokojny sen.

\*\*\*

Jest mi gorąco i nie mogę się ruszyć. W gardle wyschło mi tak bardzo, że czuję nieprzyjemny ból podczas połykania śliny. Z trudem zrzucam z klatki piersiowej bezwładną rękę Jima, po czym wysuwam biodra spod jego nogi przerzuconej przez moje ciało. Nie pamiętam, kiedy przyszedł do łóżka, ale nawet nie zdążył się rozebrać. Patrzę na ekran telefonu: trzecia pięćdziesiąt sześć. Za oknem mającą pierwsze oznaki świtu, lecz nie mam czasu się im przyglądać. Jeśli zaraz się nie napiję, to umrę. Najciszej jak potrafię wychodzę z sypialni, ruszając w kierunku kuchni. Przystaję mniej więcej w połowie drogi, gdy do moich uszu dobiega dźwięk prowadzonej półszepem rozmowy. Odwracam głowę w stronę otwartych drzwi balkonowych. Muszę mocno się skupić, by z tej odległości odróżnić padające słowa, ale w końcu mi się to udaje. Wyraźnie słyszę zadane przez Paula pytanie:

– Zamierzasz powiedzieć Jimowi?

– Na razie wiesz tylko ty i niech tak pozostanie – odpowiada Rhys. – Przynajmniej dopóki nie wymyślę planu B.

– Tu wcale nie chodzi o Jima, prawda? Chodzi o nią. Rozmyśliłeś się, bo coś do niej czujesz.

Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź.

– Nie rozmyśliłem się, White – warczy Mariposa. – Po prostu muszę zrobić to w sposób, który jej nie zrani.

Paul śmieje się smutno.

– Nie ma sposobu, który uchroni dziewczynę, Rhys. Dobrze ci radzę: doprowadź do końca to, co zacząłeś.

Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Czy to możliwe, że mówią o mnie? Jeszcze tylko kilka zdań dzieli mnie od poznania jednej z tajemnic Motyla. Na samą myśl o tym moje wnętrze wywracają się do góry nogami. Z niecierpliwością czekam na dalszy ciąg rozmowy, jednak niespodziewanie ktoś zabiera moje

bezpieczne schronienie, którym jest ciemność, gdy pomieszczenie wypełnia ostre światło.

– Co ty tu robisz, Mel? – pyta Jim, mrużąc oczy od światła.

– Przepraszam, ja... – Czuję się, jakby właśnie przyłapano mnie na najbardziej wstydlivej czynności świata. – Chciało mi się pić i...

Na domiar złego Rhys i Paul wchodzą do środka. Na mój widok przez twarz blondyna przemyka cień zaskoczenia, lecz Motyl patrzy na mnie, jakby doskonale wiedział, że podsłuchiwałam.

– Wracaj do łóżka, kochanie – mówi Jim ciepłym, nieco bełkotliwym głosem. Dopiero teraz zauważam, jak mocno jest wstawiony. – Przyniosę ci wodę.

Dwa razy nie trzeba mi powtarzać. Bąkam słowa pożegnania, odwracam się na pięcie i niemal biegiem wracam do sypialni mojego chłopaka. Zatrząskuję drzwi, opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę. Raz po raz odtwarzam w głowie rozmowę, której byłam świadkiem. Plan. Dziewczyna. Rhys i uczucie, którym kogoś obdarzył. To wszystko nie trzyma się kupy. Rozmyślam o tym tak intensywnie, próbując doszukać się drugiego dna, że w końcu zaczyna mi się mylić, kto co powiedział.

Nagle ktoś napiera na drugą stronę drzwi, o które wciąż się opieram. Pewna, że to Jim, odsuwam się, lecz nie wstaję, a moje plecy dotykają teraz przyjemnie zimnej ściany. Podciągam kolana pod brodę, oplatając nogi rękami.

Jeden rzut oka wystarcza by stwierdzić, że mężczyzna, którego wpuściłam do sypialni, nie jest Jeffreyem. Podrywam się na równe nogi, a każdy włossek na moim ciele staje dęba.

– Co ty tu robisz? – pytam, nie rozpoznając własnego głosu.

Blondwłosa mężczyzna podchodzi do łóżka, a stukot obcasów jego eleganckich butów jest wyjątkowo głośny dla moich uszu. Stawia na szafce nocnej szklankę z wodą i się odwraca. Kiedy stoję z White'em twarzą w twarz, czuję niewytłumaczalny strach.

– Jim poprosił mnie, bym ci to przyniósł – odpowiada powoli, ponownie mierząc mnie tym oceniającym spojrzeniem jasnych oczu.

– Nie mógł tego zrobić sam?

Nie wygląda, jakby był pijany. Chyba tylko Jim upił się do nieprzytomności.

– Jest zajęty. – Robi krok do przodu, a ja automatycznie się cofam. Przełykam głośno ślinę, gdy chłód ściany ponownie przenika moją skórę. – Jest czwarta rano, a ty zadajesz bardzo głupie pytania, Prince.

Nie podoba mi się ton, jakim się do mnie odnosi.

– Czego chcesz?

W półmroku, który spowija pokój, lśnią jego białe zęby. Jest naprawdę straszny, a ja nie mam żadnej drogi ucieczki.

– Ostrzec cię – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Nie próbuj wejść do życia Rhysa. On nie jest mężczyzną dla ciebie.

– Słucham? – wybałuszam oczy. Spodziewałam się usłyszeć naprawdę wszystko, ale nie coś takiego. – Nie znasz mnie. Nie masz prawa mówić mi, kto jest dla mnie odpowiedni.

Paul zamyka oczy, odchylając głowę do tyłu.

– Wiem o tobie więcej, niż myślisz – wyznaje, a jego oczy ponownie wpatrują się w moje. – A teraz ty wiesz więcej, niż powinnaś. – Otwieram usta, ale unosi rękę, uciszając mnie. – Po prostu trzymaj się Jima, a ja

zadbam o to, by twój kontakt z Rhysem wyglądał tak jak dotychczas.

– Dobranoc – tylko tyle wydostaje się z mojego zaciśniętego gardła.

Na szczęście wystarczy, by Paul opuścił bez słowa pomieszczenie, którego metraż nie jest w stanie dłużej pomieścić nas oboje. Ponownie osuwam się na podłogę. Nie wydawało mi się. Mariposa od samego początku był ze mną szczery. W tej dziwacznej pokręconej grze chodzi o coś więcej. Chodzi o mnie.

Jest zbyt późno, żeby teraz o tym myśleć. W moim życiu dzieje się coś naprawdę dziwnego, a ja potrzebowałam kilku miesięcy, żeby to zauważyć. A może już wcześniej to widziałam, tylko nie dopuszczałam tego do siebie, ignorując wszystkie sygnały, jakie wysyłał mi instynkt? *Później*. Pomyślę o tym później. Teraz potrzebuję kogoś, kto nie będzie zadawał zbędnych pytań. Kogoś, kto mnie przytuli i samą obecnością sprawi, że poczuję się bezpieczna. Potrzebuję Jima.

\*\*\*

Podnoszę rolety, chcąc wpuścić do pokoju nieco światła, lecz wita mnie szare, zachmurzone niebo. Jest siódma trzynaście, a mimo to czuję się wypoczęta. Tym razem nie śniło mi się nic nieprzyjemnego, więc przynajmniej śpiąc odpoczęłam od wczorajszych, a właściwie dzisiejszych wydarzeń. Siadam na wygodnym pufie, spoglądając na wciąż śpiącego Jima. Leży na plecach przykryty kołdrą po samą brodę. Pościel unosi się i opada rytmicznie w miejscu, w którym znajduje się jego klatka piersiowa.

Nie muszę iść dzisiaj do kawiarni. Oboje z Jimem stwierdziliśmy, że po nieudanym dla mnie przyjęciu powitalnym przyda nam się wolny dzień. Dzięki temu, że wczorajszego wieczoru bardzo się pilnowałam, czuję się świetnie i mogłabym pracować, ale Jim... Podejrzewam,

że mocno odczuje nadmiar wypitego alkoholu. Na myśl o skacowanym Jimie uśmiecham się czule. On jest taki... normalny. Prosty i nieskomplikowany w pozytywnym znaczeniu tych słów. Mogłabym go pokochać. I naprawdę chcę to zrobić.

Dobrze pamiętam, że wczoraj zaproponował mi wspólne mieszkanie. Obiecałam mu, że się zastanowię, ale to wciąż za wcześnie na tak poważne kroki. Ledwie się znamy. Ta decyzja będzie musiała jeszcze poczekać. Teraz muszę już wracać, zanim mama i dziadek postawią na nogi całą policję. Od mojego powrotu bardzo pilnują tego, gdzie i z kim aktualnie jestem, jakby się bali, że znowu gdzieś zniknę. Wstaję, podchodzę do Jima, po czym pochylam się i delikatnie całuję jego lekko rozchylone usta. Jęczy cicho, ale się nie budzi. Jeszcze raz go całuję i wychodzę, zamykając za sobą drzwi.

W salonie unosi się ciężki zapach whisky oraz dymu papierosowego. Spodziewałam się bałaganu, lecz nigdzie nie mogę dostrzec choćby jednej brudnej szklanki. Z radością przyjmuję również fakt, że przyjaciół Jima także nie widzę. *Szczególnie jednego z nich...* W przedpokoju otwieram przesuwne drzwi szafy, po czym wyjmuję z niej płaszcz i torebkę i wychodzę z mieszkania. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że White mnie nie lubi. Zaszłam mu za skórę do tego stopnia, że zrobi wszystko, żebym prędko nie poczuła się swobodnie w jego towarzystwie. Na samo wspomnienie jego odwiedzin w sypialni Jima czuję, jak przechodzą mnie dreszcze.

I choć teraz wydaje mi się to głupie, to w tamtej chwili naprawdę się go bałam. Nie chodziło o to, że mógłby mi zrobić krzywdę fizyczną. Jestem pewna, że nie odważyłby się na to w domu pełnym ludzi. Po prostu w jego spojrzeniu jest coś, co napawa mnie najprawdziwszym strachem i w żaden sposób nie potrafię tego racjonalnie wyjaśnić. Najciszej jak potrafię opuszczam mieszkanie Jeffrey'a, zastanawiając się, co

Paul miał na myśli, mówiąc, że teraz wiem więcej, niż powinnam. Co wiem? Kręcę głową. To wszystko jest tak pogmatwane, że sama zaczynam się w tym gubić. Głos z tyłu głowy podpowiada mi, że bym odpuściła i skupiła się na sobie.

Naprawdę chciałabym go posłuchać, ale nie mogę. W tym wszystkim jest zbyt wiele niedomówień. Padło naprawdę dużo słów, nad których sensem nie miałam czasu się zastanowić, a które teraz nie dają mi spokoju.

*W tym wszystkim chodzi o ciebie. Interesowałaś mnie o wiele wcześniej niż pół roku temu. Wiesz więcej, niż powinnaś* – te zdania raz po raz przewijają się w mojej głowie, tworząc zawiłą plątaninę myśli. Szybkim krokiem przechodzę na drugą stronę ulicy, po czym skręcam w prawo.

Podeszwy moich butów rytmicznie uderzają o betonowy chodnik. Słyszę, jak za moimi plecami zwalnia samochód, lecz nic sobie z tego nie robię. Kiedy sięgam do torebki po telefon, czyjeś ręce zaciskają się boleśnie na moich barkach i wciągają do samochodu. Telefon wypada mi z rąk, uderzając o twarde podłoże. Wszystko dzieje się tak szybko, że nawet nie zdążę pomyśleć o tym, by krzyknąć. Odwracam gwałtownie głowę i przez ułamek sekundy widzę znajomą twarz napastnika, a uderzenie serca później ogarnia mnie ciemność.

## Rozdział 19

*Leżę na drewnianym pomoście, opierając głowę o udo Rhysa i słucham, jak rozmawia przez telefon. Nie skupiam się na słowach, jakie wypowiada, ale na dźwięku jego głosu oraz wibracjach, jakie wywołuje w całym moim ciele. Dostłownie czuję go w miejscach, o których wstydzę się nawet myśleć. W chwilach takich jak ta zastanawiam się, jak nazwać to, co do niego czuję. Miłość wydaje się zbyt dużym słowem, ale zauroczenie jeszcze bardziej tutaj nie pasuje. Wiem, że Rhys boi się tego uczucia tak samo jak ja.*

*Jest zbyt intensywne jak na naszą krótką znajomość. Pojawia się znikąd, gdy tylko znajdujemy się blisko siebie, po czym wchodząc w nasze dusze, próbuje scalić je w jedno. To najstraszniejsze, ale i najpiękniejsze doznanie, z jakim przyszło mi walczyć. Tak, bronię się przed nim, widząc, co ze mną robi. Podporządkowuje mój umysł, wszystko sprowadzając do Mariposy. Wprawia mnie w obsesję, która mnie przeraża i fascynuje zarazem.*

*Ostatecznie ulegam tej wyjątkowości, bojąc się, że pewnego dnia po prostu zniknie, zostawiając nas samych sobie. Tylko że my jesteśmy bez niej kalecy. Nie potrafimy patrzeć sobie w oczy bez wyrzutów sumienia, jakbyśmy robili coś złego, dopóki się nie zjawi i nie poprowadzi nas odpowiednim torem.*

*– O czym myślisz? – pyta Rhys, patrząc na mnie z góry.*

*Nawet nie wiem, w którym momencie przestał rozmawiać przez telefon.*

*– O niczym ciekawym – odpowiadam.*

*W świetle dnia nie potrafię się przed nim uzewnętrznić. Dopiero późną nocą się otwieram, a następnego dnia on*



*udaje, że nigdy nie powiedziałam mu, że już jest całym moim światem i że cholernie się tego boję.*

*– Wszystko, co ciebie dotyczy, jest dla mnie ciekawe – mówi, czule gładząc dłonią mój policzek.*

*– To, co w mojej głowie także?*

*Pochyla się i całuje mnie w czoło.*

*– Przede wszystkim to, co w twojej głowie, Melody.*

*Uśmiecham się szeroko. Jeszcze nigdy dźwięk mojego imienia nie sprawiał mi takiej przyjemności.*

*– Obiecuj mi, że kiedy wrócimy do normalnego życia, zrobisz wszystko, żebyśmy znów się odnaleźli.*

*On także się uśmiecha, lecz w jego oczach maluje się smutek.*

*– Uważaj, o co mnie prosisz.*

*Siadam i opieram policzek o jego ramię.*

*– Dlaczego?*

*Uwielbiam zapach jego skóry. Działa na mnie uspokajająco i pobudzająco zarazem.*

*– Ponieważ ja zawsze dotrzymuję danego słowa.*

*Marszczę brwi.*

*– Twierdzisz, że to wada? – pytam, spoglądając na jego oświetloną promieniami jesiennego słońca twarz.*

*Wzrusza ramionami.*

*– Może nie wada, a przekleństwo.*

*Siadam na nim okrakiem i chwytam jego twarz w dłonie.*

*– Z pełną świadomością ryzyka, jakie to ze sobą niesie, proszę cię, żebyś obiecał mi, że zrobisz wszystko, by stać się częścią mojego świata.*

*Patrzy mi głęboko w oczy, jakby szczegółowo analizował każde moje słowo.*

– Nawet gdy sama nie będziesz tego chciała?

*Głupek. Dlaczego miałabym tego nie chcieć? Przecież to spełnienie moich największych marzeń. Być jego codziennością, kochać go bez świadomości, że za kilka dni ta miłość się skończy.*

*Całuję delikatnie jego ciepłe wargi, ledwie wsuwając w nie język, po czym prostuję się, mówiąc:*

– *Przede wszystkim wtedy, Rhys.*

Łapczywie wciągam powietrze. Ten sen... Właściwie to wcale nie był sen. To wspomnienie jednego z ostatnich dni spędzonych z Mariposą niedługo przed tym, jak zakończyliśmy naszą intensywną znajomość. Niesamowite, odwzorowane niemalże jeden do jeden wspomnienie jednej z najszcześniejszych chwil w moim życiu. Chyba nigdy wcześniej nie czułam się tak dobrze jak wtedy. W ogóle nie słuchałam tego, co do mnie mówił.

Wszystko jest moją winą. Jestem odpowiedzialna za stan, w którym była moja psychika przez ostatnie miesiące. Rhys wielokrotnie mnie ostrzegał, ale ja byłam tak oczarowana jego osobą, że puszczałam jego słowa mimo uszu. Może gdybym nie była zakochaną idiotką, uniknęłabym całego gówna, w którym pograżyłam się na własne życzenie.

Dlaczego znowu o tym myślę? To należy do przeszłości. Przeszłości, której ostatnio w ogóle nie rozpamiętuję. Wyleczyłam się z obsesji, której obiektem był Motyl. Mam Jima, który jest w stanie zrobić dla mnie wszystko. Gdzie on właściwie jest? Gdzie ja jestem? Czuję dziwny, ostry zapach, od którego pieką mnie nozdrza, a zaraz po tym ponownie osuwam się w ciemność.

\*\*\*

Mimo szeroko otwartych oczu, nic nie widzę. Szarpie się gwałtownie, lecz nogi i ręce mam ciasno skrępowane.

Wcale nie zostałam porwana w biały dzień przy jednej z głównych ulic miasta, prawda? Ktoś w okrutny sposób postanowił sobie ze mnie zadrwić. Gorączkowo modłę się w duchu, by to wszystko okazało się tylko głupim żartem. Szarpię się jeszcze kilka razy, aż w końcu odpuszczam. Przy każdym ruchu to, czym związane są moje kończyny, boleśnie wpija mi się w nadgarstki. Nie czuję strachu, mimo to cała drzę, a mój oddech staje się coraz cięższy.

Nie słyszę niczego poza szybkim biciem własnego serca. Wokół panuje nieprzenikniona ciemność i cisza. Nie wiem, gdzie jestem, ale śmiało mogę stwierdzić, że nie jest to samochód, do którego mnie wciągnięto. Zapach wanilii i pomarańczy unoszący się w powietrzu wyklucza piwnicę domu niezrównoważonego psychologa. Porywacz posadził mnie na czymś miękkim i wygodnym. Przez ułamek sekundy widziałam jego twarz i to wystarczyło, bym uświadomiła sobie, że skądś go znam, ale teraz nie jestem w stanie przypomnieć sobie skąd. Wstrzymuję oddech na dźwięk otwieranych za moimi plecami drzwi. Szum wiatru oraz odgłos czyichś kroków wypełnia pomieszczenie, w którym się znajduję. Mój instynkt samozachowawczy chyba zaczyna budzić się do życia, ponieważ czuję narastający wewnątrz mnie strach.

Coś metalowego upada na podłogę, a chwilę później słyszę zbliżające się kroki. Zabieram głowę, kiedy coś zimnego dotyka moich ust, lecz czyjaś dłoń zaciska się boleśnie na moich włosach, skutecznie uniemożliwiając kolejne ruchy.

– Pij – warczy męski głos, ponownie przyciskając szklanke do moich ust.

Zaciskam wargi najmocniej jak potrafię, by ani kropla nie dostała się do środka. Odkopuję w głowie wszystkie mrozące krew w żyłach i poznane przez okres studiów prawdziwe historie porwanych kobiet, przez co mój strach się potęguje. Mój Boże! To nie dzieje się

naprawdę! *To tylko zły sen*, powtarzam w myślach, pragnąc obudzić się jak najszybciej.

– To tylko woda – ponownie warczy, ale ja nie ustępuję. Nie mam pojęcia, ile rzekomej wody zostało w szklance, ale po mojej brodzie, szyi i dekolcie spłynęło jej już naprawdę sporo. – Nie chcesz, to nie.

Uwalnia z uścisku moje włosy i odchodzi kilka kroków. Mam ochotę jęknąć z bólu, lecz się powstrzymuję. Nie okażę słabości. Będę silna tak długo, jak dam radę.

– Kim jesteś? – Z całych sił staram się brzmieć głośno i wyraźnie, lecz głos mi drży.

– Dostałem jasne wytyczne – gruby głos odbija się echem od ścian pomieszczenia. – Pod żadnym pozorem mam nie wdawać się z tobą w dyskusję. Szef wkrótce zjawi się tu osobiście.

Dobrze. Wiem już, że porwał mnie na czyjeś zlecenie – zawsze to coś.

– Po pierwsze: nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek przechodzili na ty – zauważam nieco zbyt odważnie. – Po drugie: właśnie złamałeś wytyczne swojego szefa.

Strach nieco odpuszcza, kiedy zdaję sobie sprawę, że to amator. I jestem pewna, że gdybym nie była skrupowana, poradziłabym sobie z nim z zamkniętymi oczami.

– Bądź cicho albo zakleję ci te śliczne usteczka – warczy, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że w ogóle nie zna się na swojej robocie.

Uśmiecham się pod nosem. Zapewne po drodze popełnił mnóstwo błędów, a to oznacza, że szybko mnie znajda. W końcu mamę i dziadka zaniepokoi moja nieobecność i zaczną mnie szukać. Wiem, że kiedy dziadek dorwie prawdziwego zleceniodawcę, zabije go. Być może już mnie szukają. Zostałam siłą wciągnięta do samochodu w biały dzień, a wokół było pełno ludzi. Na

pewno ktoś zadzwonił na policję. *Na pewno*, powtarzam w myślach, by dodać sobie odwagi.

– Miała spać – słyszę nagle.

Odwracam głowę w stronę, z której wydaje mi się, że dobiega głos drugiego mężczyzny.

– Obudziła się jakiś czas temu – odpowiada potulnie ten, który jest tu od początku. – Chciałem dać jej wody, tak jak zalecił Pa... doktor, ale jest tak uparta, jak mówił szef.

Pozwalam wymknąć się jękowi rozpaczony z moich ust, kiedy dociera do mnie, że moi najbliżsi nie mogą mi pomóc, bo najpewniej są już daleko stąd i wylegują się na jakiejś gorącej plaży, zapominając o wszystkich problemach. Zapominając o mnie.

– Cholera – zaklina pod nosem nowo przybyły. – Zanim się zjawi, minie jeszcze kilka godzin. Musisz podać jej drugą dawkę.

Znam ten głos. Dopiero teraz to sobie uświadamiam...

– Nie zrobię tego – zarzeka się porywacz. – Doktor ostrzegał, że to niebezpieczne. Nie chcę mieć jej na sumieniu.

Czyli w samochodzie wcale nie straciłam przytomności, jak początkowo zakładałam. Podano mi coś, co spowodowało natychmiastową utratę świadomości. A teraz chcą zrobić to znowu.

– James. – Strach ponownie ściska mi gardło, przez co moje słowa brzmią niewyraźnie. – James, nie wierzę, że to ty.

Gdzieś nade mną rozbrzmiewa cichy śmiech, w którym nie ma ani odrobiny wesołości, a zaraz po nim kroki. Z moich ust wydobywa się syk, kiedy coś ostrego przebija mi skórę w zgięciu łokcia.

– A ja nie wierzę, że dałem się na to namówić, Prince – odpowiada Stone.

Pozwalam otulić się błogością, która spływa na mnie znikąd. Robi się cicho i ciepło. Zасыpiam.

\*\*\*

Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale jakimś cudem udało mi się wstać. Wolnym krokiem przechodzę przez drzwi, kierując się w kierunku odgłosów dobiegających z oddali. Nie jestem pewna, czy to, co teraz robię, jest wytworem mojej wyobraźni, czy dzieje się naprawdę. Mój mózg pracuje tak wolno, że każdy wysiłek z jego strony sprawia mi fizyczny ból. Przejście trzymetrowego odcinka zajmuje mi wieczność. Gdy w końcu się zatrzymuję, niezauważona przez nikogo stoję pewnie na wyprostowanych nogach, mimo że raz na jakiś czas moim ciałem wstrząsają nieprzyjemne dreszcze.

Wbijam wzrok przed siebie, próbując zrozumieć, na co właściwie patrzę. Otwieram szerzej oczy, kiedy dociera do mnie, kim jest leżący na podłodze mężczyzna. To Travis, ochroniarz, który chciał mnie wyrzucić z siedziby firmy Mariposy. Poznałam go, pomimo tego, że jego ciało znajduje się w pozycji embrionalnej. Słyszę jego błagalne jęki, ale jego głos dociera do moich uszu, jakby ktoś włożył jego głowę pod wodę, przez co nie jestem w stanie odróżnić ani jednego słowa. Opieram dłoń o ścianę, czując, że coraz bardziej kręci mi się w głowie.

– Na boga, Rhys, nie zabijaj go! – woła ktoś.

Nie jestem pewna, ale ten głos należy chyba do Stone'a, którego nie ma w moim polu widzenia. Usilnie staram się zrozumieć sens jego słów. Rhys tu jest? Odrywam wzrok od Trávisa i spoglądam w górę. Widzę, jak znajoma dłoń pociąga za spust dużego Glocka, którego lufa zakończona jest tłumikiem. Dźwięk uwalnianego pocisku jest tak cichy, że nie jestem pewna, czy go sobie nie wyobraziłam. Z moich ust wyrywa się ciche jęknienie, kiedy wracam wzrokiem do ochroniarza, którego cała twarz pokryta jest ciemnoczerwoną, niemal czarną krwią.

– Kurwa – syczy Rhys, gdy zataczam się do tyłu. – Posprzątaj to – zwraca się do Jamesa, który jak kat stoi nad ciepłymi jeszcze zwłokami.

Motyl rusza w moją stronę, wciąż ściskając w dłoni pistolet. Odwracam się z zamiarem ucieczki, lecz wtedy moje nogi plączą się ze sobą, przez co ląduję na podłodze, boleśnie uderzając o nią brodą. Zaczynam wierzgać nogami, kiedy czuję dłoń Rhysa na swoim ramieniu. Gdy udaje mi się obrócić na plecy, odsuwam się od niego najdalej, jak tylko mogę.

– Co tu się dzieje, do cholery? – pytam, dysząc ciężko.

– Me...

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyczę.

Kiedy i tak klęka obok mnie, ból w mojej głowie się nasila. Pod jego wpływem zaciskam na moment powieki, a gdy ponownie je otwieram, mój wzrok pada na broń w dłoni Mariposy. Wiedziona impulsem rzucam się w jego stronę, zaskoczona szybkością, z jaką to robię. Doznaję jeszcze większego szoku, kiedy moje palce pewnie zaciskają się na chłodnej stali. Podrywam się na nogi, mierząc prosto w twarz Rhysa.

– Chcesz mnie zabić? – pyta, wstając niespiesznie.

Dłoń mi drży, gdy mój palec ląduje na spuście.

– Chcę się od ciebie uwolnić – odpowiadam cicho, ale z pełnym przekonaniem. – Jeśli to jedyny sposób, zrobię to.

Uderzenie serca później zaciska palce na moim nadgarstku, przyciągając blisko siebie. Kiedy zbliża twarz do mojej, nasze usta dzieli tak niewielka odległość, że czuję ciepło jego warg. Boję się, nie mając pojęcia, co chce zrobić. Tak cholernie się boję. Stoję jak sparaliżowana, pozwalając mu przystawić lufę Glocka do jego gardła.

– Zrób to – mówi zniekształconym głosem. – Uwolnisz nie tylko siebie, ale i mnie.

Przerażona patrzę w jego oczy, doszukując się w nich mężczyzny, którego kiedyś znałam. Wiem, że jest gdzieś za tym bezbrzeżnym bólem malującym się w miodowych tęczęwkach.

– Rhys...

Próbuję odciągnąć broń, ale siła, z jaką Rhys wbija lufę w swój podbródek, jest zbyt duża, żeby mogło mi się to udać. Przestaję oddychać, gdy jego palec wskazujący łąduje na moim, nieznacznie dociskając spust.

– Strzelaj, Melody! – krzyczy tak głośno, że mam ochotę zakryć uszy dłońmi.

Moje policzki są mokre od łez, które nie wiem, kiedy zaczęły płynąć.

– Błagam, przestań – udaje mi się wydusić przez zaciśnięte gardło.

Serce bije mi tak mocno, jakby zaraz miało wybuchnąć. A może to jego serce? Nasze klatki piersiowe wciąż pozostają złączone. Oddychamy w tym samym rytmie. W chwili, w której kładę wolną dłoń na jego klatce piersiowej, on dociska spust do końca. Zamykam oczy, a mój krzyk jest tak rozpaczliwy, jakby ktoś właśnie rozerwał moją duszę na pół. Lecz kiedy unoszę powieki, Rhys wciąż stoi o własnych siłach.

– Wygląda na to, że ostatnią kulę wpakowałem w tego sukinsyna – odzywa się obojętnie.

Jednym ruchem wyszarpuję się z jego uścisku, wypuszczając pistolet z dłoni.

– Ja pierdolę. – Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić. On naprawdę chciał to zrobić. Boże! Zabiłby się moimi rękami bez mrugnięcia okiem. – Kim ty jesteś? – pytam, połykając dławiący strach.



Oddycha równie ciężko, co ja, ze spuszczoną głową przytrzymując się ściany.

– Takiego mnie chciałaś – przypomina, spoglądając na mnie. – Nie pamiętasz, ile razy prosiłaś, żebym się przed tobą otworzył? Oto ja, skarbie. – Uśmiecha się upiornie, po czym prostuje się, zbliżając twarz do mojej. – Cały twój.

Kolana uginają się pode mną, kiedy usta Motyla muskają moje drżące wargi. Tracę świadomość, wpadając prosto w jego ramiona. Po prostu zasypiam. I jest to jedno z najpiękniejszych odczuć, jakie do tej pory zaznałam.

\*\*\*

Gwałtownie otwieram oczy, oddychając tak ciężko, jakbym właśnie przebiegła maraton, a każdy mięsień w moim ciele pulsuje boleśnie. Unoszę ręce i dotykam twarzy, na której nie ma już opaski uniemożliwiającej widzenie. Zauważam również, że moje ręce i nogi nie są niczym skrępowane. Kręcę głową i natychmiast tego żałuję. To wszystko było tak realistyczne, że nie mogę uwierzyć, że to tylko senny koszmar.

Podnoszę się do pozycji siedzącej, lecz sekundę później kładę się z powrotem, kiedy ból dosłownie rozsada mi czaszkę. Syczę przez zaciśnięte zęby, zaciskając mocno powieki. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek coś tak bardzo mnie bolało. Oddycham głęboko kilka razy, aż w końcu udaje mi się zapanować nad swoim ciałem. Kiedy ponownie siadam, nadal czuję ból, lecz jest on zdecydowanie bardziej znośny. Wyciągam ręce przed siebie i zauważam siny ślad w zgięciu łokcia. Dziwne. Wygląda zupełnie jak po... Rozglądam się po pomieszczeniu, którego nie poznaję i dociera do mnie, że to wcale nie był sen. Naprawdę zostałam porwana!

Być może w normalnych okolicznościach zachwyciłby mnie minimalizm i elegancja wnętrza, lecz teraz nie

mam czasu przyglądać się artystycznym portretom wywieszonym na jasnych, niemal białych ścianach. Skoro nic nie krępuje moich ruchów, muszę się stąd jak najszybciej wydostać. Sprawnie wstaję i ignorując zawroty głowy, robię krok w stronę przeszklonej ściany. Następnie kolejny i kolejny. Zatrzymuję się tak blisko szyby, że niemal dotykam jej czubkiem nosa, a to, co za nią widzę, mocno mnie zaskakuje. Wokół mnie jest ciemno, lecz pod moimi stopami rozciąga się panorama tak dobrze znanego mi miasta, tworząc malowniczy obraz z migotliwych świateł.

– Wstałaś – rozlega się za moimi plecami.

Cała się napinam na dźwięk męskiego głosu. *Tego* głosu, który czuję każdą komórką ciała. Odwracam się powoli nie dlatego, że boję się, że moje wiotkie od narkotyku nogi odmówią mi posłuszeństwa, tylko dlatego, że się boję. Boję się stanąć twarzą w twarz z własnym oprawcą.

– Ty skurwielu – szepczę, patrząc prosto w miodowe oczy.

Stoi zaledwie metr ode mnie. Tak samo piękny jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy i tak samo niebezpieczny, jak mi się wtedy wydawało.

– Ani przez chwilę nie sądziłem, że ucieszysz się na mój widok – mówi, wpatrując się intensywnie w moją twarz.

– Jak mogłeś? – pytam, lecz tym razem mój głos brzmi pewniej i zdecydowanie głośniej. – Jak mogłeś mi to zrobić?

Zbliża się do mnie niepewnie, a ja, wiedząc, że nie mam jak się bronić, tylko zaciskam dłonie w pięści. Nie mogę zrobić nic więcej, mimo że mam ochotę rzucić się na niego z pięściami. Wyładować złość, która z każdą sekundą staje się coraz silniejsza.

– Musiałem ci pokazać, do czego jestem zdolny. – Chwyta w dłonie moje obtarte od opaski nadgarstki i całuje każdy z nich. – Przepraszam.

Jedno spojrzenie w jego oczy wystarcza, by wiedzieć, że mówi szczerze. Tylko co mi z jego przeprosin? Chcę wyjaśnić.

– Dlaczego? – Mój pozbawiony emocji głos brzmi, jakby nie należał do mnie.

Wzdycha, puszczając moje ręce, które teraz bezwładnie zwisają wzdłuż tułowia niczym pozbawione kości.

– Chcę, żebyś mnie znienawidziła, Melody, i zrobię wszystko, by tak właśnie się stało.

W tej chwili nienawidzę go całą sobą. Sercem, duszą i umysłem. Nienawidzę tak jak jeszcze nigdy nikogo.

– Gratuluję. – Po moim policzku spływa pierwsza łza. – Udało ci się.

Ma w sobie na tyle przyzwoitości, że na widok moich łez taktownie spuszcza wzrok.

Muszę stąd wyjść. Potrzebuję przestrzeni i jeśli zaraz nie znajdę się na zewnątrz, uduszę się. Zaciskam dłonie w pięści, a łzy wciąż płyną mi po policzkach. Czuję, jak na moim gardle zaciskają się palce niewidzialnej dłoni.

– Musisz się położyć, Melody – mówi Rhys, lecz jego słowa ledwie do mnie docierają.

Patrzę na mocno rozmazane kontury jego twarzy i nie mogę pojąć, co takiego mu zrobiłam, że potraktował mnie w tak okrutny sposób. Mrugam kilka razy. Widzę, że porusza ustami, ale nie słyszę nic poza szumem własnej krwi krążącej w żyłach i coraz wolniejszym rytmem serca. Jest mi gorąco i zimno na zmianę i czuję, że nie mam siły dłużej stać. Upadam, lecz nie uderzam o lśniąca podłogę. Chowam się w silnych ramionach Rhysa. Ze wszystkich sił walczę z powiekami, żeby nie

pozwolić im opaść. Co się ze mną, do cholery, dzieje?! Dlaczego nie potrafię zachować świadomości na dłużej niż kilka pieprzonych minut?

– To minie – wyjaśnia Motyl, jakby czytał mi w myślach. – Obiecuję.

Przegrywam, lecz tym razem ciemność wydaje mi się mniej straszna, bo jesteśmy w niej razem.

Cała drzę z zimna, mimo że otula mnie jedwabna pościel oraz silne ramię Rhysa. Nie chcę, żeby mnie dotykał, ale nie mam siły się odsunąć. Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, spowija nieprzenikniona ciemność, jednak po wygodnym łóżku domyślam się, że musimy być w jego sypialni. Bardzo wiele wysiłku kosztuje mnie wyplątanie się spod kołdry i wstanie z łóżka. Trochę to trwa, zanim odnajdę drzwi. Kiedy w końcu mi się to udaje, wychodzę najciszej jak potrafię. Skoro Motyl śpi, to moja jedyna szansa na ucieczkę.

Moje serce przyspiesza, kiedy światło na korytarzu się zapala. Rozglądam się, ale nikogo nie zauważam. *Czujniki*. Odwracam głowę, żeby się upewnić, że Rhys wciąż znajduje się po drugiej stronie drzwi, po czym ostrożnie ruszam do przodu. Mijam dwa pokoje, a chłód białej, lśniącej podłogi przenika moje stopy aż do kręgosłupa. Dopiero teraz zauważam, że mam na sobie męską, o wiele za dużą, błękitną koszulę. Nie mam pojęcia, czy przebrał mnie teraz, czy miałam ją na sobie już wcześniej, tylko z emocji nie zwróciłam na to uwagi.

Przez chwilę walczę z sobą, by wrócić do pokoju, w którym śpi Rhys, ale odpuszczam, wiedząc, że nie mam na to czasu. Właściwie nie mam też gwarancji, że właśnie tam znajdę swoje ubrania. Dlatego szybko pokonuję odległość dzielącą mnie od otwartej przestrzeni mieszkania. Żółć podchodzi mi do gardła, gdy znowu stoję przy przeszklonej ścianie i spoglądam w dół, wyobrażając sobie, że spadam. A jeśli to jedyna słuszna droga ucieczki? Po raz pierwszy kusi mnie, by

uciec właśnie w ten sposób. Uciec tak, jak zrobiła to babcia. Kładę obie dłonie na szybie na wysokości głowy i uderzam w nią kilka razy, ale nic się nie dzieje. *A na co liczyłaś?*, pyta głos z tyłu głowy.

*Masz coraz mniej czasu*, powtarzam sobie w głowie. Odwracam się i biegiem ruszam w kierunku drzwi, lecz wtedy do moich uszu dociera dźwięk kroków. Nawet nie muszę się odwracać, by wiedzieć, do kogo należą. W panice ogarniającej cały mój umysł naciskam na drzwi, pchając z całej siły, ale te nie ustępują. Z bezsilności uderzam w nie pięściami, wyobrażając sobie, że są Motylem. Poddaję się, gdy dociera do mnie, że to bez sensu. Odwracam się, opieram plecami o ścianę i osuwam na podłogę.

– Wszystko w porządku? – pyta Rhys.

Dzieli nas dobrych kilka metrów, jednak nawet z tej odległości mogę dostrzec troskę malującą się na jego zmęczonej twarzy.

– Wypuść mnie – szepczę błagalnie.

I już jest przy mnie, a trwa to tyle, co jedno uderzenie serca. Wsuwa dłonie pod moje ramiona, po czym jednym sprawnym ruchem podciąga moje bezwładne ciało do góry.

– Dlaczego czuję się tak potwornie? – pytam, wtulając twarz w jego klatkę piersiową. – To przez to, co dał mi Stone, prawda?

– Stone jest takim samym idiotą, jakich zatrudnia – warczy, sadzając mnie na beżowej kanapie w kształcie litery L. – Na szczęście nie musisz się nimi już martwić. Przynajmniej jednym z nich.

Ciasno oplątam się ramionami.

– Co masz na myśli?

Pochyliła się nade mną tak, że nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości.

– Osobiście dopilnowałem, by Travis oddał swój ostatni oddech w mojej obecności.

To, co mówi, jest tak straszne, że mam ochotę zakryć sobie uszy.

– Czy on...

I wtedy coś sobie przypominam. To jedynie przebłysk. Cichy dźwięk wydobywający się z pistoletu. Jego bezduszny wzrok. Jego bezlitosne słowa.

– Nie żyje – wypowiada zdanie, które nie mogło mi przejść przez gardło.

Mężczyzna, który jest tak blisko mnie, z którym tyle razy się kochałam, zabił człowieka. Jeśli cokolwiek jeszcze do niego czułam, to właśnie w tej chwili umarło. Umarło razem z Travisem.

– Odsuń się ode mnie – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Od razu robi to, czego żądam. Prostuje się i cofa kilka kroków.

– Właśnie dlatego nie mogliśmy być razem – mówi, nie patrząc na mnie.

Już wcześniej podejrzewałam, że jest do tego zdolny. Robił to, kiedy znikał na całe dni, zostawiając mnie samą w tym pięknym domu nad jeziorem. Gdy wracał, kochał się ze mną, chcąc w ten sposób ukoić ból, który trawił go od wewnątrz. To obrzydliwe.

– Nie rozumiem, po co to wszystko. – Muszę dać upust kłębiącym się w głowie myślom. – Dlaczego teraz tak bardzo uparłeś się, żeby pokazać mi, kim naprawdę jesteś? Przecież nasza znajomość zakończyła się kilka miesięcy temu. Przez ten czas ani razu się z tobą nie kontaktowałam. Poznałam Jima...

– Zrobiłem to, co należało – odpowiada, odnajdując wzrokiem moją twarz. – Wszyscy widzieli, jak na mnie reagujesz, Melody. Zapewniam cię, że Jim również. Nie jest zbyt bystry, ale...

– Jim jest wart więcej niż pięciu takich jak ty – przerywam mu. Nic nie poradzę na to, że w moim głosie brzmi prawdziwa pogarda.

Uśmiecha się arogancko.

– Gdybym nic nie zrobił, zostawiłabyś go.

Zaciskam powieki, nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia. Rhys się myli. Nie zostawiłabym Jima. Na pewno nie dla niego.

– Odwieź mnie do domu – żądam. – Koniec przedstawienia.

Zabił człowieka tylko po to, by pokazać mi, do czego jest zdolny.

Zaraz zwymiotuję.

– Jak sobie życzysz.

\*\*\*

Podróż trwa krótko i w całkowitym milczeniu. Nie odzyskałam swoich ubrań, ale koszula Rhysa zasłania wszystko, co powinno być zakryte. Kiedy wychodziliśmy, wręczył mi również jego kurtkę, a ja przyjąłem ją w milczeniu, wiedząc, że temperatura na zewnątrz jest naprawdę niska. Podczas pobytu w wieżowcu, w którym Rhys ma apartament, odniosłem wrażenie, że jestem daleko od domu, tymczasem okazuje się, że podróż zajęła nam niecałe dwadzieścia minut. Gdy ciemnoniebieski Bentley zatrzymuje się przy wjeździe na strzeżone osiedle, natychmiast chwytam za klamkę, otwierając drzwi. Chcę wysiąść. Znaleźć się jak najdalej niego, lecz jego dłoń zaciska się na moim przedramieniu.

– Zaczekaj – prosię, a ja, nie wiedząc czemu, odwracam głowę w jego stronę. – Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Coś, co dotyczy ciebie i twojej ro...

– Nie – przerywam mu niepokojąco spokojnym głosem, jednocześnie wyszarpując rękę. – Nie chcę

wiedzieć już niczego więcej. Nie od ciebie. I wiesz co?  
Szczepze 2ału2ę, 2e nie mia2eś wi2cej kul. – Udaję, 2e nie  
wid2ę, jak jego oczy ci2mnieją na d2wi2k moich s2ów.  
Wysiadam. – 2egnaj, Rhys.

*Tym razem na zawsze.*



## Rozdział 20

Kiedy przekraczam próg apartamentu i wciągam w nozdrza znajomy zapach, coś we mnie pęka, a po moich policzkach znowu zaczynają płynąć łzy. *Jesteś bezpieczna*, powtarzam w myślach, rozglądając się niepewnie, po czym ruszam w stronę schodów, starając się zachowywać jak najciszej. Nie mogę dopuścić do tego, żeby Amelie zobaczyła mnie w takim stanie. *Nie ma jej tu, idiotko*, syczy głos z tyłu głowy. No tak, racja. Mój mózg nie działa tak, jak powinien przez działanie środków odurzających krążących w moim krwiobiegu.

Mam już za sobą ponad połowę drogi, gdy światło wypełnia niemal całe piętro. Chcę przyspieszyć, ale mój organizm jest jeszcze zbyt słaby, przez co ciało nie chce mnie słuchać. Do tego każdy krok sprawia mi niewyobrażalny ból. Gdy mama wypowiada moje imię po raz drugi, po prostu siadam na jednym ze stopni, chowając twarz w dłoniach.

– Gdzie byłaś? – pyta Amelie, kiedy zatrzymuje się u podnóża schodów.

Głupieję. Przecież dobrze pamiętam, jak mówiła, że wyjeżdżają na kilka dni. Teraz już sama nie wiem, co się tutaj dzieje.

– Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała – mamrocę w dłonie.

Jest mi niedobrze, a jedyne, o czym marzę, to sen. Chcę się położyć i zapomnieć o tym, co mnie spotkało.

– Od trzech dni nie ma z tobą kontaktu – zauważa ze złością. – Należą mi się jakieś wyjaśnienia.

*Od trzech dni.*

Wydawało mi się, że mój koszmar trwał zdecydowanie krócej...

– Byłam u Jima – mówię, podnosząc się z trudem. – Mieliście być na urlopie.

Kobieta przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek.

– Jak ty wyglądasz? – pyta wyraźnie zaniepokojona.

Patrzę w dół na swoje nogi zakryte jedynie do kolan za dużą, męską kurtką i nie wiem, jak mam się wytłumaczyć. Nie przychodzi mi do głowy nic sensownego.

– Wszystko w porządku – zapewniam słabym głosem.  
– To tylko... – urywam i rozkładam ręce, próbując zachować równowagę.

Znowu niebezpiecznie kręci mi się w głowie.

– Dzwonię po Hudsona – oznajmia mama, przyjmując rzeczowy ton.

Zanim zdążę zaprotestować, znika mi z pola widzenia.

Ponownie ruszam w górę, mocno koncentrując się na tym, żeby nie spaść. Ostatnią odległość dzielącą mnie od drzwi mojej sypialni pokonuję ostatnimi resztkami sił. W ubraniu kładę się na łóżku, niedbale zsuwając ze stóp buty, które z łoskotem uderzają o podłogę. Kiedy wtulam się w jedwabną pościel, łkam przeraźliwie, nie mogąc dłużej udawać, że nic się nie stało. Właśnie przekonałam się, co znaczy czuć paraliżujący strach i nie chcę zaznać tego nigdy więcej.

Mariposa kolejny raz zadrwił ze mnie i tym razem wybrał najgorszy z możliwych sposobów. Czuję też ogromne rozczarowanie jego osobą. Z taką łatwością przyszło mu... To tak straszne, że nie jestem w stanie dłużej o tym myśleć. *Ten facet nie żyje przez ciebie*, szepcze głos z tyłu głowy, na co ponownie zanoszę się głośnym płaczem.

„Chłopcy rzucają dla zabawy kamieniami w żaby. Żaby umierają na poważnie”, przypominam sobie słowa Ericha Frieda. Porwanie mnie okazało się eksperymentem, żartem. Człowiek, któremu zlecono to zrobić, nie żyje naprawdę. To wszystko jest mocno popieprzone. Mariposa jest popieprzony.

Słyszę, jak Amelie mocno uderza w drzwi, wołając, bym natychmiast otworzyła, ale nie mam siły odpowiedzieć, a co dopiero wstać i zrobić to, o co prosi. Pozwalam powiekom opaść i na chwilę zapominam o wszystkim, co się wydarzyło.

Kiedy się budzę, czuję się o wiele lepiej. Bez trudu siadam, przecierając oczy dłońmi, po czym odgarniam przyklejone do czoła włosy. Wciąż mam na sobie ubrania Rhysa. Wstaję, kierując się do łazienki, ciesząc się z lekkości kroków i możliwości panowania nad własnym ciałem. Nie patrząc w lustro, szybko zdejmuję kurtkę oraz pozostałe części garderoby, po czym odkręcam wodę i wchodzę do wanny. Siadam, podciągając kolana pod brodę i obejmuję nogi rękami. Woda jest tak gorąca, że niemal mnie parzy, ale nie zmieniam jej temperatury. Muszę zmyć z siebie jego zapach. *Zapach mordercy.*

Wyciskam na dłonie sporo żelu i dokładnie namydlam całe ciało, a zapach słodkiej czekolady przywodzi mi na myśl moje pierwsze spotkanie z Jimem. *Jim!* Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, byśmy tak długo nie mieli ze sobą kontaktu. Pospiesznie wyciskam na dłonie zbyt dużo szamponu i niedbale myję włosy, chcąc jak najszybciej skontaktować się z chłopakiem, który zapewne odchodzi od zmysłów. Spłukuję pianę i szybko wychodzę z wanny. Owijam mokre ciało ręcznikiem, a drugim wycieram włosy, parząc w lustro, które jeszcze nie zdążyło zaparować.

Oczy mam mocno przekrwione, źrenice zwężone, a błękit tęczówek matowy. Gdy zbliżam twarz do lustra, zauważam krwawy ślad zębów odcisnięty na dolnej wardze. Nie pamiętam, w którym momencie moje zęby

przecięły skórę. Właściwie wszystko pamiętam jak przez mgłę. Rozmazane kontury twarzy, sylwetek i przedmiotów przewijają się przed moimi oczami, płacząc ze sobą i tworząc obrazy, których nie jestem w stanie wyostrzyć. Spycham je w głąb siebie, uznając za nieużyteczne.

Rzucam oba ręczniki pod nogi i przechodzę do garderoby. Wybieram pierwsze lepsze ubrania: biały, oversize'owy T-shirt oraz granatowe legginsy, a następnie wracam do pokoju. Od razu rzucam się w stronę szklanej konsoli, na której zostawiłam komputer. Nie wiem, co stało się z moim telefonem po tym, jak upuściłam go na chodnik, ale nie zamierzam teraz się tym martwić. Chcę jak najszybciej dać znać Jimowi, że jestem cała i zdrowa. Kiedy MacBook budzi się do życia, dostaję kilkanaście powiadomień o nieprzeczytanych wiadomościach. Otwieram komunikator. Niemal wszystkie wiadomości są od Jima.

***Jim:** Dlaczego wyłączyłaś telefon? Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić... :(*

***Jim:** Halo? Zrobiłem coś nie tak? Oddzwoń, jak tylko będziesz mogła.*

***Jim:** Dzwoniłem do Nancy. Twierdzi, że do niej też się nie odzywasz.*

***Jim:** Dobra, Mel, to przestaje być zabawne. Zaczynam się martwić. :(:(:(*

Pospiesznie czytam tylko niektóre wiadomości, jakie napisał mój chłopak. Nie chcąc tracić więcej czasu na czytanie pozostałych, piszę:

***Do Jim:** PRZEPRASZAM!!! Zgubiłam telefon i nie miałam jak się z tobą skontaktować! Jestem cała i zdrowa. Mam nadzieję, że zdążysz odwołać brygadę antyterrorystyczną. :)*

Mam nadzieję, że ostatnie zdanie wywoła uśmiech na jego twarzy i utwierdzi go w przekonaniu, że u mnie

wszystko w porządku. Klikam *wyślij*, po czym wbijam wzrok w ekran.

Ani przez chwilę nie zakładam, że komukolwiek opowiem o tym, co zrobił Rhys. Postanawiam, że zapomnę o nim i wszystkich wydarzeniach z nim związanych na dobre – również o tym, czego dowiedziałam się wczoraj.

*Jim: OK.*

Marszczę brwi na odpowiedź przed sekundą dostarczoną na komunikator. Jim jest zły. Na jego miejscu czułabym to samo. Pytam, czy moglibyśmy się spotkać, jednak przypominam sobie, jak wyglądałam i nie wysyłam wiadomości. Gdyby tylko Jim mnie zobaczył, zaczęłyby zadawać niewygodne pytania, na które nie umiałabym znaleźć racjonalnych odpowiedzi. Nagle ktoś z impetem naciska na klamkę drzwi, ale te nie ustępują. Podnoszę się i otwieram je.

– Och, to ty – bąkam na widok dziadka.

Ma na sobie jeden ze swoich najelegantszych garniturów, co oznacza, że musiał przyjechać tutaj prosto z jakiegoś bardzo ważnego spotkania. *Może z randki*, podsuwa mi głos z tyłu głowy. Jest jeszcze w takim wieku, że mógłby się z kimś związać. Wiele razy byłam świadkiem, jak kobiety, nawet te w moim wieku, patrzyły na niego tęsknym, maślanym wzrokiem.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – warczy.

Jego niebieskie oczy uważnie studiują moją twarz.

– O co...

– Nie uwierzyłem Amelie, kiedy w nocy powiedziała mi, że jesteś pod wpływem narkotyków. – Nerwowo przeczesuje palcami ciemne włosy. – Teraz widzę, że się nie myliła.

W nocy. Nie mogę sobie przypomnieć, o której Rhys pozwolił mi wrócić, więc muszę uwierzyć dziadkowi na

słowo.

– Nie biorę narkotyków – odpowiadam spokojnie na zarzuty. – Nie wiem, skąd wam to przyszło do głowy.

Kątem oka zauważam mamę, która właśnie pojawiła się za plecami Hudsona.

– Już jest – oznajmia.

– Idziemy – mówi dziadek, nie patrząc na córkę.

Marszczę brwi.

– O co chodzi? – Tym razem udaje mi się dokończyć pytanie.

– Skoro twierdzisz, że nie bierzesz narkotyków, nie będzie dla ciebie problemem, jeśli zbada cię lekarz.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

Nie wiem, co robić. Jeśli się nie zgodzę, tylko utwierdzą ich w przekonaniu, że biorę. Natomiast jeśli się zgodzę, pozwalając na kontakt z jakimkolwiek lekarzem, dostaną na piśmie, że mają rację. Nie wiem, co to za substancja, którą wstrzyknął mi Stone, ale na pewno wciąż utrzymuje się w mojej krwi. *Mysł!*, nakazuje sobie w duchu.

Hudson staje bokiem, po czym wbijając we mnie wyczekujące spojrzenie, mówi:

– Zapraszam.

Wyprowadzenie go z równowagi to ostatnie, na co teraz mam ochotę, więc omijam go ze złością i schodzę po schodach.

– W salonie – słyszę za plecami głos Amelie.

Kieruję się właśnie tam i staję jak wryta na widok znajomego mężczyzny.

Dłoń dziadka popycha mnie do przodu, ale opieram się jego sile, pozostając w miejscu, w którym się zatrzymałam.

– Pozwólcie, że zostanę z pacjentką sam – odzywa się White, przenosząc uprzejme spojrzenie z mamy na dziadka.

Postanawiam nie zdradzać rodzinie, że nie tak dawno imprezowałam właśnie z ich lekarzem, dlatego odzywam się dopiero, kiedy Amelie i Hudson zamykają za sobą drzwi pobliskiego gabinetu.

– Nigdy nie pomyślałabym, że możesz być lekarzem – wyznaję.

Raczej spodziewałabym się, że pomaga przyjacielowi w pozbywaniu się ze świata niewygodnych ludzi. Właściwie nic nie powstrzymuje go przed tym, by robił obie te rzeczy naraz.

– Usiądź. – Wskazuje głową na jedną z kanap, zupełnie ignorując moje słowa.

Podchodzę do niego powoli i robię to, o co prosi. Mimo że nie patrzy na mnie tak jak tego wieczoru u Jima, wciąż czuję się niepewnie w jego towarzystwie.

Bez wcześniejszego ostrzeżenia chwyta mnie delikatnie za brodę, a następnie odchyła moją głowę do tyłu, śledząc uważnie każdy centymetr mojej twarzy.

– A więc po to potrzebował takiej ilości diazepamu – mruczy sam do siebie. – Jak się czujesz?

Prostuje się, a ja odtwarzam w głowie to, co powiedział. Nagle dociera do mnie, że Paul jako lekarz ma dostęp do narkotyku, który pozbawił mnie świadomości na tak długo.

– Ty też brałeś w tym udział? – pytam, patrząc mu prosto w jasne oczy.

Sięga do torby z ciemnobrązowej skóry, a następnie wyjmuje z niej iPada.

Włącza urządzenie i jedną ręką wpisuje coś szybko. Kiedy kończy, podnosi na mnie bystre spojrzenie.

– Rhys to skurwiel – mówi, czym mnie zaskakuje. – Nigdy nie liczył się z uczuciami innych ludzi. Zawsze, gdy wyznaczał sobie cel, robił wszystko, żeby go osiągnąć bez względu na to, jak wiele ofiar zostawi za sobą. Po prostu trzymaj się od niego z daleka.

Chowa iPad z powrotem do torby.

– Po wszystkim, co mi zrobił... – Głos mi się łamie, a rosnąca w gardle gęła uniemożliwia mówienie.

Cholera!

Zagryzam dolną wargę, ignorując intensywny ból. Do tej pory skutecznie udawało mi się blokować w głowie wszystko, co się wydarzyło, jednak teraz przed moimi oczami pojawiają się obrazy z ostatnich dni, te same, które wcześniej ignorowałam. Czuję, że jeśli szybko tego nie powstrzymam, wybuchnę.

– Co mam powiedzieć Prince'om? – pyta, taktownie odwracając wzrok.

Ocieram oczy wierzchem dłoni.

– Cokolwiek – odpowiadam, wstając. W tej chwili wszystko mi jedno, czy najbliżsi będą uważać mnie za narkomankę i zamkną w jakiejś luksusowej klinice z dala od domu, czy zostanę tutaj skazana na czujne i podejrzliwe spojrzenia z ich strony. – On naprawdę pozbawiony jest jakichkolwiek ludzkich uczuć?

Na dźwięk mojego pytania przez twarz Paula przemyka cień zaskoczenia.

– Rhys umie kochać, Melody – odpowiada zamyślony. – Tylko okazuje to na swój własny, mocno popieprzony sposób.

\*\*\*

Żyję. Próbuję dojść do siebie po ostatnich, dość traumatycznych wydarzeniach. To, co się stało, odcisnęło na mojej psychice bolesny ślad, ale od kilku dni czuję się już naprawdę nieźle. I tylko w nocy, kiedy



zostaję sama, pozwalam wspomnieniom wracać do tych dni przepełnionych strachem, bólem i rozczarowaniem.

Nie płaczę, mimo że chce mi się wyć. Zupełnie jakby łzy gdzieś wyparowały, a mój organizm nie był w stanie wyprodukować ani kropli więcej. A kiedy sen nie przychodzi, przypominam sobie wszystkie dobre chwile spędzone z Rhysem. Spacery, kolacje, godziny nieustannych rozmów, wspólnie spędzone noce – wszystko przewija się w mojej głowie jak w kalejdoskopie, a każde wspomnienie z dnia na dzień blaknie, staje się mniej wyraźne.

Mimo wszystko nie nienawidzę go. Nie winię go za to, jak mnie potraktował. Zrobił to, co uznał za słuszne, a każdy jego czyn był koniecznością – powtarzałam te słowa tak długo, aż w końcu sama w nie uwierzyłam. Wyrzucam z głowy jego zapach, dotyk dłoni, smak ust i brzmienie cholernego głosu. Zapominam. Już nie jestem ćmą. Sparzyłam się. Moje skrzydła spłonęły.

– Wiesz, że cię kocham? – słyszę ciepły głos Jima.

Kiedy podnoszę na niego zmęczone oczy, kąciaki moich ust wędrują w górę. To on jest powodem, dla którego codziennie wstaję z łóżka. I choć od kilku dni nie postawiłam nogi w jego kawiarni, mam zamiar tam wrócić. Potrzebuję kontaktu z ludźmi. Nieustannych rozmów z nowo poznanymi osobami, które wbrew pozorom naprawdę dużo mówią. Uwielbiam opowiadane przez nie historie i często wiele się z nich uczę.

– Jesteś głodny? – pytam, zostawiając jego pytanie bez odpowiedzi. – Zamówiłam twój ulubiony makaron. – Patrzą na złoty zegarek Versace na nadgarstku. – Dostawa nie powinna zająć im dłużej niż pół godziny.

Jim siada na kanapie w znacznej odległości ode mnie. Zielone oczy ma duże i poważne.

– Dłużej tak nie może być – mówi, zaciskając pięści.

Odkładam MacBooka na stolik i prostuję się, marszcząc brwi.

– Co masz na myśli?

Rozprostowuje palce i ponownie zaciska je w pięść.

– Wiem, że mówiłaś, że to dla ciebie za wcześnie – zaczyna, a ja mam ochotę zakryć uszy dłońmi, ponieważ wiem, co za chwilę usłyszę – ale ja już tak dłużej nie mogę. Zamieszkać ze mną. I tak dziewięćdziesiąt procent dnia spędzamy razem. Najpierw praca, później obiad w moim mieszkaniu. Nie ma sensu, żebyś wracała do domu na noc.

– Jim...

– Dlaczego nie chcesz spróbować? – Brzmi jak desperat, przez co mimowolnie wybucham śmiechem. – Świetnie – mamrocze pod nosem. – Zrobiłem z siebie debila.

Przysuwam się do niego, po czym chwytam w dłoń jego pięści. Przez cały czas na mojej twarzy maluje się szczerzy, szeroki uśmiech.

– Dobrze. – Zgadzam się.

Szeroko otwiera oczy, nie dowierzając.

– Co? – wykrztusza.

– Zróbmy to – mówię podekscytowana. – Zamieszkaćmy razem.

Od razu zaczyna mnie całować, a ja oddaję pocałunek z taką samą zachłannością. Kiedy nasze języki owijają się wokół siebie, wsuwam dłoń pod bawełniany, ciemny T-shirt Jima. Jego skóra jest ciepła i miękka, a mięśnie brzucha mocne i twarde. Gdy moje ręce zatrzymują się na klatce piersiowej, odsuwa się, zdejmując koszulkę przez głowę i przenosi pocałunki na moją szyję. Odchylam głowę na bok, by dać jego ustom pole do popisu, jednocześnie gładząc jego nagie ramiona.

Uwielbiam sposób, w jaki mnie dotyka: tak niepewnie i delikatnie, jakby się bał, że mogę rozpaść się pod jego dłońmi. Dotyk ten jest zupełnie inny niż dotyk Mot... Nie kończę tej myśli, zaskoczona, z jaką łatwością mi to przyszło i ponownie skupiam się na Jimie i jego dłoniach pod moją jedwabną bluzką. Jęczę cicho prosto w jego usta, kiedy jego długie palce zaciskają się na jednej z moich piersi. I jest to dla niego sygnał, pewnego rodzaju zielone światło do dalszego działania. Pozwalam zdjąć z siebie wszystkie górne części garderoby, po czym siadam na nim okrakiem, przywierając mocno do jego rozgrzanej skóry.

I wtedy dźwięk domofonu dosłownie wdziera się między nasze niemal nagie i w pełni gotowe ciała. Natychmiast się prostuję, patrząc Jimowi w zielone oczy i już wiem, że cały nastrój prysł na dobre. *Cholera!*, zaklinam w myślach, z powrotem opadając na kanapę.

– Też masz wrażenie, że cały świat skrzyknął się przeciwko nam? – pyta żartobliwie, wciągając koszulkę przez głowę.

– Może nie przeciwko nam – mówię ze złością, zapinając stanik – ale przeciwko naszej bliskości na pewno – kończę, ubierając oliwkową bluzkę. – Lepiej idź otworzyć, bo ktoś jest wyjątkowo uparty – dodaję, kiedy domofon nie przestaje dzwonić.

– Kiedyś się uda. – Mruga okiem i wychodzi z salonu.

To już kolejny raz, jak ktoś przeszkadza nam w takiej sytuacji. A my, zamiast wrócić do przerwanej czynności, po prostu odpuszczamy. Jak zawsze. Nie rozumiem tylko, dlaczego Jim podchodzi do tego tak spokojnie i z humorem, ponieważ mi cała ta sytuacja zaczyna już działać na nerwy. Wciąż zła podnoszę wzrok na Jima, który właśnie staje przede mną z piankowymi pudełkami w dłoniach i od razu wybucham głośnym śmiechem. *Makaron!* Całkiem zapomniałam, że zamówiłam jedzenie!

– Iść po talerze czy zjemy z pudełek? – pyta, stawiając opakowania z pachnącą zawartością na stolik.

– Z pudełek – decyduję z radością.

Z Jimem wszystko wydaje się takie proste. Niemal całe moje życie słuchałam od dziadków i mamy o tym, jak powinnam się zachowywać, ubierać, co jeść, jak jeść i kiedy jeść. A teraz proszę – chcę jeść z pudełka, będę jeść z pudełka. Uśmiecham się na myśl, że całe moje życie od teraz może wyglądać tak... zwyczajnie.

– O czym myślisz? – pyta Jim, wpatrując się w moją twarz w sposób, w jaki patrzył na mnie podczas naszego pierwszego spotkania i który wręcz uwielbiam.

– O tym, że ten pieprzony makaron smakowałby najlepiej z czerwonym winem – odpowiadam, nieco mijając się z prawdą.

– Dochodzi czternasta – zauważa, zerkając na zegarek na nadgarstku. – Chcesz pić o tej porze?

No dobra, jednak nie tak proste, jak początkowo zakładałam...

– Lampkę, może dwie – mówię, otwierając piankowe opakowanie. – Muszę się rozluźnić przed przeprowadzką.

I nabrać odwagi przed rozmową z matką.

Kiedy wjeżdżam do podziemnego garażu, na zewnątrz jest już zupełnie ciemno. Parkuję bez większych problemów, wyłączam silnik i wysiadam. Kieruję się w stronę wind, lecz przystaję, gdy rozbrzmiewa dźwięk dzwonka mojego nowego telefonu.

– Masz chwilę? – rozbrzmiewa w słuchawce ciepły głos Nancy.

Nie powiedziałam jej, do czego posunął się Mariposa i nie czuję się z tym najlepiej. Przez dzielącą nas odległość jestem w stanie ukryć przed przyjaciółką wiele niewygodnych faktów i wydarzeń z mojego życia, ale

jestem pewna, że gdybym tylko stanęła z nią twarzą w twarz, opowiedziałabym jej każdy najmniejszy szczegół dotyczący mojego mocno pokręconego życia.

– Jasne – odpowiadam, przechodząc przez przesuwne drzwi.

Gdy wciskam guzik przywołujący windę, drzwi od razu się rozsuwają. Staję w samym rogu, ale jeszcze nie wybieram numeru piętra, by móc swobodnie porozmawiać z dziewczyną.

– Dużo masz pracy w tej swojej restauracji? – pyta i nie czekając na odpowiedź, ciągnie dalej: – Zbliżają się święta i pomyślałam, że mogłabyś przyjechać do mnie na kilka dni. Cholernie brakuje mi naszego nierozłącznego trio.

*Mel, Nancy & Moet*, myślę, przypominając sobie nasze wspólne wieczory, kiedy na uczelniach robiło się nieco luźniej i mogłyśmy przez chwilę zapomnieć o nieustannej nauce i wyluzować się przy butelce ulubionego szampana.

– To kawiarnia, Johnson – przypominam po raz kolejny. – A pracy w niej tyle, co zawsze.

– Kawiarnia, jasne – odpowiada lekceważąco. – Lepiej skup się i powiedz, co sądzisz o moim pomysśle.

Co sądzę o perspektywie spędzenia kilku dni ze swoją najlepszą przyjaciółką z dala od problemów?

– Muszę porozmawiać z Jimem, ale myślę, że nie będzie miał nic przeciwko. Swoją drogą – dodaję, zanim się rozmyślę – zgodziłam się z nim zamieszkać. – Odsuwam słuchawkę od ucha, kiedy rozlega się w niej głośny huk. – Co to było, do cholery?

– Co zrobiłaś?! – wykrzykuje Nancy.

Przewracam oczami.

– Zgodziłam się...

– Słyszałam! – przerywa mi ze złością. – Po prostu nie mogę uwierzyć, jaka jesteś głupia!

– Słucham? – Teraz to ja nie dowierzam. – Co masz przez to na myśli?

Myślałam, *ba!* byłam pewna, że kto jak kto, ale Nancy Johnson ucieszy się z mojego szczęścia. Czyżbym się pomyliła?

– Jak mogłaś zgodzić się zamieszkać z kimś, kogo nawet nie kochasz? – pyta, a każde z jej słów niczym ostre groty strzał wbija się we mnie.

– Co ty mówisz, Nancy? – dziwię się cicho. – Dobrze wiesz, że Jim jest dla mnie bardzo ważny.

Przyjaciółka śmieje się drwiąco.

– Ważny – powtarza, brzmiąc, jakby ze mnie kpiała. – Może i coś dla ciebie znaczy, ale nie kochasz go, Mel. Zawsze jestem po twojej stronie i wspieram cię w każdym dokonanym przez ciebie wyborze, ale teraz potrzebujesz porządnego kopa w tyłek, a nie wsparcia.

– Skąd możesz wiedzieć, co do niego czuję?! – unoszę się. – Nie wiesz nic o naszym związku i masz czelność...

– Sama nie wierzę, że to mówię, ale twoje serce należy do Rhysa i dobrze o tym wiesz.

Rozłączam się, nie chcąc dłużej słuchać głupstw, które wygaduje Johnson.

W moim życiu nie ma miejsca ani dla Motyla, ani dla uczuć do niego. Zamieszkam z Jimem, czy to się komuś podoba, czy nie!

Ze złością wybieram numer na dotykowym panelu i niecierpliwie czekam, aż drzwi rozsuną się na odpowiednim piętrze. Kiedy w końcu to się dzieje, przechodzę do apartamentu Amelie, ignorując uprzejme skinienie głowy jednego z sąsiadów.

– Co tak późno? – Siedzący przy kuchennej wyspie Hudson podnosi czujny wzrok znad dokumentów, które trzyma w ręku.

– Tak jak zawsze – odpowiadam lekceważącym tonem.  
– Raczej to ja powinnam spytać cię, co tak wcześniej. Mama też już jest?

– Została w kancelarii. Ktoś musi mieć oko na Jamesa, który ostatnio zachowuje się podejrzanie.

Zaciskam zęby na dźwięk imienia Stone’a, ale dziadek tego nie zauważa. Na szczęście.

– Rozumiem. – Chwytam zielone jabłko leżące na blacie i podrzucam nim. – Będę u siebie. – Dziadek posyła mi spojrzenie pod tytułem „a kogo to obchodzi?”, po czym ponownie skupia się na dokumentach. Wbijam zęby w owoc, krzywiąc się. *Kwaśne jak moje życie*, myślę, a następnie ruszam do wyjścia. – Prawie zapomniałam – dodaję, przystając.

– Hmm?

– Zawołaj mnie, jak tylko Amelie wróci, dobrze? – Zero reakcji. – Dziadku?

Znowu podnosi na mnie błękitne oczy, takie same jak moje.

– Oczywiście – mówi krótko, dając mi do zrozumienia, że mam sobie iść.

Dopiero kiedy zamykam za sobą drzwi pokoju, zaczyna docierać do mnie, jak bardzo zmieniły się moje relacje z dziadkiem. Nigdy wcześniej nie odnosił się do mnie w taki sposób. Moje podejście do jego osoby również drastycznie się zmieniło. Przez chwilę zastanawiam się, co było tego powodem, lecz zostawiam to, gdy przypominam sobie, po co tu jestem. Ustaliliśmy z Jimem, że mam się do niego przenieść najdalej za dwa dni. Mam do zabrania sporo rzeczy i żeby zdążyć, powinnam zabrać się za ich pakowanie już teraz. Zanim zacznę, wysyłam mamie wiadomość, prosząc, by zajrzała

do mnie, jak tylko wróci z pracy, po czym zabieram się do roboty.

Freddie Mercury głośno śpiewa o tym, że nie chce umierać, a ja z trudem zamykam kolejną już walizkę. Nie zdawałam sobie sprawy, ile ubrań jest mi niezbędnych do codziennego funkcjonowania, dopóki nie zaczęłam zdejmować ich z wieszaków. Gdy sięgam po kolejną stertę rzeczy do zapakowania, głos Freddiego nagle milknie. Prostuję się, zauważając mamę, która stoi w drzwiach garderoby z moim nowym telefonem w ręku. Po raz pierwszy od dłuższego czasu uśmiecham się szczerze na jej widok, lecz jej piękna twarz pozostaje niewzruszona.

– Co to ma znaczyć? – pyta z pozoru spokojnym głosem.

W jej spojrzeniu widzę, że mocno nie podoba jej się widok, jaki zastała.

– Dziadek przyszedł z tobą? – pytam, udając, że ani trochę się nie denerwuję.

– Mel, zadałam pytanie.

Wzdycham i wypuszczam z dłoni bluzkę, którą trzymam w dłoni.

– Postanowiliśmy z Jimem, że chcemy razem zamieszkać – mówię na jednym oddechu.

Na jej twarzy pojawia się kpiący uśmiech.

– Nie zgadzam się.

– Mamo, jestem dorosła – przypominam.

W rozbawieniu unosi idealnie równą brew.

– Ledwie go znasz. Naprawdę uważasz, że wspólne mieszkanie to dobry pomysł?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Nie wiem, co uważam. Boję się tego, ponieważ nie lubię zmian, ale jednocześnie czuję ekscytację na samą myśl o nich.



Dlaczego wszyscy uparli się, by decydować o tym, co jest dla mnie dobre?

– Znamy się wystarczająco długo, by wiedzieć, że... – urywam na chwilę, szukając w głowie odpowiedniego słowa. – Chcemy razem stworzyć coś poważniejszego. Poza tym nie wyprowadzam się na drugi koniec kraju, tylko trzydzieści minut drogi stąd.

Amelie krzyżuje ręce na piersi.

– No dobrze – mówi, myśląc o czymś intensywnie. – Zobaczmy, co na to powie dziadek.

Powstrzymuję chęć wywrócenia oczami.

– Dziadek z pewnością chce mojego szczęścia równie mocno jak ty, mamó. – Nic nie poradzę na to, że mój głos ocieka sarkazmem. – Chcę zacząć pisać nowy rozdział swojego życia, a tutaj mi się to nie uda.

Mama patrzy na mnie w milczeniu, mrużąc jasne oczy.

– A więc pisz – mówi w końcu, unosząc ręce w geście poddania. – Ale nie myśl sobie, że pomogę ci w rozmowie z Hudsonem.

Gdy wychodzi bez słowa, podnoszę z podłogi bluzkę, którą wcześniej wypuściłam. Składam ją niedbale i wrzucam do otwartej walizki. Wciąż odnoszę wrażenie, że z Amelie poszło mi zbyt gładko. Była jakaś inna. Podejrzenie miła. *Nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma*, upominam sama siebie. Mimo to nie mogę wyrzucić z głowy myśli o tym, że niedługo wydarzy się coś mocno niefajnego. Kolejna bluzka ląduje w walizce. Na razie nie mam wyjścia. Muszę pozwolić wydarzeniom się rozwinąć, żeby przekonać się, co tym razem pójdzie nie tak.

## Rozdział 21

Nazajutrz firma przeprowadzkowa przewozi wszystkie spakowane przeze mnie rzeczy do mieszkania Jima. Z racji, że w niemal pustym pokoju czuję się nieco nieswojo, siedzę w kuchni na jednym z krzeseł przy wyspie kuchennej, patrząc, jak Amelie apatycznie żuje kawałek liścia sałaty. Dziwi mnie, że jest południe, a ona nadal nie wyszła z domu.

– Czekasz, aż dziadek po ciebie przyjedzie? – pytam, żeby przerwać zalegającą między nami ciszę.

– Zostaję dzisiaj w domu – odzywa się, w ogóle na mnie nie patrząc. Zdziwiona unoszę brwi. – Nie czuję się najlepiej – dodaje, jakby wiedziała, o co chcę zapytać.

Przez ułamek sekundy kusi mnie, żeby zapytać, czy jej złe samopoczucie ma związek z moją wyprowadzką, ale gryzę się w język. Chcę zachować stąd jak najlepsze wspomnienia, a przecież Amelie nie słynie z poczucia humoru. O ile w ogóle takowe posiada.

Odczytuję wiadomość od Jima, że wszystkie moje rzeczy są już na miejscu i mogę przyjeżdżać, po czym z mocno bijącym sercem podnoszę się z krzesła.

– No to ja będę się zbierać – mówię niepewnie, mocno zaciskając palce na telefonie.

Mama podnosi na mnie zamglony wzrok.

– Co mówiłaś?

Nie wydaje mi się. Jestem przekonana, że coś jest nie tak.

– Że wychodzę – powtarzam, uważnie przyglądając się jej bladej twarzy. – Może powinnaś się położyć? – sugeruję delikatnie. – Wyglądasz na zmęczoną.

Podnosi szczupły nadgarstek do czoła, a następnie niezgrabnie odgarnia jasne pasmo włosów z twarzy.

– Tak – mówi słabym głosem. – Położę się, a ty zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebować.

Odkłada porcelanową miseczkę z sałatą na blat kuchennej wyspy, po czym szybkim krokiem odchodzi. Jeszcze przez chwilę wpatruję się w miejsce, w którym zniknęła jej szczupła sylwetka. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zachowywała się w tak dziwny sposób. Może powinnam za nią pójść i dowiedzieć się, o co chodzi. Kręcę głową, ruszając do wyjścia. To nie jest moja sprawa.

Całą drogę próbuję dodzwonić się do dziadka, który jak na złość odrzuca każde moje połączenie. Parkuję przed apartamentowcem, który od dzisiaj ma być moim domem, ostatni raz wybierając numer Hudsona. Po kilku długich sygnałach włącza się poczta głosowa.

– Dziadku, musimy porozmawiać – mówię służbowym tonem. – Oddzwoń, jak tylko będziesz mógł rozmawiać.

Rozłączam się, chwytam torebkę leżącą na fotelu pasażera i wrzucam do niej telefon, jednocześnie otwierając drzwi. Zimne powietrze bezlitośnie uderza mnie w twarz, lecz mimo to się uśmiecham. Zamykam samochód i szybko pokonuję odległość dzielącą mnie od drzwi budynku. Wpisuję czterocyfrowy kod, a następnie wchodzę do środka, zostawiając za sobą śnieg, niską temperaturę i przeszłość. Wybieram schody zamiast windy, ponieważ mam do pokonania jedynie dwa piętra. Kilka minut później pukam do ciemnobrązowych drzwi.

– Przecież masz klucze – mówi uśmiechnięty od ucha do ucha Jim, otwierając mi.

Zapewne minie trochę czasu, zanim zacznę je używać...

– Zdecydowanie za dużo się uśmiechasz – mówię, wspinając się na palce i muskam jego usta na

przywitanie.

Staje bokiem, wpuszczając mnie do środka, a na jego twarzy maluje się jeszcze szerszy uśmiech. Zsuwam botki ze stóp i szybko zdejmuję karmelowy płaszcz, odwieszam go na wieszak, a następnie przechodzę do otwartego na całe mieszkanie salonu.

– Spodziewamy się kogoś? – pytam, zauważając rozstawione na barku butelki z alkoholem oraz przekąski na stoliku kawowym.

Jim staje obok mnie.

Już się nie uśmiecha. Nie podoba mi się, że wygląda na zakłopotanego.

– Zaprosiłem chłopaków – mówi niepewnie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Mur, którego wybudowanie kosztowało mnie tyle siły, poświęcenia i bólu zaczyna pękać. Mur, za którym schowałam wszystkie najgorsze wspomnienia, sypie się cegiełka po cegiełce.

– Nie – bąkam, czując, że jeśli zaraz czegoś nie zrobię, to się popłaczę. – Jasne, że nie.

Jim przyciąga mnie do siebie i przytula mocno, niczego nie zauważając.

– Będzie tylko Paul i Louis – mówi, chowając nos w moich włosach. – Rhys znowu wyjechał.

*Dokąd?*, chce mi się wyrwać, lecz tylko zaciskam usta w wąską kreskę i przestaję oddychać. Tak dla pewności.

– O której mają być? – pytam, odzyskując panowanie nad własnym ciałem, ale przede wszystkim duszą.

– Za godzinę. – Jego usta opadają na moją szyję. Odsuwam się natychmiast. – O co chodzi? – pyta, nie rozumiejąc mojej reakcji.

– Nie mam ochoty, okej? – mówię nieco za głośno.

– Okej – odzywa się po chwili, marszcząc brwi. – Przepraszam.

*O nie.*

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Jim omija mnie, po czym zatrzaskuje za sobą drzwi swojej sypialni. *Naszej*, poprawiam się w myślach. *Naszej sypialni.*

Kilkadziesiąt minut później otwieram drzwi braciom White, uśmiechając się nieśmiało. Mimo że bardzo się staram, by ten uśmiech wyglądał na szczery, w odbiciu lustra widzę, że ani trochę mi to nie wychodzi. Siadamy dokładnie tak samo jak podczas naszego pierwszego spotkania. Ja i Jim na jednej z kanap, a Louis i Paul na drugiej naprzeciw nas. Jednak tym razem atmosfera jest zupełnie inna. Nie czuję już wrogiego nastawienia z ich strony, a przeszywające spojrzenie Paula nie przeszkadza mi już tak bardzo.

– Zaaklimatyzowałaś się już? – pyta Lou, bawiąc się telefonem.

– Właściwie to mieszkam tu od niespełna dwóch godzin – zauważam żartobliwie.

– Racja – odpowiada Louis, wybuchając piskliwym śmiechem. – Zupełnie nie wziąłem tego pod uwagę.

– Ale dziękuję, że zapytałeś – mówię ze szczerym uśmiechem. – To miłe.

I choć zupełnie inaczej wyobrażałam sobie pierwszy wieczór spędzony w moim nowym mieszkaniu, być może to wcale nie jest taka zła opcja. Mam szansę na poprawienie stosunków z przyjaciółmi mojego chłopaka. Powinnam ją wykorzystać, ponieważ od teraz będą gościć w moim życiu dość często. Rozsiadam się wygodnie, czując, jak z mojego ciała uchodzi całe napięcie.

– Mógłbyś podać mi sok? – zwracam się do Jima.

Ku mojemu zaskoczeniu to Paul podnosi się z kanapy, sięga po szklanę wypełnioną pomarańczowym sokiem, a następnie podaje mi ją.

– Nie ma za co – mówi lekarz, kiedy w milczeniu upijam niewielki łyk soku.

Podnoszę na niego spanikowany wzrok.

– Przepraszam, ja...

– Daj spokój – wchodzi mi w słowo, uśmiechając się. – Tylko żartowałem.

Mrużę oczy, zastanawiając się, gdzie się podział mężczyzna, którego poznałam kilka tygodni temu. Być może dotarło do niego, że mój związek z Jimem to coś poważnego i postanowił w pełni mnie zaakceptować. Właściwie to podczas naszego ostatniego spotkania w mieszkaniu Amelie czułam, że jego nastawienie do mnie znacząco się zmieniło. Swoją drogą, nigdy nie myślałam, że będę musiała walczyć o akceptację kumpli mojego faceta. Dziwnie się z tym czuję.

– Nie wiem jak wy – odzywa się Louis, wsuwając telefon do kieszeni spranych džinsów – ale ja chętnie sobie zapalę. – Wstaje, lecz nikt nie rusza się z miejsca. – No co wy? Paul? – White kręci głową w odpowiedzi. – Jimmy?

– Nie masz nic przeciwko? – pyta Jim.

Zaczyna mnie denerwować to, że niemal we wszystkim pyta mnie o zdanie. *Jesteś mężczyzną, do cholery!*, krzyczę na niego w myślach.

– Jasne, że nie – odpowiadam, odstawiając szklanę z sokiem na stół.

Wstaje, posyłając mi pokrzepiające spojrzenie, jakby wiedział, co może mnie czekać ze strony Paula, kiedy zostanę z nim sama, po czym rusza za Louisem, któremu znudziło się czekanie na towarzysza.

– Dziękuję – rozbrzmiewa, kiedy tylko Jim zamyka za sobą drzwi prowadzące na balkon.

Zaskoczona unoszę brwi.

– Za co? – pytam, nie będąc pewną, czy dobrze usłyszałam.

Paul pochyla się, opierając łokcie o uda.

– Dziękuję za to, że nie powiedziałaś Jimowi o tym, co się wydarzyło – wyjaśnia smutnym głosem. – Wieść o tym, do czego posunął się Rhys, bezpowrotnie zniszczyłaby naszą przyjaźń.

*R. H. Y. S.*

Każda z tych czterech liter boleśnie wwierca się w mur, który zbudowałam wokół serca, przez co po jego ścianach spływają krople bordowej, niemal czarnej krwi.

– Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego – zauważam. – Nie możesz odpowiadać za czyny, których nie dokonałeś.

Wzdycha, prostując się.

– Poniekąd brałem w tym udział, bo to ode mnie Mariposa dostał diazepam – mówi, patrząc na mnie tymi nienaturalnie jasnymi oczami.

Czymkolwiek jest ten diazepam, nie zostawił żadnych trwałych śladów w moim organizmie. Żyję i czuję się świetnie.

– Nie wiedziałeś, do czego jest mu potrzebny. – Jedno uderzenie serca później zmieniam zdanie. – Wiedziałeś.

– Wiedziałem po co, nie wiedziałem dla kogo.

*Kim wy jesteście?*, ciśnie mi się na usta.

Przez szczelinę w murze przedostaje się niechciane wspomnienie. Rhys tak łatwo podjął decyzję o zabiciu tego mężczyzny... Tak łatwo pociągnął za spust. Połykam rosnącą w gardle żółć.

– Nie gniewam się – zapewniam beznamiętnym głosem. – Jednak wolałabym nie rozmawiać o tym tutaj. Właściwie w ogóle wolałabym o tym nie rozmawiać.

– Wciąż coś do niego czujesz, prawda?

– Do kogo? – pytam, spoglądając na drzwi, za którymi stoją Jim z Louistem.

Paul śmieje się smutno.

– Nawet po tym, jak pokazał ci, do czego jest zdolny, ty nadal go kochasz.

– Kocham Jima – syczę, pochylając się w stronę mężczyzny.

– Nie wątpię – mówi, zachowując stoicki spokój. – Ale patrzę na ciebie i Jima i nie widzę tego, co widać w twoich oczach na samą wzmiankę imienia Mariposy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby podobnie silne uczucie połączyło dwoje ludzi.

Nie jestem w stanie dłużej słuchać jego słów. Po prostu wstaję i wychodzę z salonu. To bzdury. Kiedy zatraskuję za sobą drzwi sypialni Jima, mur pęka, odsłaniając moje zmasakrowane serce, a raczej to, co z niego zostało. Po raz pierwszy od kilku tygodni pozwalam łzom popłynąć.

\*\*\*

Dziadek oddzwonił dopiero następnego dnia z samego rana, informując, że razem z Amelie czekają przed apartamentowcem Jima. Nie chcąc kazać im czekać, czym prędzej wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam otworzyć. Jednak teraz, stojąc przed nimi ze spuchniętymi od płaczu oczami i w samej piżamie, wiem, że to był błąd.

– Siadajcie – mamroczę, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Kiedy robią, o co proszę, również opadam na przeciwległą kanapę, podciągając nogi. Nie zdążyłam



wczoraj wypakować rzeczy z walizek i jestem zmuszona chodzić boszo, przez co trochę zimno mi w stopy.

– Nie milczcie tak – bąkam, przenosząc spojrzenie z mamy na dziadka.

Ich twarze nie zdradzają żadnych emocji. Zupełnie jakby byli na sali sądowej, a nie u kogoś, kto ostatnie dwadzieścia trzy lata dorastał na ich oczach.

– Nie będę ukrywał, że ani trochę nie podoba mi się to, co zrobiłaś – mówi Hudson. Jego spojrzenie dosłownie wbija mnie w oparcie kanapy. – Jednak Amelie uświadomiła mi, że masz prawo do własnego życia. Jesteś dorosła i powinniśmy pozwolić ci na mieszkanie z Jeffreyem, mimo że to najgłupszy z twoich dotychczasowych pomysłów.

Alleluja!

Niech dziadek myśli, co chce. Dla mnie ważne jest to, że nie ma nic przeciwko, bo gdyby tak było, wiele mogłoby mi to utrudnić. Jest moim jedynym dziadkiem i mimo wszystko kocham go. Zawsze będę się liczyć z jego zdaniem.

– Obiecuję, że będę przyjeżdżać co tydzień – kłamię, krzyżując palce schowane za plecami. Podrywam się nagle. – Cholera, z tego wszystkiego zapomniałam zaproponować wam czegoś do picia.

Kiepska pani domu to zbyt banalne określenie mojej nowej roli, którą zawałam już na starcie.

– Nie przejmuj się – odpowiada Hudson, wstając. – Spieszmy się do kancelarii. Amelie.

Kiedy mój wzrok pada na mamę skuloną na kanapie, marszczę brwi. Może i wygląda jak moja matka, ale zdecydowanie nią nie jest. Do tej pory z jej ust nie wydobyło się nic poza słabym „dzień dobry”. Żadnych złościwości, przytyków czy krytyki. Patrząc, jak usłyszawszy swoje imię, podnosi się powoli ze wzrokiem wbitym w przestrzeń i czuję coraz większy niepokój. Po

raz kolejny odnoszę wrażenie, że coś tutaj jest mocno nie tak.

Chcę zapytać, o co chodzi, lecz gdy otwieram usta, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Nigdy nie wiem, jak powinnam zachować się w takich sytuacjach. Zazwyczaj, kiedy ktoś z bliskiego mi otoczenia nagle zmieniał się o sto osiemdziesiąt stopni, bo w jego życiu nie działało się najlepiej, ja stawałam się bierna, udając, że niczego nie zauważam. Nie muszę chyba wspominać, że w ten sposób straciłam wiele naprawdę wartościowych znajomości.

Hudson rusza do wyjścia, a Amelie za nim, unikając jak ognia mojego wzroku. Kiedy mnie mija, odwracam się.

– Prawie zapomniałem – odzywa się dziadek, przytrzymując córcę płaszcz. – Amelie sprzedaje mieszkanie.

– Co? – pytam, myśląc, że się przesłyszałam.

– Nie mam zbyt wiele czasu na wyjaśnienia, ale kancelaria potrzebuje pieniędzy. Sprzedaż apartamentu będzie najlepszym rozwiązaniem.

To dlatego jest taka przybita. Musi oddać coś, co jest spełnieniem jej marzeń.

– Gdzie będziesz teraz mieszkać? – zwracam się bezpośrednio do niej.

– U mnie – odpowiada natychmiast dziadek. – I pamiętaj, że jeśli tylko zechcesz, twój pokój będzie na ciebie czekał.

Te słowa sprawiają, że bez namysłu wtulam się w niego i przez chwilę znów jestem pięcioletnią dziewczynką, która wyobraża sobie, że jej przyszły mąż będzie dokładnie taki sam jak mężczyzna, który trzyma ją w swoich bezpiecznych ramionach.

– Dziękuję – szepczę i się odsuwam. – Do zobaczenia niedługo.

Amelie naciska klamkę, a następnie wychodzi, mamrocząc słowa pożegnania.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, dzwoń natychmiast – mówi dziadek, po czym wychodzi.

Zamykam drzwi, patrząc na koszmarne odbicie w lustrzanej ścianie. *To był ostatni raz, kiedy płakałam przez Motyla*, postanawiam w duchu, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że wciąż krzyżuję palce.

Ruszam do łazienki z zamiarem doprowadzenia siebie do stanu, w którym będę mogła pokazać się ludziom bez uczucia zażenowania, lecz stoję w pół kroku, kiedy słyszę dźwięk przekręcanego klucza w zamku. Odwracam się, czekając, aż drzwi się otworzą, a kiedy to się dzieje, nie mogę uwierzyć własnym oczom. Jim jest tak pijany, że ledwo trzyma się na nogach. Na mój widok bełkocze coś niezrozumiale, wymachując ręką, w której trzyma klucz. Bez namysłu podbiegam do niego, zarzucam jedną jego rękę na barki i z trudem prowadzę go do salonu, gdzie pozwalam mu opaść na niepasujący kolorystycznie do wystroju mieszkania musztardowy fotel.

– Gdzie byłeś? – pytam, podnosząc z podłogi klucze, które wypadły mu z dłoni.

– Jesteś zagadką, Mel – bełkocze, wbijając we mnie zamglone spojrzenie. – Czułem to.

Jęczę w duchu. W tej chwili naprawdę nie mam ochoty na niezrozumiałe monologi pijanego mężczyzny.

– Porozmawiamy, jak wytrzeźwiejesz – mówię, starając się zachować cierpliwość, po czym odwracam się i odchodzę kilka kroków.

Kiedy otwieram drzwi łazienki, do moich uszu dobiegają wyraźne słowa Jima:

– Ty i Rhys... – Zamieram. – Czułem to, co było między wami. Wszyscy to czuliśmy.

*Co ty pleciesz?*, ciśnie mi się na usta.

– Nie wygłupiaj się – rzucam przez ramię, nie będąc w stanie wykonać nawet najmniejszego ruchu.

Jim chichocze nienaturalnie, co wprawia mnie w jeszcze większą panikę.

– Wiem, że kłamiesz – znów brzmi, jakby był zupełnie trzeźwy – ale cieszę się, że to mnie wybrałaś. Wygrałem.

Mówi coś jeszcze, ale krew tak buzuje mi w żyłach, że słyszę tylko jej szum.

Jak to możliwe, że wcześniej nie zauważyłam, że coś podejrzewa? I dlaczego tak długo milczał? *Gdyby nie alkohol, nigdy by ci nie powiedział, że wie, podpowiada głos z tyłu głowy.*

I w końcu dociera do mnie, że znam odpowiedź na jedno z pytań, które od jakiegoś czasu nie daje mi spokoju. Jim milczał, ponieważ nie chciał mnie stracić. Wie, że nie umiem kłamać. Gdyby zaczął drażnić, musiałabym opowiedzieć mu o tym, co łączyło mnie z Motylem, a wtedy... odeszłabym. Nie potrafiłabym spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że wciąż kocham jego przyjaciela. Nancy i Paul mieli rację. Moje poranione, rozbite na milion kawałków i ponownie nieporadnie poskładane serce należy do Rhysa.

Oddycham głęboko, całą siłą woli zmuszając się do odwrócenia głowy. Naprawdę stałam tu tak długo, że Jim zdążył zasnąć? Cholera! Świat mi się wali, a ja zastanawiam się nad tak banalnymi rzeczami. Naprawdę? Co jest ze mną nie tak? Muszę to zakończyć. Teraz, zaraz. *Nie kocham Jima*, przyznaję w końcu sama przed sobą, a myśl o tym sprawia mi dotkliwy ból. Tak bardzo pragnęłam szczęścia i spokoju, że pozwoliłam zajść sprawom zdecydowanie za daleko. Teraz muszę

przyjąć konsekwencje podejmowanych przeze mnie decyzji, bez względu na to, jak poważne będą.

Tylko trzy walizki mieszczą się do mojego sportowego BMW. Zamykam bagażnik i z ciężkim sercem wracam do mieszkania Jima. Mieszkania, w którym miałam spędzić najbliższe miesiące, może nawet lata. Wchodzę najciszej jak potrafię, by nie obudzić śpiącego w fotelu mężczyzny, ale okazuje się, że ten już nie śpi i wygląda zdecydowanie lepiej. Spoglądam na zegarek na nadgarstku. Dwugodzinna drzemka wystarczyła, by jego organizm się zregenerował.

– Co robisz? – pyta, mrużąc oczy.

Kończę coś, co nigdy nie powinno mieć miejsca.

– Jim – łamie mi się głos, a w gardle rośnie ogromna gęsia łuska.

Mrugam kilka razy, by odgonić napływające do oczu niechciane łzy.

– Nie mów tego.

Już wygląda na zdruzgotanego, a jeszcze nie usłyszał tego, co muszę mu powiedzieć.

– Przepraszam – szepczę ledwie słyszalnie, ignorując jego prośbę. Próbuję się do niego zbliżyć, lecz on powstrzymuje mnie wyraźnym gestem dłoni, więc zostaję na swoim miejscu. – Nie chciałam, żeby to wszystko zaszło tak daleko – wyznaję żałośnie.

Nie miałam zbyt wiele czasu na zastanowienie się, co mu powiem, jeśli już odważę się na rozmowę, ale nie sądziłam, że kiedy do tego dojdzie, moje słowa będą brzmieć tak beznadziejnie.

– Nie chcę tego słuchać! – unosi się nieco.

– Chciałabym wyjaśnić...

– Niczego nie musisz mi wyjaśniać, Mel – przerywa mi. – Nie przedłużaj. Jeśli chcesz odejść, po prostu to

zrób. Teraz.

Nie poznaję lodowatego tonu jego głosu. Nie poznaję mężczyzny, który jest dla mnie naprawdę ważny. Najgorsze jest to, że to właśnie ja odpowiadam za tę zmianę. I to boli.

– Popatrz na mnie – niemal błagam. Przełyka ślinę. Kiedy nasze oczy się spotykają, nie wytrzymuję i rzucam mu się na szyję. Cały się napina i pozostaje w bezruchu. Odsuwam się. – Wybaczysz mi kiedyś?

Nieustannie szukam jego spojrzenia, lecz zielone oczy skutecznie mnie unikają.

– Mogę wybaczyć ci wiele, Mel – mówi, a jego głos jest tak smutny, że mam ochotę zakryć uszy dłońmi, by tylko go nie słyszeć. – Wybaczam ci, że nie powiedziałaś mi prawdy o tym, że znasz Rhysa. Wybaczam ci, że przemilczałaś fakt, że coś was kiedyś łączyło. Wybaczam ci to, że nie potrafiłaś mnie pokochać w sposób, w jaki ja kocham ciebie. Ale nigdy... – Głos mu się łamie, ale po chwili bierze się w garść. – Nigdy nie wybaczę ci tego, że pozwoliłaś uwierzyć mi w twoją miłość.

Nie pytam, skąd wie o mnie i Rhysie. Jego słowa, tak szczerze i płynące prosto z serca, sprawiają mi ból. Ból o wiele silniejszy niż początkowo zakładałam. Czuję się koszmarnie i nie jestem w stanie dłużej znosić jego zranionego spojrzenia. To naprawdę koniec. Zabiłam nas. Na zawsze i bezpowrotnie.

– Przepraszam – powtarzam jeszcze raz, bezgłośnie poruszając ustami.

Odwracam się i wychodzę, przyrzekając, że Jim Jeffrey jest ostatnią osobą, która została przeze mnie skrzywdzona.

# Epilog

Nieoczekiwany zwrot w moim życiu sprawił, że kolejny raz muszę uciekać przed samą sobą i tym, jaką osobą jestem. Istnieje tylko jedno miejsce, w którym mogę się przed tym ukryć. Nancy z entuzjazmem przyjęła wiadomość o moim niezapowiedzianym przyjeździe i właściwie nie była bardzo zdziwiona. Podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, trwającej nieco ponad trzydzieści sekund, ani słowem nie wspomniałam, że rozstałam się z Jimem. Nie musiałam. Ona doskonale wiedziała, że tak się stanie, a kiedy próbowała mi to uświadomić, naskoczyłam na nią, myśląc, że po prostu mi zazdrości.

Mama i dziadek zapewne nawet nie podejrzewają, że właśnie wracam tam, skąd zabrali mnie ponad pół roku temu. *Tam, gdzie wszystko się zaczęło.* Dziadek zapewniał mnie, że mogę zamieszkać u niego, kiedy tylko zechcę. Ale jak by to wyglądało, gdybym zapukała do jego drzwi jedynie kilkanaście godzin od tej rozmowy? Nie zniosłabym docinek mamy, którymi raczyłaby mnie przy każdej okazji, kolejny już raz triumfując nade mną. Dlatego wybrałam Nancy. Ona przynajmniej nie będzie mnie oceniać.

Przyciskam guzik na kierownicy, dzwoniąc do przyjaciółki. Nie odbiera, ale wcale tego nie oczekuję. Telefonem daję jej znak, że już jestem. Rozłączam się po kilku sygnałach i patrzę, jak brama wjazdowa się rozsuwa. Wjeżdżam pod tak dobrze znany mi budynek z uśmiechem błakającym się na ustach. Parkuję sprawnie, wyłączam silnik i wysiadam z samochodu. Zamykam go małym guzikiem na pilocie, po czym biegnę w stronę drzwi wejściowych, osłaniając się przed mroźnym wiatrem. Drzwi mieszkania są otwarte, a w

przedpokoju witają mnie otwarte ramiona mojej jedynej przyjaciółki. Omal się nie przewracamy, kiedy wpadam na nią z impetem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się za nią stęskniłam, aż do tej chwili.

– Cholernie dobrze cię widzieć, Prince – mówi z uśmiechem, kiedy się od siebie odklejamy. I choć wcale nie jest mi do śmiechu, odkrywam, że również szczerze się uśmiecham. – Nie rozbieraj się – dodaje szybko, widząc, że chcę zdjąć ciepłą, puchową kurtkę w kolorze khaki.

– Co? – pytam, marszcząc brwi i przerywam wykonywaną czynność.

Nancy uśmiecha się przepraszająco.

– Przyjechałaś autem, prawda? – Potwierdzam kiwnięciem głowy. – Bądź tak dobra i pojedź do monopolowego w centrum. Jeśli się nie zgodzisz, trio *Mel, Nancy & Moet* nie będzie miało prawa zaistnieć.

Zupełnie nie pomyślałam o tym, by po drodze zaopatrzyć się w alkohol. Kiedy tu mieszkałam, szampan był stałym elementem zawartości lodówki, jednak było to tak dawno, że sporo mogło się zmienić.

– A co z naszym monopolowym?

Mówiąc *naszym*, mam na myśli sklep, który nieraz ratował mnie z opresji i który znajduje się zaledwie kilka kroków stąd za rogiem ulicy.

– Zapomnij – mówi od razu Nancy, opierając dłonie o biodra. – Zamknęli go już jakiś czas temu. Zostaje nam tylko centrum.

Samochodem nie powinno zająć mi to długo, ale po kilku godzinach jazdy boli mnie tyłek i miałam nadzieję, że następnym razem wsiądę do niego, dopiero kiedy będę stąd wyjeżdżać.

– Okej – wzdycham, zgadzając się. Ponownie zasuwasz suwak kurtki po samą brodę i za klamkę jasnych drzwi. –



Ale jeszcze dziś pomagasz mi wnieść wszystkie walizki.

– Oczywiście – odpowiada bez zbędnych pytań, jakby to, że przyjeżdżanie do kogoś w odwiedziny z samochodem wypakowanym po dach walizkami było zupełnie normalne. – Mel – wymyka się z jej ust mimochodem, kiedy przekraczam próg. Przystaję, ale się nie odwracam. – Jestem dumna, że nie płakałaś.

– Postaram się szybko wrócić – rzucam przez ramię, ignorując słowa przyjaciółki i zamykam drzwi.

Kiedy wjeżdżam na ciemne drogi miasta, deszcz pada tak intensywnie, że zmniejszam prędkość do minimum. Wycieraczki działają na najwyższych obrotach, a mimo to widoczność jest mocno ograniczona. W normalnych okolicznościach zachwycałabym się ogromnymi kroplami spadającymi z nieba, ale nie teraz, kiedy próbuję pojechać po tego cholernego szampana. Pokonuję trzy skrzyżowania i wydaje się, że tutaj opady nie są już tak intensywne jak w naszej dzielnicy. Skręcam w prawo i przyspieszam nieco, rozglądając się po znajomej okolicy. Już zdążyłam zapomnieć, jak urokliwie potrafi tu być. Jimowi na pewno by się spodobało.

Jim... Nancy się nie myliła. Odkąd wsiadłam za kierownicę samochodu, przez całą drogę tutaj nie uroniłam ani jednej łzy, lecz teraz mrugam szybko, żeby zatrzymać je pod powiekami. *Wytrzymałaś już tak długo, wytrzymasz i teraz*, powtarzam sobie w myślach. Do celu pozostało naprawdę niewiele, a jeszcze muszę wejść do tego pieprzonego sklepu i kupić, co trzeba. Jednak kilka sekund później nie potrafię się powstrzymać. Coś we mnie pęka. Nagle przypominam sobie wszystkie złe rzeczy, jakie spotkały mnie przez dwadzieścia trzy lata i zalewam się łzami. Dopiero rozstanie z Jimem uświadomiło mi, że moje życie nigdy nie było takie, jak do tej pory je postrzegałam. Od samego początku smutek otulał mnie do snu. Smutek i poczucie, że już nic dobrego mnie w nim nie spotka. Aż pojawił się on i...

Gdy przecieram oczy wierzchem dłoni, otaczający mnie świat staje się o wiele wyraźniejszy. Już z tej odległości widzę świecące logo sklepu, do którego zmierzam. W skupieniu przejeżdżam na drugą stronę ulicy. Nagle w mojej głowie rozbrzmiewają słowa Jima: „Wybaczam ci, że nie powiedziałaś mi prawdy o tym, że znasz Rhysa. Wybaczam ci, że przemilczałaś fakt, że coś was kiedyś łączyło. Wybaczam ci to, że nie potrafiłaś mnie pokochać w sposób, w jaki ja kocham ciebie. Ale nigdy nie wybaczę ci tego, że pozwoliłaś uwierzyć mi w twoją miłość”. W życiu nie słyszałam takiego smutku w głosie u drugiego człowieka. To było tak przejmujące. Świadomość, że to ja jestem powodem jego bólu, jest nie do zniesienia.

Mocno wciskam pedał gazu, ale słowa Jima wciąż rozbrzmiewają w mojej głowie. Krzyczą. Tak głośno krzyczą. Ponownie zalewam się łzami, lecz nie wydaję przy tym żadnych dźwięków. Już prawie jestem na miejscu i... Siła uderzenia jest tak mocna, że moja głowa odbija się od kierownicy niczym wypełniona powietrzem balonowa piłka. Nie wiem, czy to sobie wyobrażam, czy rzeczywiście słyszę trzask pękanych kości, ale ból dosłownie rozsadza mi czaszkę.

Z czołem wciąż opartym o kierownicę zaciskam palce wokół niej, zdając sobie sprawę, że mój samochód już się nie porusza. Z trudem się prostuję, włączam światło i patrzę w lusterko wsteczne. Dlaczego, do cholery, nie włączyły się poduszki powietrzne?! Palce mojej drżącej dłoni wędrują do paskudnego rozcięcia tuż nad łukiem brwiowym, a strużka ciepłej krwi spływa mi po skroni wzdłuż policzka. Drugą ręką odpinam pas, po czym otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Przytrzymuję się dachu samochodu, ponieważ przez chwilę robi mi się ciemno przed oczami. Oddycham głęboko kilka razy. Odsuwam się od auta, kiedy jestem pewna, że utrzymam ciało w pionie własnymi siłami.

Jestem w takim szoku, że nie czuję żadnego bólu. Głos Jima również ucichł. Wpatruję się tępo w zaparkowany samochód, w który uderzyłam. Pół mojej maski jest w miejscu, w którym pierwotnie znajdował się bagażnik. Wstrzymuję oddech, kiedy drzwi Bentleya otwierają się, a w świetle ulicznych lamp błękitny kolor karoserii wydaje się jeszcze piękniejszy. Mężczyzna pokonuje dzielącą nas odległość, a trwa to zaledwie tyle, co jedno uderzenie serca. Przechyliłam głowę w bok, kiedy jego ciepła dłoń czule gładzi mój policzek i zamykam oczy.

– Szaleję za tobą nawet wtedy, kiedy rozbijasz mi samochód – szepcze prosto w moje usta.

Uśmiecham się arogancko.

– Tęskniłeś.

– Tęskniłem – potwierdza cicho i brzmi to jak najpiękniejsza melodia świata.

To znowu się dzieje.

Byłam ćmą. Poparzyłam się. Spłonęłam żywcem.

Wszystko po to, żeby odrodzić się na nowo. Byłam ćmą – już nią nie jestem.

Jestem cholernym feniksem i teraz to ja podpalę świat.

A Rhys razem ze mną.

*Ciąg dalszy nastąpi...*